K. TETMAJER



WYBÒR POEZYJ

WYBÓR POEZYI

WYBÓR POEZYJ

KAZIMIERZ PRZERWA-TETMAJER

WYBÓR POEZYJ

CZWARTY



NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW, G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Tłocznia
WŁ. ŁAZARSKIEGO
w Warszawie.

NA życzenie firmy Gebethnera i Wolffa z poezyj moich, obejmujących siedm tomów, w dwudziestu wydaniach razem, dokonanym został czwarty wybór poezyj. Poezje obejmują okres wydawniczy od roku 1912. Z każdego tomu wyjętą jest pewna ilość poszczególnych wierszy, w tem wyjątki z ogólnej grupy stu sonetów, zawartych w tych siedmiu tomach. Porządek zachowuje się podług biegu tomów i uszeregowania wierszy.

KRAKÓW 4/V 1918 r.

W JESIENI.

O cicha, mglista, o smutna jesieni!
Już w duszę czar twój dziwny, senny spływa,
Przychodzą chmary zapomnianych cieni,
Tęsknota wiedzie je smutna i tkliwa.
Ileż miłości, oh, ileż kochania
Umarła przeszłość z naszych serc pochłania,
Z naszych serc biednych, z naszych serc bezdeni!...

Zamykam oczy... Blade, ciche cienie
Suną się w liści posępnym szeleście —
Jak obłok światła; niesie je wspomnienie...
O dni umarłe! o dni! gdzież jesteście?...
Co pozostało po was?... Ah! daleko,
Daleko kędyś toczycie się rzeką
Szarą i mętną w głąb puszcz i w milczenie...

CZARDASZ.

Hej, czardasza ty mi graj,
Cygańska muzyko!
Huczcie basy, gęślo łkaj,
A szumnie, a dziko...
Ile smutku w duszy mej,
Ile klątwy, żalu:
Tyle w gęśle twoje wlej.
Hej, czardasza graj mi, hej,
Cyganie-góralu!...
Ile żalu w piersi mej,
Tłumionego dumnie:
Tyle w gęśle twoje wlej.
Hej, czardasza graj mi, hej,
A dziko, a szumnie...
Hej, w nas obu skalna krew,

Dusze w obu harde —
Wygrajże mój cały gniew,
Cały gniew i wzgardę...
Słuchaj, słuchaj — szumi bór
Daleko, daleko — —
Zagrajże mi, jak on gra,
Kiedy wicher po nim gna,
Niech ze smyczka leci wiór,
Niech łzy ze strun cieką...
Hej! niech mój nie pada trup
Na doliny nizko — —
Nie dla niego w ziemi grób,
Ni śmierci igrzysko.
Na granitach leżeć mu
Wśród ciszy nadskalnej,
Niech kołysze go do snu
Łkający wiatr halny.
Niech mu szumią smutnych limb
Konary zielone,
Chmury mu uwiją nimb,
A tęcze koronę...
Wielkie orły lecą tam
I krążą i kraczą;
Z granitowych płynąc bram,

Wielkie wody płaczą...
Smutno grasz mi — smyk ci drga
Od jęku, od żalu,
I w oczach ci błyska łza,
Cyganie-góralu!
Hej! Zmień nutę! Słyszysz ty?
Niech ze smyczka lecą skry,
Cały ogień mojej krwi
Wlej w struny, cyganie;
Wygrajże mi szepty te,
Gdy się dusza w duszę rwie,
Kiedy z wargi tryska krew,
Drży dziewczyna tak, jak liść,
I cała — kochanie...
Hej! szalony zawiedź śpiew!
Nim nam z tego świata iść,
Niech przepali rozkosz nas,
Mózg i serce spali wraz!
Hej, dziewczyno! Do mnie tu!
Póki stanie w piersi tchu,
Ssij życie, pij krew!...
Hej, czardasza ty mi graj,
Cygańska muzyko!
A ty, dziewczę, usta daj,

Przepijemy choćby kraj! *)
Wróżka nam powróży z kart,
Czy nas prędko porwie czart,
A nim porwie, graj nam, graj,
A szumnie, a dziko!...

---

*) Kraj ziemi — duży obszar ziemi. (Prowincyonalizm.)

W NOCY.

Spojrzałem w nieba ciemności bezkresne,
I wzrok mój ugrzązł w tej kopule wklęsłej,
I dziwnej trwogi dreszcze mną zatrzęsły,
Dreszcze, mrożące krew w żyłach, bolesne.

W końcach mych palców lęk się ozwał, oczy
Wbiłem wdół, nie śmiąc podnieść ich ku górze:
Coś przeciwnego całej mej naturze
Czuję tam, w nieba ciemnego roztoczy.

Tam nieskończoność, wieczność, nicość—brzmienia,
Które są dla mnie tajemniczym runem,
A każde w mózg mój uderza piorunem,
I mózg druzgota i w zgliszcze zamienia.

SCHNĄCA LIMBA.

U stóp mych dzika przepaść. W ciemnem niebie [blady
Świeci księżyc, podobny wodnej białej lilji,
Co kielich swój nad ciemne głębiny wychyli.
Cicho—grzmot słychać tylko huczącej kaskady.

Nad nurtem jej ze skalnej wyrosła posady
Limba: zżółkłe konary smutno na dół chyli,
Czując, że dłużej walczyć napróżno się sili
I runie—wicher szumi jej hymny zagłady.

Nie ona jedna toczy tę walkę bolesną:
Są ludzie i narody całe na przedwczesną
Śmierć skazane przez losów okrutne przekleństwo...

I czyż warto jest walczyć, nie wierząc w zwycięstwo?
I czyż warci są życia, którym brak doń siły?
I cóż z tych łez wylanych na słabych mogiły?...

DALEKI ŚWIECIE...

Daleki świecie wiecznie złocistego lata,
Kędy olbrzymie rzeki toczą święte wody,
Gdzie się w słońcu meczety błyszczą i pagody
I piramida szczytem pod błękit wylata;

Gdzie złotą od gwiazd nocą płynie łódź skrzydlata,
Zostawiając wśród brzegów milczące ogrody;
Ziemio, gdzie zadumane odwiecznie narody
Siedzą, jak sfinks, wpatrzone w tajemnicę świata;

Od dzieciństwa śnię ciebie i patrzę ku tobie!
Wędrując błędną myślą po szerokim globie
Ileż mil już przebiegłem po twoich przestrzeniach,

Kąpiąc się w blasku słońca, w gwiaździstych pro-
[mieniach
I w twych bezdennych puszczach, gdzie człowiek
[przepada
Jak obłąkana gwiazda, z gwiazd odbita stada.

DUSZA MA, KTÓRA WIĘCEJ W WNĘTRZU SWOJEM TWORZY...

Dusza ma, która więcej w wnętrzu swojem tworzy,
Niż z zewnątrz w siebie bierze: coraz niżej tonie
W jakieś bezdenne głębie, coraz szersze błonie
Widzi przed sobą puste, głuche i bez zorzy.

Gdy dusza ma w te głębie pogrąży się bez dna,
Gdy wejdzie na te błonia bez czasu, bez końca:
Słucham, ale głos żaden uszu mych nie trąca,
Patrzę, lecz bezmiesięczna mi noc i bezgwiezdna.

Dusza ma leci kędyś poza obręb bytu,
W jakąś rozwiej przestrzenną, cichą i zamgloną:
Nirwana świat mi szarą okrywa zasłoną
I wszystko się pogrąża w otchłaniach niebytu.

FRAGMENCIK.

Wierzę, że racyę najświętszą miał,
Kto spalił Giordana Bruna — —
Ah! dotąd jeszcze nad Rzymem się
Świeci jaskrawa łuna...

Z zachwytem patrzę się w łunę tę,
A rośnie we mnie dusza,
Ilekroć na myśl przychodzi mi
Więzienie Galileusza...

I w zachwyceniu roztapiam się,
Jakby w winnicy szampańskiej,
Ilekroć razy mignie mi cień,
Cień inkwizycyi hiszpańskiej...

NIECH NIE UNOSI CIĘ NIGDY NAMIĘTNOŚĆ...

Niech nie unosi cię nigdy namiętność!
Z ludźmi potrzeba, jak z wrogiem na wojnie,
Walczyć odważnie, lecz trzeźwo, spokojnie;
A jeśli nie chcesz, aby cię zdeptali:
Duma niech służy ci za hełm ze stali,
Za miecz szyderstwo, za tarcz obojętność.

WIELBIĆ NATURĘ?

Wielbić naturę?... Za co?... Prawda, nie pobłądzi,
Bo nią mus praw tajemnych dla człowieka rządzi,
Bo jest maszyną martwą, a jej ruchy wieczne
Są bezcelowe całkiem, są, bo są konieczne.

Kochać naturę?... Za co?... Za to, że mię gwałtem
Bezwzględnym utworzyła i odziała kształtem
Ludzkim, może nieszczęściu najbardziej przystęp-
[nym?
Że mi wciąż grozi skonu widziadłem posępném?

Że mi dała poczucie i świadomość woli,
A w najsroższej, tyrańskiej trzyma się niewoli?
Że mi w mózg upragnienie wszczepiła poznania,
Ale poznać mi ślepe jej prawo zabrania?...

WIDOKIEM LUDZI PRZERAŻONY CO DNIA...

Widokiem ludzi przerażony co dnia,
Na których ciężar nieszczęścia upada,
Jak twardych, ostrych kamieni kaskada,
Z urwisk lecąca górskich na przechodnia:

Kiedy noc wejdzie na świat ogromem
I usta życia gorliwie oniemi,
Pragnę zapomnieć o wszystkiem na ziemi
I w odrętwieniu spocząć nieruchomem.

Wówczas mi dziwny kraj się czasem marzy:
Przestrzenie w bezkres rozciągnięte, mroczne,
Nad niemi niebo szare, bezobłoczne,
Bezruch martwoty i cisza cmentarzy.

Na tych przestrzeniach głuchych, obok siebie,
W białych całunów posępnej odzieży,
Tłum kształtów, jakby ludzkich cieni leży,
Z oczyma w ciemnem utkwionemi niebie.

Tłum tych leżących mar co chwila rośnie,
A każda nowo przychodząca, blada,
Jak człowiek drogą zmęczony, upada
Na ziemię dziwnie chciwie i radośnie.

ONA GDZIEŚ JEST...

Ona gdzieś jest... ja wiem... wiem to i tęsknię
[do niej...
Wiem, jaką twarz ma, wiem, jakim się różem płoni,
Wiem, jaki szafir ócz ciemnemi rzęsy kryje,
Jaka w nich tkliwość lśni i jaki żar z nich bije.

Wiem, jaka śpiewa w nich słodycz niewysłowiona,
Jaka w nich słania się zaduma, drżą pragnienia,
Jaki wilgotny blask przez oczy te do łona
Ciągnie i jaka mgła lubieżna je zacienia.

Każdy jej uśmiech znam i każdy ruch, jej słowo
Każde w mem uchu brzmi muzyką sfer echową,
Każdą jej czuję myśl, znam kraje jej pamięci,
Wiem, czego żal jej, wiem, co trwoży ją, co nęci.

Co kocha, także wiem; znam serce jej i duszę,
I kocham całą mych niezmiernych smutków tonią,
Bezdenią tęsknot mych — — kocham i czuć to
[muszę,
Że nigdy myślą mi nie sięgać nawet po nią...

NAPRZÓD! NIECH RYCZY BURZA!...

Naprzód! Niech ryczy burza! Nie cofnę się z drogi!
W te chmur na hełmach Tatrów grzmiące pióropu-
[sze,
Od błyskawic płomienne: pójdę! Iść tam muszę!
Chyba topór piorunu podetnie mi nogi!

Naprzód! Wyżej! W mem sercu niema dzisiaj
[trwogi!
Serca niema w mych piersiach! Już ścieżki pastusze
Minąłem, już pod stopą żwir kamienny kruszę,
Próżno mię grom chce strwożyć i wicher złowrogi.

Burza przeszła. Na szczytu stanąłem kolumnie:
Tam, daleko, daleko, tam, na drugiej skale,
Jest ta, za którą serce z piersi się wydarło...

Myślałem, że jej nigdy, nigdy nie odżalę,
A oto, zda się, czuję, jak przez toń zamarłą
Granitów moje serce zwolna wraca ku mnie...

MODLITWA INDYJSKA.

O potężny boże Wisznu, co błękitem nieba władasz,
Co na skrzydłach złotopiórych olbrzymiego ptaka
[siadasz,
Co źrenice jak lotosu świetne kwiaty masz nad
[czołem:
Jeśli kiedy cię modlitwą i ofiarą mą ująłem;
O Garudo, boże płodny, co na wężu swym stu-
[głowym
Odpoczywasz rozciągnięty w śpiewnym gaju dakty-
[lowym,
Co przelatasz bezmiar nieba, węża swego tocząc
[kołem:
Jeśli kiedy cię modlitwą i ofiarą mą ująłem;
O świetlany boże Mitro, co okręgiem rządzisz
[słońca,

Dłoń którego cienie nocne poza białe góry strąca,
Co obliczem świecisz światu promienistem i we-
[sołem:
Jeśli kiedy cię ofiarą i modlitwą mą ująłem;
O bogowie wszechpotężni! dusza moja was zaklina:
Niech mnie kocha piękna Lami, niech mnie kocha
[ma dziewczyna!...

NOWINA.

Był dzień słoneczny. Wśród zieleni,
Wśród łąk, co się od słońca płonią,
Wśród winnic, łanów i strumieni
Z lekkim się wiatrem palmy kłonią,
I gdzieś daleko szafirowe
W świetlistej głębi lśni się morze,
A lilie na łęg, na dąbrowę
Jako anioły zeszły boże.

W dali ku studniom, co się bielą,
Pasterze pędzą poić stada:
Idą z wygiętą w łuk gardzielą
Wielbłądy, owdzie krów gromada.
Pędzą swój biały huf koziarze,
Pies go obiega wkrąg i szczeka,

Bydło poryka — na obszarze
Jak sen widnieje to z daleka.

I wpośród zboża, w złotej toni
Pszenicznych łanów, widać żeńce;
Żniwiarz ostrzonym sierpem dzwoni,
Powróseł żółte rzuca wieńce.
Owdzie dziewczęta na wóz zniosły
Związane snopy: siwe woły
Przez kaktusami step zarosły
Wóz z wysokiemi ciągną koły.

I tam i owdzie drogą polną
Dziewczyna, niosąc dzban na głowie,
Wysmukła, gibka, idzie wolno
Nucąc po łęgu, po dąbrowie.
Jej cień na lilie białe pada,
Jej głos gdzieś po winnicach płynie —
Idzie ku studni między stada,
Jakby widzenie na dolinie.

Jedne się snują bliżej, dalej —
Bóg swe uśmiechy rozsiał, zda się —
Świetlą się na powietrznej fali,
Na szafirowym morza pasie.

A tam, sięgając w przestrzeń okiem,
Widać wędrowną karawanę:
Kędyś w przezroczu mgieł głębokiem
Niknie, jak pary wód rozwiane.

Tak wokrąg cicha, jasna cała
Widniała ziemia w owej porze;
Taką się Bogu śnić musiała,
Gdy w bezbytowym trwał przestworze,
Gdy marzył, gdy Mu przed oczami
Wstawało zwolna wszechstworzenie;
Gdy upojony temi snami
Rozpostarł ręce na przestrzenie...

A tam na wzgórzu, gdzie palm kilka daje
Cień przedsłoneczny, i różane gaje
Pachną w spiekocie: oparty plecyma
O palmę młodzian siedzi, dziecko prawie;
Ręce na piersiach skrzyżowane trzyma
I patrzy... Twarz mu zdobi puch młodzieńczy,
A w oczach jego i w całej postawie
Jakaś się piękność nieziemska przejawia,
I włos złocisty, co mu głowę wieńczy,
Zda się, jakoby jasna aureola

Wyniosłe, białe czoło mu okola,
I wiatr, co z włosem tym lekki rozmawia,
Czasem jakoby królewską koronę
Na owe czoło rzuca zamyślone...

Młodzieniec patrzy — przed jego oczyma
Cały się przestwór rozpościera świata:
Widzi, jak trzoda ku studniom się zlata,
Widzi błędnego wśród piasków pielgrzyma,
I żeńców w zbożu na pszenicznym łanie,
I dziewki z dzbanem wysokim na głowie,
Lilie na łęgu hen i na dąbrowie —
I słyszy dziewcząt idących śpiewanie,
I widzi morze kędyś rozścielone
I na niem żagle w dali bielejące,
I ponad sobą błękitu rozponę,
A tam: Jehowa... Bóg, co stworzył słońce,
Utwierdził gwiazdy na niebieskim sklepie
I stworzył glistę pełznącą po stepie,
I stworzył lilię, i z dumną postawą
Stworzył człowieka na swe podobieństwo,
I rzucił w raju na niego przekleństwo,
I za żywota cel dał mu Swe Prawo....
Jeżeli patrzy teraz tam, ze stropu,

Tu na te ziemię wśród światła potopu;
Jeżeli słyszą w niebie Jego uszy
Słodki śpiew dziewcząt, albo flet pastuszy;
Jeżeli widzą w niebie Jego oczy
W pszenicznej fali żeńców lud roboczy;
Jeżeli widzi tam gdzieś na błękicie
Całe to jasne, piękne, błogie życie,
Całe to szczęście podsłoneczne ludzi:
On, Wszechwiedzący Pan, tem się nie łudzi:
On wie, pod tego wesela powłoką
Jak ból i smutek zagryzł się głęboko,
Ile jest nędzy, ile klęsk, cierpienia,
Ile rozpaczy i ile męczeństwa
Tam, na tej ziemi, pośród społeczeństwa...
On wie, że gdyby wszystkie się westchnienia
Żałosnych piersi w jeden obłok zlały:
Sklepby niebiosów przesłoniły cały...
On wie, że gdyby wszystkie łzy palące
Na słońce padły: zgasiłyby słońce...
On wie, że gdyby wszystkie skargi ziemi
Buchnęły w nieba strop za jednym razem:
Takimby pierś Mu przywaliły głazem,
Żeby się ugiął i cofnął przed niemi,
I precz aniołów pierzchłaby gromada,

Widząc, że Bóg się cofa i upada...
On wie, że gdyby tam, w niebios sklepieniu,
Serce ludzkości załkało i jękło:
Gwiazdyby spadły i nieboby pękło...
On to wie, On Bóg, On Pan Wszechstworzeniu,
On, który gwiazdy przytwierdził na sklepie
I stworzył glistę, pełznącą po stepie,
I stworzył lilię, i z dumną postawą
Stworzył człowieka na swe podobieństwo,
I w raju rzucił na niego przekleństwo,
I za żywota cel — dał mu Swe Prawo...

On Pan!... Zaiste, Wszechmocny, Wszechwiedny,
Za klątwę Twoją cóżeś dał ludzkości?
Nie mów, żeś począł stworzenie w Miłości!
Nie mów! Wśród wszystkich Myśli Twej Wszech-
[duszy,
Wśród wszystkich Mocy Jej—brakło tej jednej!
Tej najpiękniejszej! Tej nad wszystko w świecie!
Tej, co umarłe jeszcze w grobie wzruszy!...
Nie mów! Stworzyłeś świat Sobie na chwałę:
Chciałeś wielbiony być w śródpolnym kwiecie,
Chciałeś sławiony być morzem i górą,
Jasnością dzienną i nocą ponurą,

Przez gromy krwawe i przez śniegi białe;
Chciałeś sławiony być wichrowym dzwonem,
Rykiem lwa w puszczy, żywotem i skonem,
Chciałeś wielbiony być zboża nasieniem,
Owocem drzewa i wina dojrzeniem;
Chciałeś sławiony być pustyń ogromem,
Salomonowym w podziw świata domem;
Ale jakiegoż twarz zjawiłeś Boga?
Jakiegoż Ojca i jakiegoż Pana?
Jakaż ludzkości najobficiej dana
Myśl o swym Bogu, o swym Panu?... Trwoga!...
Przestrachem jesteś! Jesteś nad odmętem
Burzą wiszącą nad kruchym okrętem,
Pożarem jesteś pod uśpionem siołem,
Moru ku miastom idącym aniołem,
Łuną wulkanu nad winnice skrzącą,
Szarańczą, która krąży nad zagony,
Trzęsieniem ziemi pod wyspą kwitnącą:
Strachem i trwogą jesteś uwielbiony!
Ból i cierpienie, mękę i konanie,
Wszechzło ludzkości dałeś pełną ręką,
Wszechzło rzuciłeś ludzkości — Wszechpanie!
Pod stopą Twoją ludzkość zgięta męką:
Gdy Cię, groźnego, jak piorun, nim padnie,

Straszliwy Samum wiejący wszechwładnie,
Gdy o twarz błaga i wolę łaskawą:
Ty, Pan i Ojciec, cóż jej dałeś?... Prawo!...
Rzuciłeś z nieba rozkaz: „Wielbij Boga!
Chwal Go, drżyj przed Nim, ty prochu, ty pyle!"
W całej twej dumie i w całej twej sile
W obliczu Jego jesteś mniej niż owy
Płód ziemi, który depce twoja noga —
Jesteś igraszką, źdźbłem w rękach Jehowy!
Po toś stworzony, byś cierpiał i sławił
Tego, coć po to, abyś cierpiał, stwarza:
Boga twojego imię jest Mocarza,
Boga twojego imię jest Wszechpana —
On świat postawił i ciebie postawił,
Przezeń moc wichrów i burz powiązana,
Lecz nie miłuje twój Bóg — On przeraża!...

Od pól, od winnic idą wonie,
Słońce w otchłani modrej tonie
I rzuca blaski z niej różowe
Na przezroczystych chmur posnowę.
Cicho, łagodnie dzień zapada,
Od studni wolno idą stada,
Idą i żeńce już z pszenicy,

A tam pielgrzymi z karawaną
Pod murem miasta w polu staną.
Zstępuje wieczór złotolicy
I patrzy z nieba jasną twarzą,
A wszystkie barwy na niebiosach
Zdają się dumać, śnią i marzą...
I owo słońce w ognia włosach,
Co tam, nad góry wolno spływa,
I łąki sienne, łany w.kłosach
I morza przestrzeń białogrzywa:
Wszystko się marzyć zda... O ziemio!
O jakżeś piękna w tej godzinie!
Zanim noc przyjdzie, aby snem ją
Otulić ciemnym, zanim zginie
To oko nieba, co się chyli...
O ziemio! ziemio! O tej chwili
Któż cię nie kocha?! Sercež czyje
Dla tej piękności twej nie bije?!
Czyjeż ramiona się ku tobie
Nie rwą, by objąć cię uściskiem?
Miłości któż nie czuje w sobie,
Któż nie jest źródłem jej, ogniskiem?
Ktoby własnego życia darem
Nie kupił szczęścia ci, o świecie?

Oczarowany twoim czarem,
Któżby cię nie chciał widzieć jedną
Harmonią szczęścia? Ból, co rwie cię,
Komuż okrutną nie jest nędzą?!...
Nim te różowe chmury zbledną,
Nim gwiazdy zalśnią na błękicie,
Nim księżyc srebrną zalśni przędzą:
Dla szczęścia twego weź choć życie!...

Czemże jest człowiek i czegóż mu trzeba?
Trzeba mu świata duszy, trzeba w górę
Wznieść go nad życie gorzkie i ponure,
Trzeba mu światła nad oczyma, nieba!
Nie tego nieba, gdzie się groźny chowa
Gniew i pioruny dzierżący Jehowa,
Ów, Bóg zawistny w miłości [1]), co karze
W trzeciem i czwartem pokoleniu winy;
Co Sobie każe budować ołtarze
I krwi bydlęcej cieszy się ofiarą;
Bóg, który karci lud przez Filistyny
I wieczną nad nim wisi gniewu marą,
A w gniewie z Pana przemienia się w kata:
Lecz nieba, kędy mieszka Ojciec świata,

[1]) Exodus XX, 5.

Bóg pełen łaski i pełen litości,
A żąda tylko dla Siebie: miłości...
Trzeba, by człowiek ponad nędzę życia
Podnosił oczy, aby oderwany
Myślą od ziemi, złego oceany
Przepływał, wiedząc, że jest tutaj chwilą,
A tam — ma wieczność całą do zdobycia,
Przed którą czoło aniołowie chylą...
Bóg może ziemi żałować [1]), w przestworze
Może uczynić ją prochem i niczem;
W Wszechmocy Swojej i Swojej Wszechwoli
Może ją komet w miał roztrzaskać biczem,
Lecz jej szczęśliwą uczynić nie może!
I nic i nigdy z mąk jej nie wyzwoli.
Cierpienie świata jest rdzeniem i szpikiem,
Człowiek człowiekiem jest i męczennikiem.
Lecz jeśli duszą wzniesie się nad kości,
Wiecznego życia oddany miłości,
Głuchy na ziemi szept, który jest z czarta;
Jeżeli jego źrenica otwarta
Na żywot wieczny, na świat ślepa będzie;
Jeżeli wyjdzie na ziemi krawędzie

[1]) Genesis VI, 7.

Myślą i wolą: świat mu będzie błotem,
Ciało znikomą gliną, prochem życie,
Ból wzgardą będzie! On, duchem w błękicie,
Żyć będzie ducha swojego żywotem!

A gdy tak marzy chłopiec młody,
Na ziemię, co się w blasku nurza,
Patrząc z pod cichych palm ze wzgórza:
Oto dzieweczka, co jagody
Zbierała w króbkę, idąc z boru
Ścieżyną mimo, niespodzianie,
Śliczna i jasna przy nim stanie —
I zarumieni się i z cicha
Dobrego życzy mu wieczoru,
I tak nieśmiało się uśmiecha,
Jak dziecko. Na jej smukłą szyję
Słońce blaskami złota bije
I na jej piersi przysłonięte
Sieje blask złoty. Tak w ponętę
Półnieświadomie strojna swoją,
Jako rozkoszy objawienie
Stoi — jej oczy czarem poją,
Miłością jest jej każde tchnienie.
Wonczas, przed wieki, gdy cheruby

Zrzekając się swej świętej chwały,
Z córkami ziemi ziemskie śluby
Zstąpili zawrzeć, a Bóg wody
Potopu zesłał [1]): tej urody
Dziewice ziemi być musiały.
I spojrzał na nią młodzian: oczy,
Pełne promieni i zachwytu,
Pełen Widzenia wzrok proroczy,
Co niezmierzone mierzył światy,
Zeszedł mu na nią z pod błękitu —
A w tejże chwili dziewczę owe
Uklękło i kraj jego szaty
Do ust podniosło... I na głowę
Włożył jej rękę... W tej godzinie
Uczuł moc, której nie znał wprzódy —
I zdało mu się, że narody
Po całej ziemskiej wszerz dziedzinie
Do jego szaty chylą głowę,
Jak oto czyni dziewczę owe;
I zdało mu się, że na skronie
Całej ludzkości on swe dłonie
Kładzie, a balsam z nich w jej łono,

---

1) Genesis VI.

W jej pierś się zlewa upragnioną...
I zdało mu się, że gdy wzniesie
Ramiona swoje i rozłoży:
Obejmie niemi wszechświat boży
I dłonie oprze na bezkresie...
A zaś dzieweczka, wstawszy z ziemi,
We łzach podniosła jasne lice
I z łzami w oczach świecącemi
Szła między łany i winnice.

Jak ze stlałego wpół ogniska
Płomieniem jeszcze strzelą głownie:
Słońce ostatnie blaski ciska
I gaśnie. Na niebieską równię
Ściele się pomrok ze srebrnemi
Gwiazd kagańcami i powoli
Zasnuwa ziemię. Już na roli
Fioletowe barwy ćmią się,
I las, stojący cały w ponsie,
Zczerniał. Już góry różowemi
Szczytami tylko, jak pochodnie,
Świecą w błękicie. Już zachodnie,
Chłodne powiewy ponad knieją
Płynące ciemną, z szeptem wieją.

Świat się ucisza. Skrzyp daleki
Wozów z pszenicą słychać jeszcze — —
Cichnie... Już złote lecą deszcze
Świetlnych owadów, w gajach płoną — —
Już przez dolinę uciszoną
Ku gwiazdom zaszumiały rzeki...

O, jakimżby piękności cudem
Była wieczorna ta godzina,
Gdyby świat teraz czuł nad sobą
Boga, nie władcę ponad ludem,
Lecz Ojca, który kocha syna...
Oto wieczorną taką dobą
Anioły, białe jak łabędzie,
Powinni boskie nieść orędzie...
Oto o tej godzinie w górę
Podniósłszy oczy, tam, z padołu,
Człowiek powinien widzieć chmurę
Aniołów boskich, które siołu
Sen dobry niosą... Oto z łona
Ludzkości winna być w niebiosy
Taka modlitwa poniesiona
Przez te anioły; takie głosy
Winny słyszane być w przestworze:

Aby bieg gwiazdy zatrzymały
Słuchać tej ziemskiej Twojej chwały!
Miłości tej dla Ciebie, Boże!
Oto świat cały, co w sen tonie,
Z jakąś ogromną myślą świętą
Zasypiać winien, czując w górze
Duchowi swemu i naturze
Duszę na oścież odemkniętą...

I oto jedna jest ku temu droga:
Światu nowego trzeba stworzyć Boga...

Świecie! Naturo! Żywioły! Ty wodo!
Ty ogniu! Życie i śmierci! Wszechbycie!
Patrzcie! Słuchajcie! Oto nowe życie
Na świat zstępuje... Oto nową, młodą
Epokę ziemia cała rozpoczyna...
Patrzcie! Słuchajcie żywioły!... Słyszycie?!
Oto się rodzi, powstaje Nowina!...
Błogosławiona będzie ta godzina,
Ziemia przeminie i niebo przeminie,
Nim pamięć o niej...
Oto człowiek zwraca
Oczy ku niebu... Już mu nie jest praca

I trud i męka—karą... W tej godzinie
Serce się ludzkie i dusza przemienia.
Człowiek na ziemię przyszedł — dla zbawienia,
Dla szczęśliwości wiecznej, wiecznej chwały...
Miłość poczęła go — do tej Miłości
Wróci... Już nie drży przed groźnym Jehową:
Ten Bóg, co dziś się objawia ludzkości,
Błogosławieństwem i Łaską jest cały...
O upojenie! O nieziemska chwilo!
O objawienia prześwięta godzino!...
Przed chłopca duszą aniołowie płyną
I białe lilie z rąk ku niemu chylą...
Już on się w białe ich szeregi wplata,
Już między nimi jak ich brat gdzieś leci — —
Nie! On już nie jest więcej z tego świata!
On jest aniołem!...
O święta godzino!
Świat cały słońcem tak olbrzymiem świeci,
Że zda się jedną światłością rozlaną...
Błogosławiona, szczęśliwa dziedzino!
Szczęsna ludzkości!... Niech ci, co śpią w grobie,
Z grobu swojego ocknięci powstaną,
By żyć raz drugi... Cokolwiek przeżyli,

Niczem jest wobec tych, co przyjdą, chwili:
Świat rozpoczyna żywot w Nowej Dobie...

Ten Bóg, co teraz ludzkości się rodzi,
W grzmotach piorunu i w ogniach nie chodzi,
Nie rozkazuje, nie klnie, nie przeraża:
Ale On schodzi do chaty nędzarza,
Omdlewające pokrzepiać On spieszy,
Chleb ducha daje mrącej z głodu rzeszy,
Ubogich, w łachman odzianych i rany,
Do piersi tuli miłością wezbranej;
On burzy gromów na ludzkość nie stacza —
Nie kamienuje Ów Bóg — On wybacza.
Najbliżsi Jemu — nędzni, słabi, mali,
Wydziedziczeni, wzgardzeni od świata;
Najdroższa Jemu jest największa nędza.
Ten Bóg się świątyń ogromem nie chwali,
Za klęską wrogów On się nie upędza,
On ludziom w ludziach każe widzieć brata,
W jednej jedynej tylko cnocie gości
I w jednem Słowie: w wszechbratniej Miłości.
Dla Boga Tego niema plemion, ludów,
Amorejczyków, ani Izraela;
Ten Bóg połącza, ale nie rozdziela;

Wybrani Jego: to ból i cierpienie,
To ci, co giną od męki i trudów;
Tłum nędznych, słabych—Jego pokolenie.
We Wszechmiłości jednem wspólnem Słowie
On świat ogarnia i jedyne prawo
Stanowi: Miłość. Jozuego krwawą
Tarcz depce nogą, gnie miecz Gedeona:
Lilię białą zrywa na dąbrowie
I światu daje za swoje znamiona.
On chce, z gałązką przychodząc oliwy,
Świat nie pobożny widzieć, lecz szczęśliwy...

Przez jakąż drogę iść ku temu trzeba,
Aby Jehowę strącić z Jego nieba,
Stopę na prawie Jego oprzeć srogiem
I świat napełnić nowym, dobrym Bogiem?...

On tam na niebie nie włada bezwładnie,
Bez strasznej walki On z nieba nie padnie;
Podniesie Swoje ramiona olbrzyma,
Sto słońc zapali Swojemi oczyma,
Sto gwiazd w miał zetrze Swoich brwi ściągnieniem,
Sto mórz obali Swego głosu grzmotem,
Sto gór rozmiażdży zębów Swych zgrzytnieniem,

Sto wysp zatopi Swego tchu łoskotem...
Na Swą obronę wezwie lud Swój cały,
Lud, który wywiódł z egipskiej niewoli,
Przed którym czynił, iż w proch upadały
Narody ziemi; który z Jego woli
Nietknięty falą, przeszedł wpoprzek morze,
Trąbami mury wywrócił w Jerycho
I jak purpurą odział siebie pychą,
Nad wszystkie ludy dumny — plemię boże...
Oto się ramion podnoszą tysiące,
By go podtrzymać na niebieskim sklepie...
Biada, kto oczy podnosi na słońce:
Oślepły padnie... Biada, kto na stepie
Samum wyzywa, albo lwa w pustyni...
Biada — nad królem kto sądzenie czyni...
A jednak — spojrzyj! Oto rękę wznoszę
Ku niebu — widzisz?! — rękę dziecka prawie,
I jak Bóg nowy światu błogosławię!
Patrz! Widzisz!?... Oto kapłany Twe płoszę —
Pierzchają... Ofiar Twoich dym ku ziemi
Przypada, moc Twa łamie się i kruszy:
Boś Ty, Bóg, błyszczał przed oczy ludzkiemi,
A jam im Boga wskazał w własnej duszy!
Bo oto Bóstwo, co w ich piersiach żywie,

Budzę i wołam: zbudzone powstaje —
Moc obudziłem potężną straszliwie:
Duszę człowieka!... Jak wicher się zrywa!
Morza przepływa i przelata kraje!
Łańcucha Twego pękają ogniwa!
Pada Twój Zakon u Epoki proga:
W swej własnej duszy człowiek ujrzał Boga!...

Znam los proroków... Możesz lud rozbestwić,
W kopcu kamiennym mogą skryć me ciało,
Lecz myśli mojej nie zdołasz znicestwić!
Ty masz lud jeden — ja mam ludzkość całą!
Patrz! Wieki idą!... Oto się jak fale
Toczą w olbrzymim, nieprzerwanym ścieku:
Cóż niosą wody? Patrz! W każdym się wieku
Myśl ma odbija, jak światło w krysztale.
Wieczność się toczy — wieczności ogromy
Wypełnia Sobą Bóg światu widomy.
Nieprzeliczone pielgrzymki ludzkości
Jak Twój słup z ognia wiedzie blask Miłości...
Przez jakie walki, przez jakie cierpienia
Przejdzie ma Dusza, w człowieka wszczepiona,
Nim się doczeka mego Objawienia
Na całej ziemi, zanim moje Słowo

Wszechświat obejmie zwycięzko w ramiona
I Miłość świata uczyni królową —
Lecz jako gwiazdy są nad moją głową,
Słowo me może konać, lecz nie skona!
Nigdy już odtąd ludzkość z przed swych oczu
Nie straci Myśli najwyższej na ziemi —
Tonąć w mgle może, błąkać się w pomroczu,
Może opuszczać, gubić światła drogę:
Lecz wrócić musi! Przed oczy ludzkiemi
Światło Miłości — już zgasnąć nie mogę.

Wyznawców moich tłum dziki poniża,
Proroki moje przybite do krzyża,
Słowo me śliną oplwane, wyklęci
Kapłani moi — świat tryumfy święci,
Urąga mieczem i tarczą Goliata,
Faraonową mocą uciemięża,
Jak Kain straszny... a oto zwycięża
I świat owłada Myśl nie z tego świata...
Patrz, o Jehowo! Patrz!... Czyś tam, przed wieki,
Krążąc w bezmiarze, widział to Widzenie?!
Oto jest ziemia cała, jak owczarnia,
Jeden jest pasterz — świat cały ogarnia
Cisza i Pokój... Świat nakształt pasieki.

Pełnej słodyczy, czci jedną królową:
Miłość — Miłości wiekuiste Słowo...

I Ty, dzieweczko, bądź błogosławioną,
Coś Myśl poznała we mnie i uczciła:
Duszy uroda będzie twoja siła,
Piękności matką będzie twoje łono...

Już noc się zniża na dolinę,
Lite gwiazdami niebo lśni się;
Świecą się rzeczne fale sine
Na księżycowej złotej rysie;
Różane gaje znikły w mroku,
Ściemiły się łęgi i dąbrowy —
Na niebios tylko błyszczy stoku
Miedziany okrąg księżycowy.
Cisza niezmierna... Śpi świat cały...
Sen mgliste swe rozpostarł skrzydła:
Na palmy poblask pada biały
I w liściach srebrne dzierga sidła,
I gdzieś na wielką noc pustyni
Jasność zesnuwa się księżyca;
Na łąkach jakby szron się czyni,
I z bagien złoty blask prześwieca.

Już dziwne szepty słychać wkoło,
Szeleszczą piasek, trawa, liście;
Ożyło, zda się, każde zioło,
Ćmy lecą, świecąc się srebrzyście;
Już nietoperze błądzą mrokiem,
A tam trzask suchy słychać chróstu —
To sarny idą wiotkim krokiem
U strumiennego pić upustu.

Noc płynie wolno. Coraz świetlej
Księżyc na środek nieba wschodzi;
Coraz promienniej świat się świetli,
Aż cały w jasnych mgieł powodzi
Stanął, cudowne uroczysko,
Sen marzącego Stworzyciela —
Zda się, anioły lecą nizko
I od ich skrzydeł się zabiela...

Wsparty o palmę młodzian marzy:
Śni się dojrzałym już, już mężem...
Idzie na tłumy, na mocarzy,
A serce tylko ma orężem,
A duszę tylko własną Swoją
Niesie jak sztandar między ludy;

A tylko wiara jest Mu zbroją,
Że Miłość może działać cudy.

Idzie — jak cały świat szeroki,
Nowego Boga niesie w Sobie;
Pokój zwiastują Jego kroki,
Żywot zwiastują w Nowej Dobie...
A On Sam, pieczęć wiary Swojej,
Do końca wieków wszechludzkości
Na oczach krwią oblany stoi,
Krwią Odrodzenia, krwią Miłości.

DUCH.

Zda mi się czasem w noc,
że duch mój idzie przez miasta i sioła
z płomiennym mieczem nicestwień anioła;
każdy krok jego jest jako chód burz,
obala gmachy i pałace w kurz,
wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy
i nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.

Ludzkość mu cała klnie,
przekleństwa ciska mu na głowę hardą,
a on jej zimną odpowiada wzgardą
i dumny, wyższy nad ten cały tłum,
idzie, jak wichrów i pożarów szum,
wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy
i nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.

Ze snu otrząsam się
i ducha tego o oczach szatańskich
chcę spętać, przykuć do turni tatrzańskich;
lecz on, drwiąc, ręce me odpycha precz,
i swój płomienny w górę wznosząc miecz,
wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy
i nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.

I ulec muszę mu,
a on zapala gwiazdę na swej głowie
i pokazuje mi ziemskie pustkowie,
gdzie zniszczył wszystko: i dobro i zło —
i miecz odrzuca złoty ogniów rdzą,
i utrudzony po unicestwieniu,
spoczywa w głuchem, wieczystem milczeniu.

MAGDALENA I CHRYSTUS.

(Do obrazu Edelfelta „Christ et Madelaine"

Błękitne mgły pajęcze
owiały drzewa śpiące,
po siwych wodach tęcze
włóczyło złote słońce.

Słoneczne zamyślenie
świat owładnęło cały,
gdy Maryi Magdalenie
zjawił się Zmartwychwstały.

Zgięła ją cześć i trwoga,
żałość ścisnęła łono — —
a On szedł tam, do Boga,
w dal senną, nieskończoną.

W błękitne mgły przejrzyste
szedł biały w blaskach słońca,
a ona szepcąc: Chryste!...
patrzała nań klęcząca.

WIZYA.

Szara i głucha pustka w bezmiary idąca,
oświetlona od blasku złotego miesiąca.

Wzrok zasłaniając dłonią, w koronie cierniowej,
z krwią ciekącą z rozpacznie pochylonej głowy
i zakrzepłą na wichrem roztarganych włosach,
biegnie cień, w długiej szaty rozwianych osłonach,
zgięty, jakoby ciężar dźwigał na ramionach,
a krwawym potem znaczy ślad po nocnych rosach,

Biegnie w dal — przed nim pustka w bezmiary
[idąca,
oświetlona od blasku złotego miesiąca.

Cień ów ściga chmar ludzkich chmura nieprzejrzana:
nagie, sine ich ciała są jak jedna rana,
krwią broczące wstępują w krwawe cienia ślady
i wytężają za nim z przekleństwem ramiona —
w oddali widać widmo cezara Nerona
w ogniach stosu, i widmo mnicha Torkwemady.

A tam, gdzie skraj ma pustka w bezmiary idąca,
majaczy krzyż przy blasku złotego miesiąca.

Z „EXODUS".

(Rozdział XVII.)

A onego czasu
wyruszył był Amalek z hufcami mnogiemi,
wśród trąb grzmotu i mieczów chrzęstnego hałasu,
Izraelowi czynić wstręt w rafidzkiej ziemi.

A gdy kroczył przez pola, pyszny i zuchwały,
w miecącej ognie zbroi, na czele tysięcy:
ziemia drżała i drzewa korony schylały,
a na ród Izraela padł przestrach jagnięcy.

Wonczas do Jozuego rzekł Mojżesz: A oto
wybierz męże i wynijdź w pole przeciw temu:
przez ręce moje ręce Pana ich wygniotą,
bo jest Pan na niebiesiech mocny — ufaj Jemu!

Oto jutro o brzasku dnia wstąpię na wzgórze,
w ręce mojej od Boga daną laskę dzierżąc,
i mur Amalekowej mocy na szczęt zburzę,
bo jest Pan na niebiesiech. Więc idź, Jemu wierząc.

Tak rzekł. I szedł Jozue precz i wybrał męże,
a przez noc całą ognie świeciły z stron obu,
i chrzęst czyniły groźny ostrzone oręże,
a w górze na niebiosach była cisza grobu.

A gdy rano zabłysła zorza i na trawy
cień rozpoczęły rzucać palm liście zwieszone,
przy grzmocie trąb ruszyły wojowników ławy
bić mieczem o pancerze, jak młotem o bronę.

Zaś Mojżesz szedł na wzgórze, po oboim boku
mając za towarzyszów Chura z Aaronem;
stanął i spojrzał, kędy krwiożerczemu smoku
rówien, walczył Jozue żelazem czerwonem.

I podniósł Mojżesz rękę: a wraz zbywszy męstwa,
cofnął się wstecz Amalek, dając Panu chwałę,
jak się łoś cofa, gdy go leśna wstrzyma gęstwa,
podobny strumieniowi, co napotka skałę.

A gdy opadła ręka Mojżesza — jak kłosy
wiatr wtył zgina, podobny orłowi, z błękitów
grożącemu jagniętom owcy krętowłosej:
Amalek król wstecz hufce parł Izraelitów.
Ale ręce Mojżesza osłabły, więc ona
para mężów, Aaron i Chur, kamień spory
wziąwszy, podłożą podeń, i siadł, a ramiona
oparłszy na ich barkach, podźwignął do góry.

I stali po oboim Mojżeszowym boku
Chur i Aaron, a zaś u stóp ich, na dole,
walczył Jozue, rówien krwiożerczemu smoku,
kitę hełmu na wichrów rozpuściwszy wolę.

I gdy blask szedł po mieczów skrwawionych
[tysiącu
i migały na zbrojach łskliwe błyskawice;
Mojżesz, jako słup biały, stał na wzgórzu w słońcu,
topiąc w błękitnem niebie natchnione źrenice.

I widział tam twarz Pańską, podobną czerwono
świecącemu się słońcu, jak żar, gdy przestworza
schną w ogniu huraganów, gdy okręty toną
i ryczącemu niebu wtóruje ryk morza.

I widział tam twarz Pańską, podobną do grzmotu,
wiszącego w obłokach, i do oceanu,
grożącego burzami, i podobną złotu,
co weseli ubogie, i wodom Jordanu —

umiłowanym wodom wielkiej, świętej rzeki,
płynącej gdzieś w odległej, obiecanej ziemi,
wśród palm sennych i cichych, chroniących od
[spieki,
i kwiatów woniejących woniami cudnemi.

Patrzył w twarz Pańską skrytą, a jemu widzialną,
i drżał, jakby ogniste gromu pióropusze
wisiały mu nad głową, a wraz tryumfalną
czuł moc, przenikającą całą jego duszę.

I czuł, jak z duszy jego przez wzniesione ręce
idzie dreszcz o kłach białych i strach krwawooki,
i lęk, lodowych wężów ciskający wieńce,
w Amaleka czerwone hufce od posoki.

A nie ustały ręce Mojżesza od trudu
aż do zachodu słońca, gdy nieprzyjacioły
Jozue, wódz zwycięski wybranego ludu,
gnał przed sobą, jak powódź gna stepem bawoły.

HYMN DO NIRWANY.

Z otchłani klęski i cierpień podnoszę głos do ciebie,
Nirwano!
Przyjdź twe królestwo, jako na ziemi, tak i w niebie,
Nirwano!
Złemu mnie z szponów wyrwij, bom jest utrapion
[srodze,
Nirwano!
I niech już więcej w jarzmie, krwawiącem kark, nie
[chodzę,
Nirwano!
Oto mi ludzka podłość kałem w źrenice bryzga,
Nirwano!
Oto się w złości ludzkiej błocie ma stopa ślizga,
Nirwano!

Oto mię wstręt przepełnił, ohyda mię zadusza,
Nirwano!
I w bólach konwulsyjnych tarza się moja dusza,
Nirwano!
O przyjdź i dłonie swoje połóż na me źrenice,
Nirwano!
Twym unicestwiającym oddechem pierś niech
[sycę,
Nirwano!
Żem żył, niech nie pamiętam, ani wiem, że żyć
[muszę,
Nirwano!
Od myśli i pamięci oderwij moją duszę,
Nirwano!
Od oczu mych odegnaj złe i nikczemne twarze,
Nirwano!
Człowiecze zburz przede mną bożyszcza i ołtarze,
Nirwano!
Niech żywot mię silniejszych, słabszych śmierć
[nie uciska,
Nirwano!
Niech błędny wzrok rozpaczy przed oczy mi nie
[błyska,
Nirwano!

Niech otchłań klęsk i cierpień w łonie się twem [pogrzebie,
Nirwano!
I przyjdź królestwo twoje na ziemi, jak i w niebie,
Nirwano!

SŁUCHACZE.

W ciemności nieba bezgwieździstej,
gdzie wzrok, jak dźwięk bez echa tonie,
w otęczy ołowianej, mglistej,
posępny krąg miesiąca płonie.

Przez pola puste, szare, głuche
płynie gdzieś wielka, cicha rzeka;
ponad nią leżą pnie wierzb suche,
księżyc białością je powleka.

Słuchając szumu rzeki, błądzę — —
szumią wdał wielkie fale senne
i połyskują, jak mosiądze,
wlokąc księżyca łzy promienne.

Rozmarza mię fal monotonność
i mglistość w ciemni księżycowa,
i ziół nadwodnych mocna wonność—
i z ust mych wolno płyną słowa.

A gdzieś poza mgłą wstają szarą
cienie, wolno się ku mnie wleką
i zasiadają całą chmarą
na pniach wierzbowych ponad rzeką.

Wsłuchują się w mą pieśń, zadumy
pełną, w otchłanie gdzieś lecącą,
pieśń, której słowa są jak szumy
wód, co się w głuchych grotach mącą.

Wsłuchują się w mą pieśń, bezdennej
tęsknoty pełną, pieśń, co płynie
w mistycznych uczuć bezimienny
świat i w głębinach ciemnych ginie.

Widzę w księżyca mgłych posnowach
łzy, co spływają im na lice;
te cienie czują w bladych słowach
krwawą mej duszy tajemnicę.

Te cienie widzą w duszy głębi,
to nieujęte i bezkresne,
co konwulsyjnie w niej się kłębi,
wbrew woli czute i bolesne.

Najmilej mi wśród tych słuchaczów,
Widzących każde serca drgnienie —- —
słucham ich cichych, smutnych płaczów,
i pieśń ma łamie się w westchnienie.

ŻYCIE.

Wszedłem — — świat mi się zdał jak jeden cud,
czarowna wizya, w ekstazie zrodzona...
Od gór do lasów, od nieba do wód

biegła ma dusza, zachwytem szalona...
Jakbym ku sobie wszechświat garnąć chciał,
młode-m ku niemu wyciągnął ramiona...

Z lasów i łanów, z wód, z wysokich skał,
z niebiosów, zewsząd na moje zachwyty
bóg szczęścia uśmiech mi w odpowiedź słał.

Biec chciałem, cudem i czarem niesyty,
dalej i dalej!... Wtem owiał mię chłód,
i w przerażeniu stanąłem, jak wryty.

Krew mi się wszystka ścięła w żyłach w lód:
straszna przede mną stała upiorzyca,
z piekielnych kędyś wyzionięta wrót.

Trąd jej okrywał trupio-żółte lica,
a oczy miała żarłoczne, jak sęp,
którego nigdy i nic nie zasyca.

W zmierzwionych włosach gadów wił się kłęb;
ohydna, straszna, weszła mi na drogę,
odziana w łachman gnijący i strzęp.

Śmiertelną czując odrazę i trwogę,
chciałem uciekać, ale woli wbrew
czułem, że nóg mych poruszyć nie mogę.

Rozpacz mię wówczas porwała i gniew,
chciałem poczwarę usunąć przebojem
z drogi mej, w głowie huczała mi krew.

Chciałem biec dalej za tem szczęściem mojem,
którem mi świata uśmiechał się bóg,
za pięknem, światłem, weselem, pokojem.

Lecz próżno! ruszyć nie mogłem mych nóg,
a wiedźma ku mnie zbliżała się ona,
pełnemu wstrętu i śmiertelnych trwóg.

I zrozumiałem, że próżna obrona,
że nie potrafię ujść tych strasznych rąk,
że mnie przyciśnie poczwara do łona,

I wśród piekielnych obrzydzeń i mąk
zapładniać będę musiał tę ohydną,
i w jej uściskach pędzić dni mych ciąg.

A ona, dłonią bezczelnie bezwstydną,
jęła obnażać swój okropny kształt
i w swej nagości stanęła mi widną.

Każdy łachmanów odsłoniła fałd,
a oczy moje z pod powiek skostnienia
patrzyły, woli mej zadając gwałt.

I pochwyciła mnie w swe uściśnienia — —
o dziwna, straszna ironio! Jam czuł
żądzę wśród wstrętu, rozkosz wśród cierpienia.

Jej wzrok podniecał, choć jej oddech truł —
i pot mi czoło zlewał już obficie,
a jeszczem nie rwał węzła, co nas skuł.

Ktoś jest? — spytałem. Odrzekła mi: „Życie".

HYMN DO MIŁOŚCI.

Tyś jest najwyższą z sił, wszystko ulega tobie,
miłości!
Życie jest żądzą, a tyś z żądz największą,
prócz samej żądzy życia; duszą duszy
i sercem serca życia tyś jest,
miłości!
Jeśli największem szczęściem zapomnienie,
bezwiedza i niepamięć własnego istnienia,
toś ty jest szczęściem szczęścia, ty, co dajesz
omdlenie duszy i omdlenie zmysłom
i myśli kładziesz kres upajający,
miłości!
Jeśli złudzenia są jedynem dobrem,
toś ty największem dobrem, najsilniejsze
ze wszystkich złudzeń, ty, moc mocy,

pierwotna, dzika, nieznająca kiełzań
święta potęgo
miłości!
Jeśli pragnienia są jedyną ową
poręczą, która chroni
od upadnięcia w przepaść rozpaczy i wstrętu;
jeśli są jedynym
mostem, po którym można iść nad odmęt nudy;
jeśli jedynem są lekarstwem, które
broni od cierpień zwątpienia i zbrzydzeń,
pogardy świata i od samowzgardy:
to ty, o matko pragnień, jesteś ową
poręczą, mostem i lekarstwem, jesteś
zbawczynią ludzi,
miłości!
Czas idzie i zmieniają się wiary,
bóstwa w proch upadają jedne po drugich,
dziś czczone, jutro deptane,
przechodzą przed oczyma ludzkości,
by więcej nie powrócić:
ty trwasz wieczysta, jak strach, głód i zawiść,
pierwotna, tak jak one,
jak one tryumfalna,
nad wszystko wyniesiona, niepokonana

niczem i nigdy, tak jak one,
pierwotna, dzika potęgo
miłości!
Wdzięku, piękności natury,
kędyś jest wobec wdzięku i piękna miłości?
Jesteś, jak rama
do obrazu, jak otęcz promieni
skrzącemu kręgowi słońca.
Kędyś jest, liściu róży,
wobec ust ukochanej?
Kędyś szafirze niebios, morza błękicie,
wobec ócz ukochanej?
Kędyś szumie jaworów i śpiewie ptaków
w wiosenne rano
wobec głosu ukochanej?
Kędyś ciszo grot pośród paproci
pod gęstemi zaplotami bluszczów,
wobec milczenia ukochanej?
Kędyś jest śniegu, różowiony blado
od blasku słońca,
wobec koloru ciała ukochanej?
Kędyście linie cudowne
gór i skał, kędy łuk tęczy świetlisty,
kędy przepysznych wodospadów wstęgi,

smukłe narcyzy, palmy wybujałe,
kędy obłoki lotne i powiewne
wobec kształtów ciała ukochanej?
Kędyś mchu miękki, liściu aksamitny
wobec jej piersi dotknięcia i dłoni?
Kędyś marmurze gładki, grzany słońcem,
wobec jej białych bioder, spływających
cudowną linią
w odurzający wzrok, dech wstrzymujący
kształt, który rękę przykuwa do siebie?
Kędyś jest czarze nocy księżycowej,
czarze poranku, kiedy słońce wschodzi
z za gór dalekich;
uroku jezior, co się nagle jawią
pośród skał senne,
i tej zieleni złocistej, ze szczytów
widzianej w dali:
wobec czaru ukochanej?
Kędyś jest melancholjo wieczorów jesiennych
wobec jej smutku?
Kędyś wesele letniego południa
przy jej radości?
Kędy o sławie sny, sny o potędze,
zwycięstwach dumy, odpłaceniu krzywdy,

o nieznoszeniu niesprawiedliwości:
wobec snów o ukochanej?
Kędyś pragnienie posiadania złota
przy posiadania jej ciała pragnieniu?
Kędyś jest żądzo poznania wszystkiego,
co jest poznanem, albo niem być może,
wobec pragnienia poznania wskroś duszy
ukochanej kobiety?
Tak, tyś najwyższą z sił, tyś życiem życia,
miłości!
Najsłodszą rozkosz i najsroższą boleść
ty sprawiasz; tyś jest tak, jak śmierć, królową
wszechistnień ziemskich, pierwotna potęgo
miłości.

DUCH MELODYI.

Księżycowy krąg lśni — —
mknie wśród nocnej mgły
duch melodyi w przestworach:
wiatru niesie go wiew
ponad korony drzew,
po oceanach i górach.

Leci dźwięczny, jak dzwon,
rozwiewny, jak z łon
morskich opar wytchnięty;
skrzydłami muska strop,
dotknięciem lekkich stóp
kołysze rosy dyamenty.

Szept, gdy kwiatów liść drży,
szmer skrzydełek ćmy,

szelest wody, szum boru,
dźwięki powietrznych cisz:
wiąże w akord i wzwyż
do sfer unosi je chóru.

Zasłuchana myśl ma
za tą pieśnią gna,
w przestrzenną wpływa ciszę,
straciwszy z oczu świat
w pustce bez kresu, lat,
w falisty rytm się kołysze.

Cicho... sen boski tu...
nirwana... cud snu...
wszystko niknie w mgle szarej,
usypia wszelki ruch,
tylko melodyi duch,
dźwięcząc, przelata bezmiary.

NARODZINY AFRODYTY.

Złocisty to był dzień. Błękitne zadumanie
objęło cały świat. Na modrym oceanie
słoneczny zasnął blask. Na ziemi i na niebie
cisza zdawała się wsłuchiwać sama w siebie.
Omdlewał wokrąg świat od światła i gorąca,
różany płonął kwiat, srebrniała lilja drżąca,
nad cichą, modrą toń nieskończonego morza
płynęła kwiatów woń, jak lutni dźwięk w prze-
[stworza.

Wtem — jakby zwiewny rój motyli skrzydłem
[drżącem
potrącił śpiący blask i śpiącą głąb pod słońcem:
zadrgała senność sfer i kwiaty zaszeptały,
niepokój jakiś świat ogarnął nagle cały,

oczekiwanie — — cud się jakiś dziwny iści — —
z błękitno-złotych wód, z zielono-złotych liści
dźwięczący wybiegł szmer, lękliwy i radosny,
zadrgała senność sfer, jak w narodziny wiosny.

I ze srebrzystych pian, co w słońcu nieruchomie
w tęczach świetlanych skier leżą na wód ogromie,
wśród blasku, ciepła, mgieł złocistych, z wód
[kryształu
nagi niewieści kształt wynurza się pomału — —
zdumienie zdjęło świat: przejrzyste milkną sfery,
drżeć przestał róży kwiat, liljowe ścichły szmery,
jakby zaklęta, woń stanęła skrysztalona,
i w zadziwieniu w toń spojrzała nieb opona.

A ze srebrzystych pian Afrodis wyszła biała
i naprzód słońcu swój promienny uśmiech słała,
potem przez modrą głąb powoli szła ku ziemi,
znacząc swej drogi ślad kroplami świetlistemi,
i boski uśmiech śle niebiosom, lądom, wodzie,
a świat dziwował się przecudnej jej urodzie,
blask ją osuszać biegł, woń obcierała z rosy,
u nóg jej śnieżnych legł ocean modrowłosy.

A ona w słońcu swe suszyła ciało białe,
zefiry pieszczą ją z rozkoszy oszalałe,
ślizgają się od stóp po nogach jej do łona,
całują piersi jej i szyję i ramiona.
spijają perły pian z jej zagięć i, lubieżne,
w lotny okrążą tan jej uda smukłe, śnieżne,
zwolna się suną wzdłuż jej pełnych biódr,
[a potem
ku ustom z wonią róż wzlatują nagłym wzlotem.

Muskają włosy jej złociste, miękkie, śliczne,
złocisty szafir ócz owieją balsamiczne,
i omdlewając już do stóp jej kornie padną...
A ona rękę swą podniosła światowładną
i naga stała tam, a dziwna jej potęga
aż do Hadesu bram nieprzekroczonych sięga,
i zadrżał wszechświat wkrąg, bo z morskich
[głębokości
sprawczyni wyszła mąk najsroższych dla ludzkości.

NARODZINY WIOSNY.

Gdy pierwszy nastał dzień wschodzącej wiosny
[młodej,
najpierwszy zbudził się śpiący na dnie bóg wody
i powstał z chłodnych leż i głową kędzierzawą
uderzył w lód, co legł na rzece lśniącą ławą,
i rozpękł z hukiem lód, i z prądem kry się suną,
a w słońcu suszył bóg swą głowę krętoruną. —
A gdy goręcej blask słoneczny padł na gaje,
bogini wonnych ziół z pościeli miękkiej wstaje
i rozpuściła włos, co aż do ziemi spływa,
i naga polem szła bogini złotogrzywa,
a kędy pola tknie jej włos, tam wnet się trawy
zielona puści ruń i szczaw zielono-rdzawy. —
Owiana ciepłem zórz, wiosennych tchem powiewów,
pieszczona wonią sfer, z różanych wyszła krzewów

i uśmiechnęła się do złocistego słońca
bogini, córa nieb, kwiatami władająca,
W złocisty szafir ócz objęła świat miłośnie,
a kędy spojrzy, kwiat prześliczny wnet wyrośnie,
i wkoło lilij, róż, narcyzów kwitnie mnóstwo,
a wśród nich słońcu śle uśmiechy jasne bóstwo. —
I powstał lasów bóg, strząsł zwiędłe liście z głowy,
i z świeżych sobie wnet splótł liści wian dębowy,
i rozkołysał drzew gałęzie i konary,
i słuchał — — płynął hymn, hymn uroczysty, stary,
i długo słuchał bóg w powadze i zadumie
odwiecznych baśni w tym rozkołysanym szumie. —
Brodatych faunów huf i śnieżne nimfy społem
za ręce wziąwszy się, pląsają nadzy kołem
na łące, kędy blask od słońca złoty pada — —
przy cudnej wiatru grze tam pląsa bóstw gromada,
świat pachnie, lśni się wkrąg i jakaś moc miłosna
lubieżnie pieści go... Rodząca wstała wiosna.

LEDA.

Czy znacie Ledę Michała Anioła
w skrzydłach łabędzia z rozkoszy mdlejącą,
nagą, z dyamentem u boskiego czoła?

Świat cały piersią oddycha gorącą,
cicho — — i tylko dalekiego morza
słychać gdzieś falę o falę dzwoniącą.

Kaskady blasku rzuca słońca zorza,
jak opar z wody, woń wznosi się z kwiatów
i mgłą rozwiewną płynie na przestworza.

A lśniąc od słońca płomiennych szkarłatów
w przecudne linje gnie się nagie ciało,
na ziemi leżąc pełnej aromatów.

I co się komu kiedy marzyć śmiało
w snach najgorętszych o kobiecem pięknie:
tu ma wcielone ręką mistrza śmiałą.

A każdy członek zda się w oczach mięknie
od palącego rozkoszy nadmiaru
i w cichym ruchu rzeźbi się przepięknie.

Nagości owej promiennego czaru
w żadnem się słowie wypowiedzieć nie da;
myśli się mroczą od zmysłów pożaru

i od rozkoszy, jaką czuje Leda.

DO NIEZNAJOMEJ.

Nie wiem, kto jesteś — — ledwo kilka razy
widziałem ciebie — — za każdem widzeniem
pierś ma się dziwnem podnosi wzruszeniem,
serce szalonem poczyna bić tętnem,
a usta moje palą te wyrazy,
którebym tylko w omdleniu namiętnem,
patrząc ci w oczy, wymówił westchnieniem.

Rozkosz i boleść czuję, gdy cię widzę,
i zdaje mi się, że cię kochać muszę,
i zdaje mi się, że cię nienawidzę — —
przeklął bym ciebie i oddał ci duszę.

Na myśl rozkoszy, jaką twój dać może
uścisk dziewiczy, oszaleć się boję — —

szukając ciebie, spotkania się trwożę — —
trucizną są mi cudne oczy twoje,
oczy błękitne i senne, jak morze.

Na samą myśl tę, gdy cię półomdlałą
widzę w snach moich z lawy i płomienia,
gdy dłutem z ognia rzeźbię twoje ciało,
każdy kształt ciała, co gdy opierścieni
zmysły w huragan i krew w burzę zmieni:
na samą myśl tę blizkim jest omdlenia.

Tonąc w srebrzystym ócz twoich błękicie,
pod stopy twoje rzuciłbym me życie,
a razem żądzę uczuwam szaloną
zabić cię jednym oczu moich błyskiem,
bo wolałbym cię śmierci poślubioną
widzieć, niż z innym splecioną uściskiem...

ZACISZA.

Są te zacisza, gdzie dusza omdlewa
w jakiemś przedziwnie słodkiem upojeniu;
gdzie plamy słońca kładą się na cieniu,
jak złote wyspy na mórz ciemnej toni,
gdzie czasem cicho przelatuje mewa,
lub słowik z krzewów różanych zadzwoni.

Są te zacisza, gdzie się dwa oddechy
jak dwa gorące promienie słoneczne
łączą ze sobą, gdzie się w gardła mleczne
wpija pragnące usta rozpalone,
gdzie roztapiają się w niemoc uśmiechy
i z biódr i piersi zrywa się zasłonę.

Są pocałunki, które serca drgnienia
tamują w piersi, odetchnąć niezdolnej,

rozkosz rozkoszy odczuwania wspólnej,
najwyższa z wszystkich, co z śmiercią graniczy;
są nieskończone zmysłów upojenia,
bezdnie pożądań, bezkresy słodyczy.

Są półdziecinnej natchnienia pieszczoty,
drgnienia w powietrzu ciche i płochliwe,
jakby z za modro-srebrnych mgieł wstydliwe
półwidne lice jawiło się Psychy
z przejrzystym różem stłumionej tęsknoty,
z zdjętemi z jasnych błękitów uśmiechy.

Są wyszukanej rozkoszy porywy,
wizye gwałcące naturę, męczeństwa
przewzbranych pragnień, niesytu szaleństwa,
wśród szału żądzy okrucieństw popędy,
jakiejś pieszczoty nieludzkiej, straszliwej,
pożądań wściekłe, spienione obłędy.

Są te zacisza, gdzie słońce promienie
trącają kwiatów tęczowe kielichy,
a z kwiatów w przestwór zamyślony, cichy,
woń się unosi falującym wzlotem,

niosąca, zda się, listeczków dzwonienie,
trąconych blasku słonecznego złotem.

Są te zacisza, skąd w modre błękity
źrenic omdlałych spojrzenia się wznoszą,
gdzie się upaja dosytu rozkoszą,
wspomnień zachwytem, wyczerpań niemocą— —
gdzie całą słodycz wyssawszy z kobiety,
przed śmierci nie drży się wstającą nocą.

NIESKOŃCZONOŚĆ.

I.

Wsłuchuję się w szept mgławic, wiszących w bez-
[brzeży,
wpatruję w zadumaną niezmierność błękitu,
byłem w odwiecznych grotach, pełnych stalaktytu
i skamieniałych szczątków praroślin, prazwierzy...

W pustą bezdeń się rozległ odgłos dzwonu
[z wieży — —
ścigam go uchem — — zda się, że hen do zenitu
dopłynął i w bezkresach rozlał się niebytu
i wiecznie brzmi, falując coraz dalej, szerzej...

Echo lśnień, przez słoneczną rzuconych czerwoność
na kryształ wód, odbite wraca w wielkie tonie

i wiecznie kędyś w otchłań pustą lecieć będzie...
Słucham, patrzę — i myśl ma w zadumaniu tonie,
idzie, kędy przestrzeni i czasu krawędzie
schodzą się — i zanurza się w głąb, w nieskoń-
[czoność.

II.

Więcej, niźli natury pierwotne piękności,
więcej, niżeli uśmiech kobiety kochanej,
więcej, niż światło natchnień, marzeń oceany:
ty mnie nęcisz ku sobie, o nieskończoności.

Wtapiam się w ciebie myślą, czuję cię w senności
sfer przestrzennych, w dróg mlecznych rozwiei
[świetlanej,
czuję cię w mojem własnem pragnieniu nirwany
i wciąż odradzających się żądzach ludzkości.

Zda mi się, żem spokojnym, jesiennym wieczorem
stanął kędyś nad cichem, niezmiernem jeziorem,
kiedy mgły na las schodzą i na gór głąb ciemną —
patrzę — — blady księżyca krąg błyszczy pode mną,

a otchłań z taką dziwną potęgą mię nęci,
że pochylam się zwolna, tracąc świat z pamięci.

III.

Nieraz w mych Tatr rodzinnych przepastne głebiny
nurzałem się, jak delfin w oceanu tonie,
szedłem ponad urwiska, z których trupie dłonie
śmierć wyciąga, a kędy strach zepchnąć chce siny.

Szedłem, aby na puste spoglądać doliny,
na złomy skał, ginące w obłoków oponie,
śnieg, co tam w zimnym blasku słońca martwo płonie,
głuche stawy i senne, dalekie równiny.

Jak lunatyk po dachu krawędzi, bez trwogi,
jakby mię prowadziła dłoń magnetyzera:
szedłem przez najurwistsze, najszaleńsze drogi

patrzeć na martwość, co się w górach rozpo-
ściera — —
w owej pustej, ponurej, olbrzymiej martwości
szedłem cię głębiej, silniej czuć, nieskończoności.

ALBATROS.

Cisza na oceanie, nie drgnie jedna fala,
ciemnomodra płaszczyzna nieruchomo leży;
na fali, skąd już nie znać sinych wstęg wybrzeży,
siadł albatros od lądów i ludnych wysp zdala,

Marzy — i żaden gwar mu ciszy nie zamąca,
marzy — — ziemia daleko i daleko życie...
utonąwszy oczyma w świetlistym błękicie,
na ciemnomodrej wodzie bieli się wśród słońca.

Zadumane, niezmierne dokoła milczenie,
w bezbrzeż sfer zapatrzony spokój, sen przedwieczny,
zda się, w kryształ promienny ściął się krąg sło-
[neczny
wielkie skrysztaliło się nieba sklepienie.

Ptak śni — i zdaje mu się, że Bóg ziemi jeszcze
nie stworzył, tylko woda nieruchoma, senna
leży pod sennem niebem, bezkresna, bezdenna...
śni — — sen mu przerwą wichry, pioruny i deszcze.

Wówczas na wielkich skrzydłach z szumem się
[podniesie,
wrzący ocean muśnie po spienionej grzywie,
rzuci się w pierś orkanom, huczącym straszliwie,
i ponad burzą w cichym zawiśnie bezkresie.

A gdy burza ucichnie, gdzieś na skale dzikiej
usiądzie suszyć pióra od deszczu wilgotne
i, patrząc w słońce, jak on, dumne i samotne,
słuchać w skałę bijących fal sennej muzyki.

WIDOK ZE ŚWINICY DO DOLINY WIERCHCICHEJ.

Taki tam spokój... Na gór zbocza
światła się zlewa mgła przezrocza,
na senną zieleń gór.

Szumiący zdala wśród kamieni
w słońcu się potok skrzy i mieni
w srebrno-tęczowy sznur.

Ciemnozielony w mgle złocistej
wśród ciszy drzemie uroczystej
głuchy smrekowy las.

Na jasnych, bujnych traw pościeli
pod słońce się gdzieniegdzie bieli
w zieleni martwy głaz.

O ścianie nagiej, szarej, stromej,
spiętrzone wkoło skał rozłomy
w świetlnych zasnęły mgłach,

Ponad doliną się rozwiesza
srebrzysto-turkusowa cisza
nieba w słonecznych skrach.

Patrzę ze szczytu wdół: pode mną
przepaść rozwarła paszczę ciemną —
patrzę w dolinę, wdal:

I jakaś dziwna mię pochwyca
bez brzegu i bez dna tęsknica,
niewysłowiony żal...

W LESIE.

Wolno i sennie chodzą
po jasnem tle błękitu
złocisto-białe chmurki
z połyskiem aksamitu.

Niekiedy się zasrebrzy
pod słońca blask z ukosa
jaskółka śmigła, czarna,
sunąca przez niebiosa.

Po łące cichej, jasnej,
w srebrne objętej ramy
przez opalowy strumień,
złote się kładą plamy.

Szmaragdem słońce błyska
na ciemnej drzew zieleni,
lub przez konary rzuca
ognistych pęk promieni.

Po niebie i po lesie,
po łąk zielonych łanie,
przejrzyste, zwiewne idzie
błękitne zadumanie.

MELODYA MGIEŁ NOCNYCH.

(Nad Czarnym Stawem Gąsienicowym.)

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Okręcajmy się wstęgą naokoło księżyca,
co nam ciała przezrocze tęczą blasków nasyca,
i wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
i limb szumy powiewne i w smrekowym szept borze;
pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach gór
[kwitną,
dźwięczne, barwne i wonne, w głąb wzlatujmy
[błękitną.
Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w kotlinie,
lekko z wiatrem pląsajmy po przestworów głębinie...
Oto gwiazdę, co spada, lećmy chwycić w ramiona,
lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona;

puchem mlecza się bawmy i ćmy błoną przezroczą,
i sów pierzem puszystem, co w powietrzu krąg toczą;
nietoperza ścigajmy, co pocichu tak leci,
jak my same, i w nikłe oplątajmy go sieci;
z szczytu na szczyt przerzućmy się jak mosty wiszące,
gwiazd promienie przybiją do skał mostów tych
[końce,
a wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,
nim je zerwie i w pląsy znów pogoni nas skocznie...

NA „ŻELAZNEJ DRODZE" POD REGLAMI.

Zwolna zachodzi słońce.
Rdzawią się gór zielone kopy i ubocze,
fioletu i ponsu plamy gorejące
na modro-siny granit kładą się powoli;
różowią się niebiosów błękitne roztocze,
złoto, szkarłat, fiolet, bronz, razem zmieszane,
na biało-żółtych chmurek rozlały się pianę,
z którą wietrzyk swawoli,
sunąc ją przez powietrznych fal bezdnie przezrocze.
Jakby przez mgłę przesiane
pada światło słoneczne na cichą polanę,
gdzie wśród jasnej zieleni
tu owdzie koniczyny główka się czerwieni,

błękitnieje goryczka, a brzegiem potoku
niezapominek modra koronka się mieni.
Niżej, na góry stoku,
za łanami zbóż sennych o blasku złocistym,
czerni się las smrekowy w otęczeniu mglistem.
Cisza. Patrzę przed siebie,
źrenice moje błądzą po ziemi, po niebie,
idą przez ziemię cichą, szeroką, świetlaną
płyną po nieba głuchem, niezmiernem przestworzu
leniwo, wolno, jak łódź po spokojnem morzu,
gdy żagle pozwijano.
I ogarnia mię jakieś senne zamyślenie,
jakiś smutek, żal dziwny, i takie pragnienie
czegoś nieokreślnego duszę mą pochwyca:
że więcejbym owinąć nie pragnął w ramiona
tej, która mi na wieczność rzuciła wspomnienie...
I jakaś nieskończona,
nieskończona tęsknica
oblewa mię bezbrzeżnym marzeń oceanem,
na żądań zakrzewione wiedzie mię bezdroże...
Tęsknię za czemś nieznanem,
mistycznem i kryjomem,
za czemś, co mogło istnieć przed wieków ogromem,
albo stanie się się kiedyś po wieków powodzi,

lub dziś koło mnie może
nieznane mi przechodzi...
A wieki zmarłe i te, co przyjdą, w ogniwa
nigdzie nieprzerwanego wszechbytu łańcucha
wplatają, jako jedno z ogniw, mego ducha,
i duch mój się rozszerza, rozdala, rozpływa,
wciela się w czas i w przestrzeń i wszechkształty —
[ginie,
nicestwieje, wessany w bezdenie wszechbytu,
co, jak olbrzymi polip, osnuł go miljonem
ramion, splotów i więzów — nurzy się w głębinie,
przepada w nieskończonem...
A z skał sinego szczytu
schodząc, mrok się rozściela cichy po dolinie,
i wielka melancholja nocy zwolna spływa,
zdobiąc sklep nieba pierwszą senną, bladą gwiazdą,
a myśl moja zmęczona do lotu się zrywa
i na jej łono leci, jak gołąb na gniazdo.

LIMBA.

Samotna limba szumi
na zboczu stromem,
u stóp jej czarna przepaść,
zasłana złomem.

Wkoło się piętrzy granit
zimny, ponury,
ponad nią wicher ciemne
przegania chmury.

Wkrąg otoczona taką
pustką okrutną,
samotna limba szumi
bezdennie smutno...



BURZA.

Nad Gerlachem zawisnął kłąb czarny, olbrzymi
zawichrzonych obłoków, raz wraz ogniem pryska,
grzmotu huk się roztrąca o skalne zamczyska,
waląc się, złom odbity skry krzesze i dymi.

Wzdymaj się, nawałnico!... Jak na morzu wzdętem
łódź wiruje: tak moja myśl wiruje w tobie,
leci z twemi ptakami o płomiennym dziobie,
upaja się do szału ogniem i zamętem.

Wzdymaj się, nawałnico!... Druzgocz twarde złomy,
wywracaj lasy, jezior pruj głębokie tonie,
pędź, zniszczenia i śmierci straszliwy demonie,
pędź, duchu wśród błyskawic jaskrawych widomy!

Wzdymaj się, nawałnico!... Łeb swój pochyl turzy,
uderz w ziemię, aż jęknie, ślepiami krwawemi
nieć pożary, aż ogień buchnie po wszechziemi,
aż spopieleje cała!... Pędź, demonie burzy!

Przegnała nawałnica... Wzrok rzuciłem na dół,
myśląc, że świat zobaczę odmłodzony, świeży — —
kilka drzew zdruzgotanych w mętnej wodzie leży,
lecz nie zmienił się w niczem smutny ziemski padół.

MGŁY NOCNE.

W wąwóz, między dwie skały rozdarte, miesiąca
wbiegł krąg i zawisł w ciemnych niebiosach
[promienny
i rzucił wdół swe światło: na załom kamienny
padło, gdzie sie przewala kaskada hucząca.

Światło srebrzystą łuskę rzuca po strumieniu,
na cały wąwóz prószy z księżyca pył szklany,
srebrzą się sine, w niebo strzelające ściany,
i czarne głuche morza lasów w oddaleniu.

Na zboczach, wśród omglonych limbowych gałęzi,
świecą gwiazdy złociste — zda się, że z niebiosów
spadły na twarde czoła kamiennych kolosów
i odbite zawisły w iglastej uwięzi.

Cisza — — tylko dźwięk szumu słychać w skalnej
jakby skały i wody i limby i jodły [dziczy,
rozkołysaną, senną mowę z sobą wiodły
o rzeczy pełnej grozy, wielkiej, tajemniczej.

Mgły snują się w powietrzu, drżące i niepewne,
zda się, jakby dzwonienie szumu kołysały
i niosły je od jodeł i limb między skały — —
płyną — — znikły w rozłomach, lotne i rozwiewne.

Znów wylatują z za gór i na kosodrzewie
oparły lekkie stopy, rozsnuły warkocze,
rozwiały skrzydeł błony szerokie, przezrocze,
i ważą się przy wiatru rytmicznym powiewie.

Już płyną wdół na lasy — na wierzchołków fali
rozesłały się czarnej — na ich ciała mgliste
księżyc rzucił blask świetlny, i całe srebrzyste
leżą, jak welon z płynnych dziergany opali.

Wtem podniosły się w górę — lecą — wkoło
[szczytów
wiją wieńce, pląsają — złączyły się społem —
wiatr podbił je — zawisły nad kamiennem czołem
i uleciały w przestrzeń gwieździstych błękitów.

POZDROWIENIE.

Z ponad wiślanych leci fal
wiosenny, chłodny wiatr,
leci ku mojej ziemi w dal,
ku śnieżnym szczytom Tatr.

Wichrze! Nad wzgórza, pola nieś
me pozdrowienie stąd,
rodzinną moją pozdrów wieś
i dunajcowy prąd.

Przydrożne wierzby, smreków las,
w ogródkach każdy kwiat,
i wszystkie łąki pozdrów wraz
i ludzi z wszystkich chat.

I do tych śnieżnych skał się zwróć,
ku stawom, halom gnaj,
i pozdrów mi po tysiąckroć
mój cały górski kraj...

Z DAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

I.

W pamięci mojej stanęła tak blada
jak widmo senne,
a przed tem widmem cały świat upada
w głębie bezdenne.

Upada z całą swą walką, cierpieniem
w głębie bezdenne,
przed jednym bladym i znikomym cieniem,
jak widmo senne.

II.

Zdaleka patrzą na mnie twe oczy
błękitne, duże,

a chociaż takie są jasne, jak słońce,
powiek nie mrużę.

Powiek nie mrużę i nieolśniony
tym blaskiem stoję,
bo jak lód zimne, choć jak słońce, jasne
są oczy twoje.

III.

Coraz to większy czar mnie uderza
z lic twych obrazu,
patrzę weń często, często i długo
z tęsknotą bez wyrazu.

I z serca mego w twojebym serce
krew przelał, miła,
własnem mem życiem chciałbym to sprawić
abyś mi ty ożyła...

IV.

Słyszałem ciebie... zdało mi się może,
lecz głos twój dzwonił mi chwilę w przestworze,

podobny woni, ziół i kwiatów echu,
co w przestrzeń leci w powietrznym oddechu.

Może bez wiedzy twej, we śnie, w odległy
kraj ku mnie myśli twe cicho pobiegły,
jak te jaskółki, co niekiedy wrócą
zobaczyć dawne gniazda, które rzucą.

V.

Zda mi się czasem,
jakby mi na twarz padało to słońce,
co w ową wiosnę świeciło przed laty
dziwnie promienne — — —
jakbym tak samo, jak wówczas pachnące
w ogrodzie naprost mych okien czuł kwiaty,
kwiaty wiosenne...

Zda mi się czasem,
że mi ta wiosna czarowna powraca
i wszystkie moje umarłe marzenia
zmartwychpowstaną — —
i cały świat mi szkli się i rozzłaca,
i patrzę w jakieś świetlne oddalenia,
w przestrzeń świetlaną...

VI.

Kocham cię jeszcze... Ani mnie powiedzieć
nie wolno tego, ani tobie wiedzieć,
lecz ja nie żądam nic, nawet pamięci...
A wszak tym, którym na oczy się rzuci
noc: o jasności nikt marzyć nie broni,
i to marzenie najwięcej ich nęci,
chociaż im jasność nigdy już nie wróci
i chociaż bardzo cierpią, tęskniąc do niej.

VII.

Idę przez drogę życia złą i ciemną,
dokąd?... Czyż wiem?...
A zawsze, wszędzie twój cień idzie ze mną,
nocą i dniem.

Zawsze i wszędzie słucha serca mego
najskrytszych drgnień,
ani opuszcza mię, choć lata biegą,
twój blady cień.

VIII.

Pamiętam ciebie... Zda mi się, że cała
jasność, mojemu życiu przeznaczona,

przeszła wraz z tobą, wielka i wspaniała,
i nigdy więcej, nigdy nie zadnieje...
A nieraz jeszcze wyciągam ramiona
tęskne za tobą, jakbym miał nadzieję,
że przyjdziesz do mnie, i nie mogę do tej
myśli przywyknąć, żeś dla mnie stracona,
że nie zostało mi nic, prócz tęsknoty...
Pamiętam ciebie... Dzień mi bez godziny
nie spłynął jeden, choć lat zbiegło wiele,
żebyś ty z wspomnień mych ciemnej głębiny
nie wyłoniła się, cicha i blada,
jaką widziałem cię niegdyś w kościele
po raz ostatni... Naówczas owłada
mną taki smutek i tak wielka żałość,
jakbym cię wczoraj żegnał... Wobec cienia
postaci twojej, wobec przywidzenia
czuję tę samą młodzieńczą nieśmiałość,
te same dziwne dreszcze i pragnienia,
jakiem czuł niegdyś — i nic już nie pomnę,
ni lat przebytych, ni późniejszych wrażeń,
i myśli moje błądzą nieprzytomne
w krainie zmarłych, zmartwychwstałych marzeń...

ZAMYŚLENIA.

I.

Cicho i wolno, jak mgła, co się zrana
znad łąk podnosi przy lekkim powiewie
wschodniego wiatru i w przestrzeń ulata;
tak nieraz myśl ma tęskna, zadumana,
podobna znad mórz wzlatującej mewie,
wznosi się w przestrzeń nadziemskiego świata.

I jest to moja najmilsza godzina
lecieć tą pustką cichą i przejrzystą
ponad kopułę niebiosów — — w bezmiary...
Zrazu mię jakaś toń okala sina,
powoli w głąb się mieniąca świetlistą,
gdzie biało-złote włóczą się opary.

Potem jest jasność niezmierna, zamyśleń
i ciszy pełna, nie wiem skąd idąca,
bo nigdzie światła nie widać krynicy,
przestrzeń bez żadnych dla oczu zakreśleń,
blask większy, niżli promienienie słońca,
lecz nie rażący jaskrawo źrenicy.

I głusza kotlin, i jakby harmonii
leśnej podźwięki, i wielka, niezmienna
spokojność jezior widnych w oddaleniach — —

i w owej pustej, niezgłębionej toni
myśl ma zawisa nieruchoma, senna,
podobna orłom, co zasną w przestrzeniach.

II.

Gwiazdy, wy kwiaty, co się rozwijacie
na łące niebios o cichym wieczorze,
a kiedy wstają podsłoneczne zorze,
jak brylant w ogniu, giniecie w szkarłacie:

po jakiejś drodze mistycznych zachwytów,
dążeń tajemnych, tęsknot nieokreślnych,
myśl moja leci ku wam i w bezkreśnych
głębiach kołuje bezdennych błękitów.

W melodyach światła waszego się pluszcze,
w tajemnych wśród was przepada otchłaniach,
w tysiącznych skonach i zmartwychpowstaniach
przelata niebios nieskończone puszcze.

I jest jej, smutnej i w sobie zamkniętej,
dobrze tam, wśród was, smętnych i tajemnic
i milczeń pełnych, wiszących wśród ciemnic,
jak dusze, pchnięte w zamyśleń odmęty.

I jest jej dobrze czasem, jak stepowy
rumak, co wicher piersią w pędzie chwyta
i złote iskry sypie z pod kopyta:
lecieć i lotu znaczyć ślad ogniowy.

A czasem idzie jako dziecko w lesie
i trwożnie szuka między wami drogi,
czując olbrzymie jakieś tajne bogi,
jak lwy w pustyniach, błądzące w bezkresie.

III.

Czasem zda mi się, że to wszystko sen:
przestrzeń mej myśli i cały świat ten,
ziemia i błękit i światła w błękicie,
i bóstw idea władających skrycie.

Snem mi się zdaje Chrystusowy cień,
snem noc zwątpienia, snem nadziei dzień,
snem zło i dobro, snem śmierć i tworzenie,
snem byt, snem nawet własne me istnienie.

A kędyś ocknąć się mam z tego snu,
gdzie? kiedy?... Nie wiem, li wiem, że nie tu;
a tak się ocknąć mam, jak dziecko po śnie
strasznym, co przez łzy śmieje się radośnie.

Gdzie? kiedy?... nie wiem, ni wiem, co jest tam,
kędy się ocknąć ze snu życia mam...
Zda mi się — — jasność wielka, nieprzejrzana,
w jasności jedność, w jedno z nią współzlana.

Ach! gdybyż nigdy nie rzucała mnie
z myśli najlepsza, że ja tylko śnię,
że cała nędza życia jest zwodniczem
widzeniem tylko, że wszystko jest niczem...

IV.

Czcze wyobraźni odeszły mnie mary,
znów jestem sam ze sobą, z moim duchem — —
oczy me giną w jakiejś pustce szarej
i myśl ma tonie w jakiemś morzu głuchem.

Prysły wiążące mnie z światem ogniwa:
całe me życie jest we wnętrzu mojem,
cała moc duszy z zewnątrz w jej głąb spływa
i drży, szarpana dziwnym niepokojem...

Widzę oczyma wewnątrz zwróconemi
czarne jeziora, rozsiane w pustkowiu;
w ciemnościach księżyc blizko skraju ziemi
wisi, podobny do tarczy z ołowiu.

Ponad czarnemi wodami szuwary
i trzciny rosną i smutno szeleszczą;
sklep nieba zda się sklepieniem pieczary,
głęboką jamą, ciemną i złowieszczą.

Po czarnych wodach światło ciche, złote
księżyca chodzi wstęgą szklistą, drżącą,
i, jako lampa zaniesiona w grotę,
świeci w ciemnościach mglisto i mdlejąco.

Widzę oczyma wewnątrz zwróconemi,
jak duch mój, marze skrzydlatej podobny,
błąka się w owej pustej, martwej ziemi,
a blask księżyca pada nań żałobny.

Idzie powoli i zwieszone włóczy
skrzydła po jezior wodzie szklistej, błotnej — —
na własnych stopach opierając oczy,
idzie w głąb głuchą i ciemną, samotny.

V.

Jest dal nieznana w umyśle człowieka,
ale granicę ma uświadomienie,
i z pod harpunu pojęcia ucieka
niejedno próżno chwytane wrażenie.

Wieluż zagadek, tajniby nie było,
gdybyśmy mogli odczuć to świadomie,
co zmysły nasze, zbyt subtelną siłą
dla pojęć naszych, wchłaniają kryjomie.

I te uczucia, o które się kruszy
wiedza, jak pocisk o kamienne mury,
są tylko z tajną siłą naszej duszy
rozmową tajnych dla nas sił natury.

VI.

Szukam cię zawsze, choć wiem, że nie znajdę,
tęsknię do ciebie, choć wiem, że cię niema,
idę za tobą, choć wiem, że nie zajdę
do twego domu; ścigam cię oczyma,
choć cię nie widzę, choć wiem, że cię niema.

Do żadnej z kobiet, którem widział w życiu,
tyś niepodobna — — widzę cię w mych oczach,
jak gdyby w jakiemś przymglonem odbiciu;
jak kwiat, w strumienia odbity przezroczach,
jak gwiazdę we mgłach, widzę cię w mych oczach.

I oto teraz, w tę noc księżycową
cichą i jasną, kiedym rzucił tłumy,
czuję twe ręce gdzieś nad moją głową,
i pełen jestem o tobie zadumy,
i żywsza dla mnie jesteś, niż te tłumy.

I z zimnem sercem wśród ludzi przechodzę,
zaledwie patrząc i widząc pół we śnie — —
ciebie jedynie czekam na mej drodze,
i choć się zawsze zawodzę boleśnie,
szukam cię wszędzie, przeczuwam cię we śnie.

VII.

Zdaje mi się, że z głową na piersi schyloną
pójdzie za moją trumną, pierwszy raz mnie blizka,
nieznana mi z oblicza, nieznana z nazwiska,
nieprzeczuwana nawet pod widzeń osłoną.

Pójdzie, sama nie wiedząc, czemu drży jej łono,
czemu się do jej oczu paląca łza wciska,
czemu na moją trumnę chce patrzeć tak zblizka,
czemu jej usta drgają, czemu skronie płoną?

Pójdzie, sama nie wiedząc, czemu po mnie płacze,
i czemu jest zazdrosna o mnie tam, w tej trumnie,
i czemu smutna, że jej nigdy nie zobaczę?...

To będzie ta kobieta, którą mnie przeznaczył
los, ale ją zapóźno przyprowadził ku mnie,
a wpierw szczęście me zdeptał, życie moje spaczył.

PRELUDYA.

Gdyby ból każdy, w ludzkiej piersi skryty,
jednę litości łzę wycisnął z oczu,
a łzy gwiazdami zalśniły w przezroczu:
to stałaby się błękitów opona
jako kopuła lita, z gwiazd sklepiona,
choć w nieskończoność ciągną się błękity.

I.

Na jakichś pustyń niezmiernych ogromie,
co w cichych mroków oceanie toną,
cień w długiej szacie stoi nieruchomie
z głową bezwładnie na piersi zwieszoną.

Miesięczna jasność, co na twarz mu pada,
rysy jej rzeźbi i oświetla chwiejna — —
ach! Chrystusowa to chyba twarz blada,
taka bolesna, taka beznadziejna.

II.

Kiedy patrzę na nędzę, co jest życia rdzeniem,
nędzę ludzi i zwierząt i roślin: ból, trwoga,
bezradność mię owłada — i chciałbym do Boga
wołać o miłosierdzie, o żal nad istnieniem.

Ale nie mogę wołać... Jest coś, co okową
żelazną pierś mą ściska i słowa w niej ścina
do ust z serca bijące, jak z ognia lawina — —
i milcząc, patrzę w wielką przestrzeń lazurową.

III.

Stokroć jest drzewu skazanemu lepiej,
jeśli je piorun odrazu rozszczepi,
niż kiedy czerw mu wśliźnie się pod korę
i drzewo zwolna schnie i ginie chore.

I ludziom lepiej, jeżeli zwycięzko
losy ich zmogą jedną wielką klęską,
niż jeśli codzień po kropli im bryzną
w żyły powolną, lecz pewną trucizną.

IV.

Szalone słonie przed się pędzą,
nie wiedząc dokąd, ani po co?
nie dbając, co obalą piersią,
co pod nogami podruzgocą?

Tak i konieczność przed się pędzi,
i próżna wszelka tu obrona — —
ni ją Prometeusza rozum,
ni Heraklesa moc pokona.

V.

Czasem nagle uczuwam naokoło siebie
taką straszną samotność, że wzrok kryję w dłonie,
by nie widzieć tej pustki na ziemi, na niebie,
a w oceanie smutku dusza moja tonie.

I żadne mi już ziemskie nie starczy kochanie:
pragnę nad śmierć silniejszej, mistycznej miłości,
a dusza moja, tonąc w smutku oceanie,
dzieciom u stóp Chrystusa uśpionym zazdrości.

VI.

Idzie na pola, idzie na bory,
na łąki i na sady,
na siwe wody, na śnieżne góry,
na miesiąc idzie blady,

idzie w niezmierną otchłań wszechświata,
skąd blask dróg mlecznych prószy,
idzie błękitna, cicha, skrzydlata
muzyka mojej duszy.

VII.

Po szerokiem, po szerokiem morzu
płynie okręt z kotwicą urwaną,
wiatr go pędzi coraz dalej, dalej,
w przestrzeń pustą, chmurną, ołowianą.

Po szerokiem, po szerokiem morzu
nie do brzegu ty płyniesz, okręcie,
o podwodną gdzieś uderzysz skałę
i bez śladu przepadniesz w odmęcie.

VIII.

Czasem, gdy długo napół sennie marzę,
cudny kobiecy głos mię skądś dolata,
anielskie jakieś śpiewający pieśni,
piękniejsze, niźli wszystkie pieśni świata.

W głos ten się całą zasłuchuję duszą,
serce mi z piersi tęsknota wyrywa,
poszedłbym za nim wszędzie, wszędzie... Nie
[wiem,
czy to się miłość, czy śmierć tak odzywa?

IX.

Ponuro gwiżdże północny wiatr,
świat ginie w chmurze śnieżnej —
zda się, że piersi rozerwie mi
żal gorzki i bezbrzeżny.

Więc bez odpłaty za młodość mą
życie mi całe spłynie?
Nie wstanąż szczęścia dni?... Gwiżdże wiatr,
świat w chmurze śnieżnej ginie.

X.

Lubię więdnące kwiaty, pełne bladej ciszy,
oczyma się patrzące w niebo omdlałemi —
modlitwę ich przedśmiertną ucho moje słyszy,
pożegnanie i razem powitanie ziemi.

Gdybyśmy tak umierać mogli, jak te kwiaty,
ziemię żegnać i ziemię wraz witać rodzicę,
a nie jakieś zaziemskie gdzieś przeczuwać światy,
błędnym wzrokiem w straszliwą patrzeć tajemnicę...

XI.

Pamiętam ciche jasne, złote dnie,
co mi się dzisiaj cudnym zdają snem,
bo był otwarty raj także i mnie
w dzieciństwie mem...

I czasem myślę, żem ja tylko spał,
że całe życie moje było snem — —
zbudzę się, raj ten odnajdę, com miał
w dzieciństwie mem...

XII.

Ku mej kołysce leciał od Tatr
o skrzydła orle otarty wiatr,
o limby, co się patrzą w urwisko —
leciał i szumiał nad mą kołyską.

I w serce moje na zawsze wlał
tęsknot do orlej swobody szał
i tę zadumę limb, co się ciszą
wielką objęte, w pustce kołyszą.

RZEKA MISTYCZNA.

Coraz dalej płyniesz, rzeko, rzeko,
brzeg twój coraz pustszy i urwistszy,
a twe wody płyną coraz bystrzej
i pian męty ciemne z sobą wleką
ku otchłani, gdzie wszystko przepada,
gdzie ostoi się tylko Zagłada.

Ach, te źródła jasne i przejrzyste
pod promiennym, pogodnym błękitem;
te narcyzy z kwieciem srebrnolitem
nad zródłami i lilje śnieżyste,
i to złote słońce, co upadło
w pełne kwiatów szklanych wód zwierciadło...

Ach, nie wrócisz ty już, rzeko, rzeko...
Coraz dalej płyniesz, coraz dalej...

Źródła twoje zostały w oddali,
brzeg twój kwietny pozostał daleko...
Między martwe stepy i pustynie
fala twoja głucho, martwo płynie.

A tam czeka ciebie i pochłonie
tajemnicza i straszliwa przepaść,
kędy wszystko, co jest, musi przepaść:
niezgłębione, nieprzejrzane tonie,
gdzie niezwrotnej podróżnicy drogi,
giną światy całe i ich bogi.

ŁĄKA MISTYCZNA.

O cicha, jasna łąko, o zielona
łąko daleka!
ku tobie dusza smutna i zmęczona
z bagien i piasków posępnych ucieka,
wśród jasnej, cichej zieloności twojej
szukać spoczynku, szukać niepamięci...
O jakaż czystość twych kryształnych zdroi,
o jakże nęci
twoja pogodna złocistość słoneczna;
o jakże koi
twa cisza wieczna...
O łąko jasna,
jako zagroda wydajesz się własna
tym, co na całej wszechziemskiej przestrzeni
głowy nie mieli gdzie skłonić znużeni.

Letejską zdasz się zbawienną krynicą
dla tych, co w duszy mając żar i płomień,
żądz swych szukali żywych uwidomień,
choć prędzej cienie swoich ciał pochwycą...
Tam — niema więcej czasu i przestrzeni,
tam światłoskrzydłe, przejrzyste i śpiące
w łodziach, ze ściętych w kryształy promieni,
godziny wiszą w powietrza ogromie,
nie pnąc się więcej za jasnością w słońce,
ani ku nocy chyląc się krawędziom —
zaczarowanym podobne łabędziom,
w promiennych łodziach wiszą nieruchomie...
Tam, między polne
zioła i trawy i gaje pachnące
i lilje, srebrnym świecące się puchem,
czyste i białe chodzą dusze wolne,
czujące rozkosz najwyższą: być duchem.

POTOK SYMBOLICZNY.

W skrzesanych turni rozpadlinie,
w zawrotnej wysokości skalnej,
szumiący, bystry potok płynie
niedosłyszany, niewidzialny.

Ze źródeł pod szczytami ścieka,
gdzie tęcza wiesza świetny nimb,
a szumu jego tam, zdaleka,
samotnych słucha garstka limb.

Jak poświst wiatru w chmur pomroczy,
tam, z dołu, z ziemi niesłyszany,
on szumi — i wód fale toczy
między skrzesane, ciemne ściany.

Wkoło jest pustka tak ponura,
takiego chłodu wieje prąd:
że nawet orły strzępią pióra
i odlatują szybko stąd.

I tylko potok sam, samotny,
potok potężny, srebrnopiany,
szumi w wyżynie tej zawrotnej,
pomiędzy ciemne płynąc ściany.

Szumi i pędzi — i z urwiska
przez głaz, co góry z sobą skuł,
w otchłań się czarną srebrny ciska
i leci bez pamięci wdół.

Fala za falą rwie się, pieni —
potok samotny, tryumfalny,
płynie wśród ciemnych cisz i cieni,
niedosłyszany, niewidzialny.

Haha! Jak krążą ponad szczyty
kłęby obłoków z wichrem w tan!
Mgieł tuman w lot się porwał, wzbity
zamachem wichru z skalnych ścian!

Haha! Jak kłębią się i plączą,
jak się miotają z sobą, wznoszą,
wdół opadają — i znów rączo
nad wierchów suną się pustoszą...

Haha! Jak gwiżdże wiatr i huczy,
jak huczą złomy stromych ścian —
zda się, że Szatan tu się włóczy
i w róg uderza, pustyń Pan...

A w głębi cicho, ciemno, mroźno —
w zawrotnej skalnej rozpadlinie,
w straszliwej ciszy pustką groźną
szumiący, bystry potok płynie.

Niedosłyszany, niewidzialny,
skąd wstaje tęczy świetny nimb
płynie, a jego tryumfalny
szum słyszy garść samotnych limb.

Płynie i fale z góry ciska
w bezdenną otchłań, w zwał granitów,
i szum szeroki tam, z urwiska,
rzuca wdół z falą z chmur i szczytów.

PIERWOTNA PRZYRODA.

Cóż jest prócz ciebie, przyrodo pierwotna,
godnego duchy, co pęta zdruzgoce,
i krwi ofiarą ducha wzmógłszy moce,
staje się górna, dumna i samotna?

Tam, w nieskończoność idzie ona przez twą
wieczność i pełnię; tobą się oczyszcza
i depcąc nędzne ziemskich złud bożyszcza,
przeczuwa Boga olbrzymie królestwo.

Tyś jako potok letejski jest dla niej,
kędy swe skrzydła wniebowostępne pławi,
kiedy je życie zbrudzi, lub okrwawi,
i chce ją strącić z pod gwiazd do otchłani.

W tobie jest wszystko, i ten ład jest wieczny,
co duszę ranną, rozbolałą, krwawą
ucisza, mówiąc: we mnie moc i prawo,
pierwsza przyczyna i cel ostateczny.

ORZEŁ MORSKI.

W cuchnącej menażeryi, w niewielkiej drucianej
klatce, na małym złomie bazaltowej skały
siedzi, odąwszy piersi, smutny, osępiały
orzeł morski; tuż obok żółwie i pawiany.

Pokrwawionego kędyś w stepach go ujęto,
gdy mu kula złamała skrzydło pod obłokiem;
lata już całe bawi ludzi swym widokiem,
patrząc w półciemne okno źrenicą przymkniętą.

Bezduszne i bezmyślne gapią się nań tłumy,
gniewa je nieruchomość, obumarłość ptaka,
potrącają go, klatkę próbują zdjąć z haka,
ale niczem nie mogą wyrwać go z zadumy.

W ciasnem, dusznem więzieniu dumny ptak kró-
[lewski
lat dziesiątki już ginie w męczarniach powoli;
za widok jego płacą, jego ból nie boli,
więc ginie, między druty zamknięty i deski.

A tam — szeroka, pusta niebiosów opona,
jasny, wielki krąg słońca daleko, daleko...
hen, w dole, chmur srebrzyste tumany się wleką
i płaszczyzna wód morskich, ciemna, nieskończona...

Tam — wysp zielone smugi i okrętów białe
migocą się ławy i bory olbrzymie;
wulkany, grzmot w czerwonym ciskające dymie,
i śnieg, srebrzący szarą górskich wierchów skałę.

I cicho... Tylko w głuszy słychać gdzieś dalekiej
gwiazd toczących się w bezdni grzmiące kołowroty,
z hukiem śmiga i pęka gdzieś meteor złoty — —
Cicho... tu gwarną falą nie suną się wieki...

Oto noc. Siadłszy kędyś na podniebnej skale,
osrebrzony światłością księżyca, powoli
olbrzymi ptak zasypia w światła aureoli,
w majestacie potęgi i królewskiej chwale.

Śni mu się jego straszna moc i lot zuchwały,
śnią mu się łowy, walki, burze, oceany...
Cóż ci się tu śni, orle, w tej klatce drucianej?
I tu ci dano kawał bazaltowej skały!...

O SONECIE.

Lubię sonetu trudną, misterną budowę:
zda mi się, że mi kawał marmuru odkuto,
w którym swobodnie rzeźbić może moje dłuto
w rozmiarach wiecznie jednych kształty coraz nowe.

Lubię te dźwięki pełne, szerokie, bronzowe,
brzmiące wiecznie tą samą melodyjną nutą.
a w nieskończoną rożność motywów rozsnutą,
jak mgły na jednem niebie w przeróżną posnowę.

Lubię ten mały kościół, w którym jednak może
olbrzymi Bóg się zmieścić, jak w potężnym tumie;
lubię to górne, wązkie, naskalne wydroże,

skąd runie, kto stóp pewnie położyć nie umie;
lubię tę gwiazdę małą, co świeci, jak zorze,
dźwięk dzwonu, co nie głuchnie w huraganów
[szumie.

SZUKAJĄ BÓSTWA...

Szukają bóstwa: jedni z nich w popiele
nurzając głowy i ścieląc się w kurzu
przy marmurowych posągów podnóżu,
albo w posępnym, milczącym kościele;

inni ku niemu skroń podnosząc śmiele,
w słońc życiodawczych promienistym różu,
w gór, oceanów ochronnem przedmurzu,
w mądrem i dobrem wszechstworzenia dziele;

inni spokojni, cisi, zadumani,
w nieogarnionej szukają go głuszy,
w nieskończoności bezdennej otchłani — —

tak od początku swojego istnienia
wszędzie szukają bóstwa bez wytchnienia,
tylko go w własnej nie szukają duszy.

PRÓŻNO W SWEJ DUSZY...

Próżno w swej duszy przepastne otchłanie
rzucasz źrenicę, jak ołów: nie spadnie
głębiej, niż może, i zawsze coś na dnie
niedojrzanego dla niej pozostanie.

Choćby poznała nawet rusztowanie,
na którem cegła twych myśli się kładnie,
by wznieść gmach czynów życia; choć odgadnie
nawet fundament, na którym gmach stanie:

to w tajemnicy pozostanie wiecznej
szczyt wieży gmachu i kamień węgielny,
bo, aby zbadać duszy swej głębinę,

musiałbyś poznać skutek ostateczny
i znać najpierwszą wszechistnień przyczynę,
a tych nie dojrzy nigdy wzrok śmiertelny.

ZBRODNIE.

Na rozhukanych koniach, wśród zamieci,
w wirze kurzawy kłębów, chrzęstu, łomu,
wśród huraganów ryku, grzmotów, gromu:
orszak fatalnych amazonek leci.

Lecą przez łany i stepy stuleci,
przez pieśni zwycięstw, przez jęki pogromu,
pośród wrzaw pychy, pośród milczeń sromu,
przez wały złomisk, przez ogrody kwieci...

Lecą w purpurach i szmatach u ramion,
trzymając w rękach lilie i pochodnie,
krwią, łzami, błotem szlak ich dróg poplamion.

Jedne urocze, jak hurysy wschodnie,
inne, jak furye, pełne wstrętnych znamion:
na rozhukanych koniach lecą Zbrodnie.

HALA.

Cudna, złota jutrzenko wśród mroków granitu!
Senna zatoko pośród spiętrzonych fal cieśni!
Jasny kwiecie wśród lasu; cicha, słodka pieśni
wśród szumu trąb, grzmiącego pod sklepy błękitu...

O halo górska! Oczy omdlały z zachwytu —
twój widok roześpiewi duszę i roześni,
i marzyć na twem łonie zielonem bezkreśniej,
niż tam — na czole skalnej piramidy szczytu.

Tu, oczy obróciwszy ku złotemu słońcu
i ku białym obłokom na błękitnem niebie,
można świata zapomnieć i zapomnieć siebie —

utopić duszę całą w wód i lasów szumie
i w tej upajającej, bezkresnej zadumie
chcieć śnić do życia końca i po życia końcu...

W KOŚCIELISKACH W NOCY.

I.

Cisza. Noc. Na zaćmioną dolinę Kościelisk
idą z gór lasem zrosłych, z upłazów i jarów
tejemnicze milczenia w mgławicach oparów,
wznoszących się po cichu z wodnych oparzelisk.

Głucho warczą strumienie po głazach swych ście-
[lisk,
las śpi. Na nieruchomą, czarną toń konarów
padł, wschodząc przez wyrwany wśród wapieni
[parów,
miesięcznego przedświatła srebrzysty obelisk.

Fosforyczną białością powlekły się ściany
nagich, skrzesanych turni; wielka cieniu rzeka
ogarnia je i niesie w mroku oceany.

Wszedł księżyc: na wierzchołku zaczepił się
[smreka,
rozdarł się na olbrzymich dwóch gwiazd błyska-
[wice
i kiście świetlnych kolców wbił w nieba ciemnicę.

II.

Jaka cisza! Jak dziwnie wyglądają drzewa — —
jaki dziwny szum wody — — coś, co niepokoi,
snuje się po dolinie, wśród gęstwin się roi — —
lęk ciche mgły swych skrzydeł w powietrzu roz-
[wiewa...

Jakie dziwne niewidny księżyc światło zlewa — —
jaki dziwny, posępny, wielki cień tam stoi —
zda się, widmo u groty głębokich podwoi — —
jak dziwnych głosów echo skądś wśród gór po-
[brzmiewa...

Zda się, że coś zawodzi, skowycze i płacze —
cicho!... jaki dreszcz szybko przemknął się gę-
[stwiną —
gdzieś w lesie zajęczały ponuro puhacze...

tu — mogiła pod stosem chróstu i smreczyną —
zwierzę jakieś ze stosu w ciemną gęstwę skacze —
jaki dziwny czar idzie Kościelisk doliną...

DZWONY ŚW. PIOTRA W RZYMIE.

Za każdym grzmotem dzwonów zda się, że wylata
z kopuły huf aniołów w cztery strony świata,
a każdy, z wichrem włosów, w swej ręce olbrzyma
miecz płomienny, w źrenicach sto błyskawic trzyma,
i lecą... Ziemia gnie się... Nad miasty i sioły
zawisają spiżową chmurą te anioły,
i zda się, swoją straszną i ogromną mocą
słońce strącą gdzieś w przepaść i niebo zdruzgocą!

W KAPLICY SYKSTYŃSKIEJ.

Ta ściana cała ryczy, jak bawół zraniony!
Ten Chrystus tam, jak piorun, z cyklopa ramiony,
ta trupia głowa, pełna boleści i jęku,
ten szturm klątew, rozpaczy, wściekłości i lęku,
farba zmieniona w kamień, pendzel w dłuto, siła,
co zda się góry pięścią na miałby kruszyła!
Źrenice głuche patrzą z pod skostniałych po-
[wiek — —
wulkan to chyba z siebie wyrzucił, nie człowiek.

SŁOŃCE.

Słońce! słońce! słońce! słońce!
Wszystko lśni się, świeci, pała,
złote iskry skaczą z morza,
złotem błyska mewa biała.

Złote smugi drżą po wodzie
aż po Capri, po Sorrento —
na słoneczny wiatr okrętów
białe żagle rozwinięto.

Na roztoczach morskich głębi,
na szmaragdach i błękitach,
fioletu ciemne plamy
w rozzłoconych lśnią prześwitach.

Wzgórz majaczą gięte łuki
przez przezroczą mgłę błękitną —
na ich stokach białe miasta,
jak kamelij ogród kwitną.

A tam w dali przezroczysto
jak jezioro lśni się morze —
srebrno-białej gładkiej tafli
jeden wiatru smug nie porze.

Jaki spokój tam i cisza — —
zda się, z głębi, od Sorrenta
wyjdzie cicho z morza Wenus
naga, piękna, uśmiechnięta.

Wyjdzie cicho i z warkoczy
strząśnie wody krople lśniące —
świat się pławi w złotym blasku —
słońce! słońce! słońce! słońce!

C A P R I.

Zbiegłem do stóp skalistej wysepce — —
była cicha godzina poranna,
woda jasna, szafirowo-szklanna,
cicho dzwoni u brzegów i szepce.

Jeszcze, zda się, kołyszą się wianki
róż kwitnących w tej wodzie przezroczej,
które tutaj zrzuciły z warkoczy
przed wiekami cezarów kochanki.

Jeszcze, zda się, pierzchnąć nie zdołało
ich odbicie z kryształowej wody,
gdy się, chciwe swej własnej urody,
morzu piersią uśmiechały białą.

Jeszcze, zda się, w tej krainie czarów,
nad tą wodą szafirowo-szklanną,
w taką cichą godzinę poranną
słychać oddech kochanek cezarów.

W ZATOCE NEAPOLITAŃSKIEJ.

Srebrno-modra, jak metal błyszcząca,
nieskończonych wód powierzchnia leży;
słońce wsparło się o wodę blaskiem
i zasnęło w błękitnej bezbrzeży.

Jaka dziwna, jaka dziwna cisza,
jaki dziwny spokój w tej naturze...
Wszystko tonie: woda, ziemia, niebo
w przezroczystym, świetlistym lazurze.

W jeden lazur świat się zmienia cały,
cisza ziemi z senną nieba głuszą;
w jeden lazur świat zmieniony zda się
być swą własną zadumaną duszą.

POD PORTICI.

Szmaragdowe tafle szklanne,
monotonne nieustanne,
w srebrną piętrzą się fontannę,
bijąc w brzeg,
i rzucają dyamenty
promieniste na odmęty
i w promienne wiją skręty
kropel śnieg.

Wielki okręt port opływa,
fala modra, srebnogrzywa
idzie cicha i leniwa
za nim w ślad;
a gdy wiatr ją silniej trąca,
z głębin zrywa się do słońca,
nakształt białych bielejąca
ptasich stad.

DANAE TYCJANA.

Na miękkim puchu białego posłania,
promienna cała od słońca pozłoty,
Danae, Zeusa spragniona pieszczoty,
z osłon swe ciało dziewicze odsłania.

Z niebios się ku niej świetlny obłok słania
i nagle deszcz zeń na nią spada złoty:
to bóg, miłosnej czując żar tęsknoty,
zwisł nad cichego pełną pożądania.

Nagie jej ciało widzi i błękitu
jej wielkich cudnych źrenic blask przymglony,
senny, wśród boskiej rozkoszy zachwytu.

Przed złotym deszczem, od słonecznej strony,
u stóp jej białych, podobny do świtu
gdy dnieje: Amor uchodzi spłoniony.

VIRGINI INTACTAE.

Ust twych więc usta nie tknęły niczyje?
Nikt nie uścisnął twojej drżącej ręki?
Nikt się nie oplótł w twoich włosów pęki,
ani się wessał w twoją białą szyję?

Nikt się nie wsłuchał, jak twe serce bije,
jak omdlewają słów błękitne dźwięki,
a ciała twego kształt smukły i miękki
zdrój tylko widział i wodne lilije?

I nigdy dumne to, królewskie ciało
w niczyich ramion uścisku nie drżało?
pragnienie twoje jest jak blask o wschodzie?

Nigdy w twych oczu słonecznym ogrodzie
nie trysła rozkosz kwiatami złotemi?
Pójdź! Tyś jest szczęściem najwyższem na ziemi!

DYSKOBOL.

Tłum widzów. On spokojnym wzrokiem metę
[mierzy — —
wyprostował się, ramion wiązanie natężył,
głowę wzniósł, stopy w ziemię wrył, nogi naprężył,
w ręce trzyma dysk krągły — — wstał pierwszy
[z szermierzy.

Jeszcze chwila — kołysze dysk, zanim uderzy —
wysunął lewe ramię, biodra, zda się, zwężył,
na prawej nodze całym ciężarem zaciężył,
rzuci — i laur zdobędzie znów na skronie świeży.

Na jego marmurowe, nagie, smukłe ciało,
oliwą namaszczone, złotawe, błyszczące:
pada greckie, promienne, uśmiechnięte słońce.

Przygiął się — dysk w stalowych palców ścisnął
[kleszcze — —
kobietom w białych piersiach serce bić przestało,
a boskie uda słodkie wstrząsają im dreszcze.

WIZYA LIPCOWA.

Błękitnych jezior oddalone fale,
na falach słońce łagodne i senne,
zielone gaje, brzozy srebrnopienne,
białych róż wieńce i maków korale.

Po łące, w szklanym powietrza krysztale,
powiewne, zda się od słońca promienne,
ludzkim podobne kształtom, lecz odmienne:
nagie postacie błądzą półomdlałe.

Niezmierny spokój — — nad jeziora głębie
błękitne, ciche, srebrzy się pierś biała
pod jasne słońce lecącej rybitwy;

nad gąjem krążą złociste gołębie,
a owe kształty pół z światła, pół z ciała,
zdają się tonąć w zamyśleń modlitwy.

E K S T A Z A.

Nie widzę, słucham cię oczyma, biała!
Nagości twojej linie i kolory
w hymn mi się jeden łączą różnowzory,
w muzykę kształtu, w pieśń twojego ciała...

Melodyą jesteś i harmonią cała!
Rzucona kędyś w dalekie przestwory,
jako przelotne świecisz meteory — —
pieśń twej piękności promienieje, pała...

Komu się zjawisz taka, pójdzie dalej
z twarzą od świata odwróconą, senną —
tak ci rzeźbiarze, co Wenus promienną

niegdyś w paryjskim marmurze kowali,
chodzili cisi, senni między ludem —
oni widzieli cud i żyli cudem...

S Y M B O L.

Noc na wód cichem, bezbrzeżnem pustkowiu.
Przez nieruchome ciemnych wód tumany
na fale księżyc prześwieca miedziany
wśród gwiazd o blasku przygasłym ołowiu.

Wiatr, świszcząc głucho, jak w gęstem sitowiu,
pełza po wody powierzchni rozchwianej
i, zda się, wlecze senne oceany
ku nagich, skalnych wybrzeży wezgłowiu.

Na głębi głuchej, ciemnej i bezkresnej,
w mglistym księżyca blasku się kołysze
krzyż — na nim Chrystus rozpięty, bolesny.

Gdzieś w nieskończoność, w nieprzebraną ciszę,
w niezmierną pustkę płynie przez odmęty
krzyż — na nim Chrystus bolesny rozpięty...

MASTODONTY.

Burza drzew! Pniów przepaście, ocean konarów,
huragan życia, wulkan wzrostu i rozwoju,
kaskady złotych liści, fontanny powoju,
huk kwiatów, pękających od słońca pożarów.

Cicho—wtem wielkie płazy dźwignęły z moczarów
potworne łby, złociste od złotych much roju;
jeleń, co z kryształnego zbiegł napić się zdroju,
stanął, nastawił uszy i pomknął przez parów.

Głuchy grzmot wybiegł z lasu dalekich zakątów,
zadrżały drzewa, jako przed nadejściem tuczy —
grzmot rośnie, cała ziemia dygota i huczy;

błysnęło — to kły białe — nakształt morskiej fali,
co się wzburzona naprzód bez pamięci wali,
wybiegło z głębi puszczy stado mastodontów.

DELFINY.

Woda. Słońce rzuca złote blaski
na pogodny błękit białochmury,
oceanu złociste lazury
i wysepek lśniąco-żółte piaski.

Kormoranów szarych słychać wrzaski,
morski orzeł krąży białopióry — —
tam, w oddali, błysły białe sznury
nad szklistością wód i złote kaski.

Zaszumiało — szybko szum się zbliża,
sznury mienią się w srebrzyste wstęgi — —
to delfinów płynie fala chyża.

Z nozdrzów wody tryskają im słupy,
grzbiety lśnią się, jak złote skorupy,
a za niemi lecą wodne pręgi.

NIMFY.

Pod księżyca złotawym, zimnym seledynem,
w poblasku ciemno-mgliste morze bezwybrzeżne,
mgieł lotnych pląsające stada złotopierzne
i tygrysie gwiazd oczy na pustkowiu sinem.

Z krągłą puszystą czarą, z długim liści klinem
z głębin się wydobyły na fale bezmierzne
ogromne jakieś kwiaty i żółtawo-śnieżne
lśnią w księżycu swych liści zimnym pergaminem.

Blade, milczące nimfy głowę długoruną
na liściach kwiatów kładą i w niebiosach oczy
utkwiwszy, nieruchome leżą na wód fali —

a kędyś błyszczą chłodnym, twardym blaskiem stali
oczy morskich potworów wśród wodnych roztoczy
i jak gwiazdy po ciemnej topieli się suną.

WIDZIADŁA OKRĘTÓW.

Noc. W ciemnem niebie księżyc wielki, złoty.
Głuche powietrznej bezdeni pomrocze.
Milczące, ciemne morskich wód roztocze.
Niezmierna cisza pustki i martwoty.

Niezmierny spokój — wtem z głębin ciemnoty
blask jakiś blady w oddali migocze,
światło posępne, martwe, nieprzezrocze
błękitniejącej fosforu pozłoty.

Zbliża się, płynie — — dziw! smugami pnie się
wzdłuż lin i masztów, obrzeża pokłady
cieniom podobnej okrętów gromady.

Płyną powoli — i jak mgła w bezkresie
giną gdzieś w pustce milczących odmętów
widziadła dawno przepadłych okrętów.

PUSTY OKRĘT.

Kędyś, kędy nikt się nie ośmieli
z żywych płynąć na bezkresy morza,
u ścian skalnych stromego podnóża
stoi okręt na ciemnej topieli.

Pod blask słońca jak szkielet się bieli:
wicher rozniósł żagle na przestworza,
nagie, sztywne sterczą maszty z łoża,
nakształt suchych, olbrzymich piszczeli.

Zwolna, wielki, pogrąża się w bezdno
ten trup-okręt wbity do cieśniny — —
pustka śmierci — czasem tylko siny

cień skał nagich na deski się kładzie
w noc miesięczną bladą i bezgwiezdną,
lub krab pełza po pustym pokładzie.

ANIOŁ PAŃSKI.

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona.
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornym mroku, we mgle szarej,
idzie przez łąki i moczary,
po trzęsawiskach i rozłogach,
po zapomnianych dawnych drogach,
zaduma polna, Osmętnica...
Idzie po polach, smutek sieje,
jako szron biały do księżyca...
Na wód topiele i rozchwieje,
na omroczone, śpiące gaje,

cień, zasępienie od niej wieje,
włóczą się za nią żal, tęsknica...
Hen, na cmentarzu ciemnym staje,
na grób dziewczyny młodej siada,
w świat się od grobu patrzy blada...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Na wodę ciche cienie schodzą,
tumany się po wydmach wodzą,
a rzeka szemrze, płynie w mrokach,
płynie i płynie coraz dalej...
A coś w niej wzdycha, coś zawodzi,
coś się w niej skarży, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
traci się w górach i obłokach,
i już nie wraca nigdy fala,
co taka smutna stąd odchodzi,
przepada kędyś w mórz głębinie
i już nie wraca nigdy zdala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...

Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wieką
nad ciemne dachy, kryte słomą —
wleką się, snują gdzieś daleko,
zawisną chwilę nieruchomo
i giną w pustem gdzieś przestworzu...
Może, za rzeczną płynąc falą,
polecą kędyś aż ku morzu...
A mrok się rozpościera dalą
i coraz szerzej idzie, szerzej,
i coraz cięższy, gęstszy leży,
zatopił lasy, zalał góry,
pochłonął ziemię do rubieży,
na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
w niebiosach kędyś głos ich kona...

Idzie samotna dusza polem,
idzie ze swojem złem i bolem,

po zbożnym łanie i po lesie,
wszędy zło swoje, swój ból niesie,
i swoją dolę klnie tułaczą,
i swoje losy klnie straszliwe,
z ogromną skargą i rozpaczą
przez zasępioną idzie niwę...
Idzie, jak widmo potępione,
gwiżdże koło niej wiatr i tańczy —
w którą się kolwiek zwróci stronę,
wszędzie gościniec jej wygnańczy — —
nigdzie tu miejsca niema dla niej,
niema spoczynku, ni przystani...
Idzie przez pola umęczona,
łamiąc nad głową swą ramiona...

Na Anioł Pański biją dzwony,
niech będzie Marya pozdrowiona,
niech będzie Chrystus pozdrowiony...

POCHWAŁA DAWNEJ DZIELNOŚCI GRECKIEJ.

STROFA I.

Młodzieńcze grecki, co silny i śmiały,
jednegoś pragnął: nieśmiertelnej chwały;
jedną miał dumę: piersią swą zastawić
zagrożoną ojczyznę,
ubogie wzgórza i pola nieżyzne
od klęsk wybawić:
ku twej, o mężny, sławie i pamięci
pieśń niech się moja dziś wzniesie i święci.

W bystre i zimne Eurotasu wody
młodzieńców Sparty skakał zastęp młody;
przez dzikie knieje, ostępy i chaszcze

długokływego dzika
ścigali; morze nawie Ateńczyka
otwiera paszcze;
tessalskich źrebców z wichrowemi grzywy
dosiąść tam żaden nie bywał leniwy.

STROFA II.

Naprzeciw Persów strasznej nawały
lwem na bawołu szedł hufiec mały.
Przeszli z Aresa krwawych wysieków
w podziw potomnych, najdalszych wieków.
Pod Maratonem i Salaminą
ci, co polegli w walce, nie giną,
lecz drugiem życiem z martwych ocknięci,
wiek na wiek walą[1]) w ludzkiej pamięci.

Trzystu Spartanów w Termopil jarze
bogom z czar wino wylało w darze.
Kserksesa milion gdy w nich uderzy:
milion od trzystu pierzchnął puklerzy.

---

[1]) Tu i owdzie w przedrukach widziałem to wyrażenie poprawione na „żyją", szkoda, że bez zrozumienia treści i bez sensu.

Zdradą zwalczeni, legli nareście.
Brzmiał krzyk tryumfu po całem mieście,
bo ni jednego z nich nie ujrzano,
by krwawił raną w plecy zadaną.

STROFA III.

Delfy gdy wrogów tłumem oblężone,
dwóch bohaterów daje im obronę,
jak wilków stado płoszące dwa tury;
w Sparcie piersi mieszkańców
miast bram obronnych były i miast szańców;
w Hades ponury
Epaminondas gdy szedł: to mu starczy,
że wróg nie uniósł z pola jego tarczy.

Pindar efebów idących w zawody
przez wiecznotrwałe upamiętnił ody;
jak potok deszczem spiętrzony nad brzegi,
co z gór się stromych pieni:
on się, ogromny, stacza ku bezdeni.
Wieków szeregi
idą. Tak niegdyś czyny czczono dzielne,
czyn wzajem pieśni budził nieśmiertelne.

DLA RYMU.

I.

A kiedy będziesz moją żoną,
umiłowaną, poślubioną,
wówczas się ogród nam otworzy,
ogród świetlisty, pełen zorzy.

Rozwonią nam się kwietne sady,
pachnąć nam będą winogrady,
i róże śliczne i powoje
całować będą włosy twoje.

Pójdziemy cisi, zamyśleni,
wśród złotych przymgleń i promieni,
pójdziemy wolno alejami,
pomiędzy drzewa, cisi, sami.

Gałązki ku nam zwisać będą,
narcyzy piąć się srebrną grzędą,
i padnie biały kwiat lipowy
na rozkochane nasze głowy.

Ubiorę ciebie w błękit kwiatów,
niezapominek i bławatów,
ustroję ciebie w paproć młodą
i świat rozświetlę twą urodą.

Pójdziemy cisi, zamyśleni,
wśród złotych przymgleń i promieni,
pójdziemy w ogród pełen zorzy,
kędy drzwi miłość nam otworzy.

II.

Idą błękitne, ciche, zamyślone
przez sfer milczące, skrysztalone tonie,
lotne jak blaski, powiewne jak wonie,
idą błękitne, ciche, zamyślone —

idą błękitne, ciche, zamyślone,
gdy śnieg w miesięcznym seledynie płonie

i góry błyszczą w szafirów oponie,
idą błękitne, ciche, zamyślone...

idą błękitne, ciche, zamyślone,
jak przez wikliny ponadbrzeżne wiotkie
światła słoneczne z wody, jasne, słodkie,

jak z dali fletów dwa dźwięki pastusze:
ku sobie nasze rozkochane dusze
idą błękitne, ciche, zamyślone.

MUSZLA.

Niewielka, stara muszla na mym stole leży,
jest to jeden z mych skarbów, choć warta tak
[mało;
nie wiem, z jakiego morza pochodzi wybrzeży,
ni jak dawno jej morze szumieć już przestało.

Odkąd siebie — i muszlę tę pamiętam starą,
i dziś, ilekroć tylko spojrzę na nią razy:
owiane jakąś smętną, głęboką mgłą szarą,
stają mi przed oczyma dawnych lat obrazy.

Ale najlepiej lubię, przymknąwszy powieki,
przyłożyć ją do ucha i słuchać jak szumi:
wtenczas całą mą duszą wracam w świat daleki,
w toń wspomnień, które życie zaciera i tłumi.

Przypominają mi się pola i ogrody,
dom pośród ciemnych smreków i różanych
[krzewów,
pastwiska i wikliny, bystre górskie wody,
jasność kamyków na dnie, albo męt wylewów.

Przypominają mi się tajemnicze mroki
wśród szpalerów wieczorem, gdym pełen obawy
szedł, słysząc czyjeś szepty, słysząc jakieś kroki,
ciche, lotne, zaledwo tykające trawy.

Przypominają mi się dziwne baśnie, dziwy,
które mi szły z gór ciemnych przez lasy i łany,
i groza, kiedy wichry, rozpuściwszy grzywy,
wiozły z nich chmury gradu lub śniegu tumany.

Przypominają mi się me pierwsze marzenia:
amerykańskie bory i dzicy Indyanie,
bezludne wyspy, pełne palmowego cienia,
lwy w sitowiach i śmieszne małpy na platanie.

Przypominają mi się te białe okręty,
płynące w wyobraźni gdzieś morską bezdenią;
błękitna, straszna cisza, albo burzą wzdęty
ocean, gdy się fale pod obłoki pienią.

Przypominają mi się pierwsze uczuć świty,
pierwsze miłości moje z bajek Andersena;
pierwszy ten nieświadomy pociąg do kobiety,
która nęci, jak w falach niewidna syrena.

Pierwszą moją miłością była świtezianka,
zakochana w młodzieńcu pięknym z okolicy,
co, by zawsze być blizko swojego kochanka,
stratą głosu kształt ziemski kupiła kobiécy.

I ta mała dziewczynka wśród śniegów i lodu,
na stepie renifery karmiąca rogate,
co miała wał śniegowy za mur do ogrodu,
w nim lodowe zarośla i lodową chatę.

Inna, kędyś łabędzi powieziona parą,
nie wzięła nic ze sobą, tylko piosnką rzewną:
spotkała w lesie smoka, czarownicę starą,
i wróżka ją cudowna zrobiła królewną.

Tym wszystkim wyobraźni kochankom dziecin-
dawałem duże, jasnoszafirowe oczy, [nej
białe ciało o linii falistej i płynnej,
blond włosy i głos pełen melodyi uroczej.

Jeszcze słyszę, jak mówią, jak dźwięczą nade mną
kryształem tego głosu, co o srebro trąca —
spotkałem głos ten później — i dziś nocą ciemną
zda mi się, że na szybie zabrzmiał w łzach
[miesiąca.

Zdaje mi się, że głos ten sam do mnie przylata
powiedzieć mi te słowa, które słyszeć mia-
[łem — —
zabrzmiał i jak jaskółka odbiega skrzydlata,
i martwy blask po oknie pełznie oniemiałem...

Zdawało mi się niegdyś — i któż z nas tak nie
[śni? —
zdawało mi się niegdyś, żem szedł w toń różaną;

człowiek się ze snu budzi, tem lepiej im wsze-
[śniej,
i taki sam zostaje — z jedną tylko zmianą.

Dusza jego na pozór zostaje jednaka,
jak kwiat, stuliwszy liście, znowu je roztula,
tylko będzie jak skrzydło postrzelone ptaka:
wygoiło się wprawdzie, ale tkwi w niem kula.

Więc nie ma już ptak taki odwagi do lotu,
a jeśli to był żóraw, przeraża go morze;
lęka się ciemnych głębi głuchego łoskotu
i długiej nad niezmierne wędrówki bezdroże...

Zdawało mi się niegdyś... Dziś, kiedy do ucha
przytknę tę starą muszlę: gdzieś w dalekie kraje
wiedzie mnie, kędy pustka rozciąga się głucha
i gdzie nigdy od wschodu słońce nie powstaje.

Błąkam się kędyś w lasach i puszczach dzie-
[wiczych,
w jakichś górach przepastnych, w jakichś pie-
[czar sklepach,
po jakichś zadumanych wodach tajemniczych,
niezmierzonych jeziorach, bezgranicznych stepach.

Jakie tam dziwne świecą na niebie księżyce — —
po kilka naraz, błyszczą nad ziemią tak nizko,
odbijają się w wodzie i w srebrne źrenice
obejmują milczących pustek uroczysko.

Rosną tam dziwne drzewa, jodły tak olbrzymie,
że sięgają gór wierzchów, a niebo nad niemi
w wilgotnych, szarych mgławic falującym dymie,
jakby martwe, zmarłej przygląda się ziemi.

Tam nic niema... Pustynia, stepy, góry, morze
i duszy mojej smętna, zadumana mara;
patrzę wokoło i nieraz sam w sobie się trwożę —
gdzie jestem?!... To mi szepce moja muszla
[stara.

Jest-li to ten świat dawny, który przed milionem
wieków ona pamięta? Sąż to urojenia
obłąkanej fantazyi, co w oku szalonem
ma jakieś dziwne, nigdy niebyłe widzenia?...

Tam jednak w tej pustyni, tam jest mi najlepiej,
tam dusza moja siada na omglonym głazie,
i gdy się cała w sobie skupi i zasklepi,
tonie w ogromnych milczeń i głębin ekstazie.

Lubię tonąć w otchłaniach bezgranicznej głuszy,
w abstrakcyjnem pojęciu żywego bezbytu,
gdzie wszystko się jednoczy i jest w jednej duszy,
gdzie w duszy ma się wieczność, ziemię, sklep
[błękitu.

Lubię patrzeć oczyma wewnątrz zwróconemi
w świat, co się niezmierzony sam w człowieku
[stwarza,

tak wielki, tak odległy, tak różny od ziemi,
świat bez wrzawy, bez zgiełku, bez krwi i cmen-
[tarza.

Ale najlepiej lubię, gdy szumiąca głucho
stara muszla mię wiedzie w wspomnień kraj daleki;
szumi mi, jak me serce — — gdy doń przytknę
[ucho,
słyszę, jak smutno szepce: na wieki, na wieki...

ZŁUDZENIE WODNE.

Patrzę na wodę, rozlaną błękitnie,
czy z niej rusałka jaka nie wykwitnie?
Czy na niezmiernej błękitnej bezbrzeży
pod słońce białą piersią nie zaśnieży?
Czekam na cud...

Lecz oto z głębin wodnych się dobywa
głowa topielca ruda i straszliwa,
i oczu na mnie zwraca bielma szklane,
i z warg obrzękłych toczy ślizgą pianę
wśród modrych wód.

TRĄCONA STRUNA.

Z głębi jeziora do księżyca
płynie melodya srebrnolica...

W głębinie lasu wśród paproci
szmer się w księżyca blasku złoci...

Zwełnione grzywy morskiej piany
niosą w księżycu szum świetlany...

Wśród róż nadwodnych woni świeżej
piękna dziewczyna naga leży...

Księżyc we włosach jej migota,
jej ciało jest jak harfa złota...

Róże się słonią w mgłę przegonną,
jej włosy dźwięczą pieśnią wonną...

NA PAMIĄTKĘ.

Jeżeli duchy mają żywot wieczny,
jeżeli wieczne przechodzą przemiany,
to ziemia dla nich jest tragedyą bytu;
żywotów jakichś marzą blask słoneczny
i chcą dla siebie czegoś z za błękitu —
i na nędz swoich patrzą krwawe rany.

* * *

Jeżeli kiedy choć godzinę jedną,
jak gdyby cichem, dalekiem ustroniem
było ci serce czyje; jeśli chwilę
spokój i ulgę w niem miałaś bezwiedną:
to już to serce zasłużyło tyle,
ażeby więcej nie zapomnieć o niem.

* * *

Jedno jest tylko zbawienie na ziemi:
zatłumić w sobie dzikie ludzkie zwierzę,

za ideami lecieć słonecznemi
i zgłuszyć serca krzyk w wielkiej ofierze,
i zapomniawszy swojej doli własnej,
niedolom cudzym być jak anioł jasny.

RYCERZ.

Jedzie, jedzie rycerz z dali,
młody rycerz w lśniącej stali,
a po hełmie laur mu pnie się,
dank i chwałę z pola niesie.

Jedzie, pyta: co się dzieje?
w domu nie był czas niemały.
„Rozpoczęły się turnieje,
męże idą szukać chwały.

Wstali starsi, młodsi wstają,
w szranki idą całą zgrają,
idą w szranki z piersią wrzącą,
laury twoje sen im mącą.

Idą, w szranki całą zgrają,
laury twoje sen im mącą,
ciebie tylko tam czekają,
hej, rycerzu z zbroją lśniącą".

Jedzie, jedzie rycerz z dali,
młody rycerz w lśniącej stali;
czerpiąc siłę z krwi i bolu,
dank i chwałę zdobył w polu.

Jedzie, wieje z hełmu kitą,
orle skrzydła świecą w godle,
chrzęści zbroja, grzmi kopyto,
lecz się rycerz chwieje w siodle.

Stanął, szepce: „Przyjacielu,
zawodników widzę wielu,
niby z sobą walczą kopią,
ale we mnie oczy topią.

Ze mną, ze mną to na próbę
wyjechali tam do słupa
i te drzewca wzięli grube — —
a ja wiozę w sobie trupa.

Upiór patrzy w moje oczy,
świat mi cały kirem mroczy,
zimne ręce na mnie wkłada,
wyje za mną: biada! biada!

Co mi moc ma, chwała warta,
cóż, choć imię niesie grozę — —
na ramionach moich czarta,
w ciele mojem trupa wiozę.

Lecz na Boga! zanim runę,
jeszcze skrzeszę mieczem łunę,
jeszcze laury zerwę świeże
choćby na grób!... W bój, rycerze!..."

PSYCHE.

Psyche tajemna, smętna, zamyślona,
wyciąga ku mnie dziewicze ramiona
i twarz nade mną pochyliwszy białą,
duchowi memu każe rzucać ciało
i z własnych żądz mych i pragnień pogrzebu,
z mogiły szałów mych i namiętności
ku mistycznemu podnosi mię niebu,
jakbym już duchem odstawał od kości.

Młodości mojej purpury i łuny
w dym się zmieniają i w ciemne całuny...
Niejedno myśli wybujałe kwiecie
wiatr po rozłogach i topielach miecie...
Niejedna chęć ma, ach! niejedna prysła,
jak bańka szklana, gdy na głaz upadnie;

niejedna gwiazda, nade mną rozbłysła,
w głuchych odmętach leży zgasła na dnie...

Ileż wiar moich i obłędów ile
we wspomnień żywej spoczywa mogile...
Wielkie kościoły, kędym klękał wprzódy,
kłamstw okazały się pełne i złudy...
Pustynia ruin wokoło się piętrzy,
strzaskanych kolumn leżą całe zwały —
posągi bogów o twarzy najświętszej
strącone z podstaw w proch poupadały.

Jak czynią ludzie, wielką trwogą zdjęci,
zło myśli chciałem pogrześć w niepamięci,
lecz ono było jako wąż pod liśćmi —
i nie wiedziałem wkońcu, dokąd iść mi,
w jakiej się ukryć niedostępnej twierdzy
przed własnej myśli pościgiem zażartym?
Gdzie obmyć ducha ze śniedzi i ze rdzy,
by Blask odświetlał i był Blasku wartym?

W bezdni upadku, w porywów bezkresie,
byłem jak okręt, który burza niesie:
jedna pod chmury wyrzuca go fala,
druga w przepastną toń odmętów zwala...

Czegom nie odczuł?!... Każdy atom duszy
przez piekło swoje szedł, boleścią siny —
i czułem wkońcu, że się duch już kruszy
i że nic nie mam dla życia — prócz śliny...

Aż niewzywana i niespodziewanie
biała i czysta Psyche przy mnie stanie
i takie światy mi nowe ujawni,
jakich śnić nawet nie zdołałbym dawniej;
światy, gdzie wchodzić tylko ci są zdolni,
co poświęcili swoje zmysły Myśli,
których duch z ciała się więzów uwolni,
choć jeszcze odeń są śmiercią zawiśli.

Jeśli przez moich namiętności zgliszcze
zbrudzoną duszą przelśnię i oczyszczę;
jeśli człowieka w duchu moim zgniotę
i ducha zmienię w wszechwładną istotę:
królestwa swego mistyczne wrzeciądze
naoścież wówczas otworzy mi Psyche,
i wejdę w jasność, jak dziś w mroku błądzę,
i ze skał grzmiących wejdę w łąki ciche.

W owej tajemnej, głębokiej wyżynie
duch mój się w duchu wszechświata rozpłynie,

a razem w siebie jego bezmiar wchłonie,
jak jedną tworzą toń dwie zlane tonie.
W ów świat podniósłszy się raz i wstąpiwszy,
wzgardę czuć będę, kędy dziś się trwożę,
i mrąc dla siebie, sobie będę żywszy,
i gasząc płomień, będę patrzył w zorzę.

I mieć tam będę tryumf wyzwolenia
ducha z pęt żądzy, co go opierścienia;
tryumf najwyższy, kiedy mi poddanem
będzie, co wprzódy było moim panem;
gdy ludzkie szały, jak sokół w kapturze,
nie będą śmiały zrywać się do lotu
i wszystkie zmysłów i umysłów burze,
jak dym rozwiany, znikną bez powrotu.

I blizki będę wyczuć i zrozumień,
jakim się biegiem toczy życia strumień;
w jakie niebiosa, z bagien i topielisk,
dźwiga się bytu olbrzymi obelisk?
I wiem, że wówczas będę mógł w wszechświecie
znaleźć harmonię pełną i porządek
i ze spokojem patrzeć, jak się plecie
nić na wrzecionie czas mierzących Prządek.

Bo ponad wszystkie i nowe i stare,
znajdę tam głębszą: rezygnacyi wiarę;
wiarę poddania się najwyższej woli,
co się nad wszystkie inne aureoli,
skąd wszystkie inne biorą swój początek
i moc pozorną, naprawdę bezwładną;
gdzie wrócić muszą, podobne do łątek,
co z wody wyszły i w wodę upadną.

Jeszcze czas nie jest, lecz mi Psyche biała
na oczach duszy wiecznie będzie stała,
i owa w dali, jak fata morgana,
kraina ducha, przez nią pokazana,
już zapomnienia mgłą się nie powlecze,
i zapalone mam gwiazdy przewodnie:
zwyciężyć w duchu, co w nim jest człowiecze,
i patrzeć śmierci w twarz wprost i pogodnie.

GRÓB POETY.

(Ignoto mortuo.)

Oto jest grób poety... W nieświęconej ziemi
i nie pod krzyżem leży... Na płycie grobowej
niema kwiatów... Nikt żadnej nie powiedział mowy,
wszyscy stali dokoła zmieszani i niemi
i odeszli czemprędzej, gdy grób zasypano —
został sam w ziemi z czarną, spiekłą w piersiach
[raną.

Jak cicho teraz leży i w jakim spokoju
ten, co wprzódy nie zaznał nic, prócz trosk i znoju,
prócz upokorzeń, wzgardy dla samego siebie,
gdy musiał żyć o ledwie nie żebranym chlebie,
lub — a myśl sama o tem barwę z twarzy zdziera —
starać się zostać błaznem pana lub bankiera.
Leży cicho... Już więcej nie przyjdzie ta jędza

z szczękami trupiej głowy, co się zowie nędza,
już nie przyjdzie i marzeń mu więcej nie starga...
Leży cicho... Ostatnia wielka, straszna skarga
wyszła mu z ust wraz z jękiem, gdy drżący i blady
pocisnął cyngiel — padł strzał — zbiegły się
[sąsiady,
drzwi otwarli, a widząc trupa na podłodze,
cofali się ze wstrętem i żegnali w trwodze.

A tymczasem świetlana, z skrzydłami złotemi,
odchodziła poety dusza precz od ziemi
i podniosła się zwolna i kędyś w przestrzenie
wracała, skąd przychodzi na ziemię natchnienie...
Wzdymaj się srebrnomodre nieskończone morze!
Wzdymaj się! ty mu zahucz, jak tryumfu dzwony!
Wzdymaj się, ty potęgo ogromna i dzika,
elemencie królewski i nieuskromiony!
Wzdymaj się! Gdy raz zerwał z szyi swej obrożę,
jego zwycięskiej śmierci to godna muzyka!..
Pieśń tryumfu mu zahucz! Oto już nic zgoła
wolnej, skrzydlatej duszy krępować nie zdoła...
W przestworzu od gwiazd skrzących i komet
[ognistem
lecieć będzie z błyskawic trzaskiem i prześwistem...

Ile wysp złotych w słońcu, pieczar skrytych
[w bluszcze,
kwiatów, co wybuchają lawą z ziemi Wschodu;
gdzie jakich skał granity i gdzie jakie puszcze,
wszystkie zorze na toniach, spiętrzonych od lodu,
wszystkich wulkanów ognie, wszystko, wszystko
[dla niej!
Wszystko! Niema granicy, kresu i przystani...
Wolna, jak mgła powietrzna na niezmiernem niebie,
lecieć będzie i wszystko, co niegdyś kochała,
ciszę, światło i przestrzeń, wszystko mieć dla
[siebie,
wydarta, wyzwolona z wstrętnych więzów ciała!

Oto przepastne wody tumanem się wznoszą
i wirem zakręcone piętrzą się w niebiosy — —
ha! z jakiemż upojeniem i z jaką rozkoszą,
uchwyciwszy się wichrów płomiennych za włosy,
leci, topi się w głębiach, jako sokół w chmurze,
opada wdół i znów się porywa do góry,
aż wreszcie, rozszalała, jak gryf złotopióry,
z mórz na morza przelata, ściga grzmiące burze,
i kędyś, gdzie się szafir sennych wód kryształi,
rzuci się odpoczywać na srebrzystej fali...

Wzdymaj się srebrnomodre, nieskończone morze!
Wzdymaj się, pieśń radości mu szum, pieśń wesela!
Oto już ognia marzeń nic mu nie spopiela,
nic kaskad jego natchnień tamować nie może...
Oto już owe kształty, owe światła, tony,
co były jego duszą, jego krwią serdeczną,
nie będą, jako obłok wichrem rozpędzony,
pierzchać przed strasznem widmem życiowej
[niedoli —
oto już wszedł w tę ciszę i spokojność wieczną,
gdzie nic więcej nie łamie, nic więcej nie boli.
Minęły już te noce, gdy przedziwne cienie
nad jego młodą głową splatały się w wieńce
i prosiły, składając jak do modłów ręce:
oto nas twe do ciebie przysłało natchnienie,
chcemy na świat! patrz, jakie piękne i tęczowe,
daj nam, jak gwiazdom jasnym, nad twem czo-
[łem błysnąć,
daj nam ciało, daj duszę!.. A on ściskał głowę,
co pękała w gorączce i pytał sam siebie:
co jutro? lecz co jutro? czy z okna się cisnąć?
czy żyć dalej o ledwie nie żebranym chlebie?
dalej walczyć z tym losem, co kościaną ręką
pochwyciwszy za gardło, pierś gniecie kolanem,

i jak upiór się poić zda ofiary męką,
unicestwioną siłą i życiem złamanem?
dalej za nędznej strawy kęs uginać karku,
zapierać się swej duszy, pragnień, woli, wiary,
myśl swą, krew swą przemieniać w towar na [jarmarku,
szukać kupca i ducha przykrawać do miary?
dalej z niebowstępnego cisz i wyżyn lotu
opadać ku ziemskiemu gwarowi i błotu,
gardząc własną słabością i dolą ofiary?

Niech mogiłę samotną w nieświęconej ziemi
tłum prawowierny mija z obawą i wstrętem:
kto się życia rękoma pozbawia własnemi,
tego duch potępiony, imię jest przeklętem.
Mówią, że czasem sokół, zamknięty do klatki,
próbuje stargać druty, aż gdy skrzydła skrwawi,
pierś porani i siły wyczerpie ostatki:
oszalały, z rozpaczy głodem się zamarza...
Ludzie spokojni, trzeźwi, rozsądni i prawi,
unikajcie głuchego wyklętych cmentarza.

ZŁOTY PTAK.

Rwij pęta, wichrze halny! W chmur kurzu i dymie
rozpostrzyj na sklep nieba swe skrzydła olbrzymie!
Rwij pęta, wichrze halny! Skrusz ziemi fundament,
wydrzyj ją z wiecznej drogi i szalonym rzutem
ciśnij ją w wir żywiołów, w pęt mgławic i zamęt,
choćby z mózgiem strzaskanym i sercem wyprutem!
Rwij pęta, wichrze halny! Łam twarde granity,
gruchocz w pył śmigłe lasy, piętrz siklawy w górę,
wzdymaj się! aż pod nieba samego sklep wzbity,
w gryfi szpon chwycisz słońce wielkie i ponure
i wiecznego obrotu druzgocąc mu osie,
pogrążysz je w skłębionych odmętów chaosie!...
Patrz! Jakiś ptak potężny ponad bór wylata,
roztoczył złote pióra na śniegu kurzawę —
patrz, jaka barwa skrzydeł świetna i bogata,
tylko piersi ma krwawe, krwią dymiącą krwawe...

On na dół nie spogląda — coraz wyżej leci,
zawisł w śniegowej chmurze, zawisł nad chmurami,
już kędyś blizko słońca złotem skrzydłem świeci,
a krew cieknie mu z piersi i tu ziemię plami...
On na dół nie spogląda; dumny i zuchwały
wzbija się coraz wyżej, snadź uciec od ziemi
i przepaść pragnie kędyś pośród chmur nawały,
i tylko zdala błyszczy skrzydłami złotemi...
A krople krwi, co cieką z jego piersi rannej,
padają, przeraźliwy deszcz i nieustanny...

O jasne mórz lazury, o wy srebrnopiane
fale, słodką muzyką wiatru kołysane;
o wyspy i wybrzeża, pełne kwietnych zacisz,
pełne gajów oliwnych i różanych szmerów;
o słońce, co świat życiem przebujnem bogacisz,
zielenią strojąc ściany wygasłych kraterów;
cudny śnie wyobraźni, widzenie natchnione,
błękitnych słów, liljowych tonów harfo złota,
miejsce ciszy, pokoju, melodyi świetlanej,
harmonii, co modrą niebiosów oponę
i modre w jeden błękit zlewa oceany;
o źródlana oazo pustyni żywota:
oto tam, na granitach, w chmur ciemnej żałobie,

w martwej śródskalnej ciszy, daleko, daleko,
złoty ptak, lodem bity, zmarzły, śni o tobie,
a krople krwi mu z piersi na śnieg biały cieką.

NAD MORZEM.

I.

Smutek i martwość upadły na duszę —
i oto błękit ów jasny i czysty,
i morza lazur złoty i świetlisty,
i róż girlandy i palm pióropusze,
i słońce, blasków kaskadą rozrzutne:
wszystko tak martwe stało się, tak smutne.

Więc jasność owa, pogoda i radość,
wszystko w człowieczej duszy ma początek,
i trzeba strzec się swych własnych pamiątek,
aby nie oblec świata w kir i bladość,
i trzeba kryć się przed swą myślą własną,
gdy od niej słońca ciemnieją i gasną...

II.

O morze! oto do twej głuchej fali,
goryczą własnych myśli nieszczęśliwa,
ziemią znękana, bez ostoi w niebie:
rzuca się dusza, by uciec od siebie,
i, jak łódź wichrem pędzona, odpływa
dalej i dalej, w bezbrzeż, coraz dalej...

Dalej i dalej... Już, zda się, zatraca
pamięć swej klęski, swoich win i kary,
i gdy poza nią skraje lądu znikły,
siedziby swojej zapomina zwykłej —
płynie — aż ujrzy, że płynąc w bezmiary
tam, skąd uciekła, niezmiennie powraca...

ORZEŁ.

Spłynął wolno przez ciche powietrzne ogromy,
usiadł na skale, złożył skrzydła ciemnopłowe,
pierś odął, dziób podnosząc, wcisnął w barki
[głowę,
i siedział zadumany, wielki, nieruchomy.

Patrzył wdół, świat mu wokrąg legł u stóp
[widomy — —
patrzył, a jego oczy w skrach, błyskawicowe,
treść całej orlej duszy miały i wymowę:
patrzył spokojny, zimny na świata poziomy.

Tam — mógłby wulkan ziemię w nic obrócić całą,
jemuby jedno pióro w skrzydłach nie za-
[drgało — —
i wiesz ty, wichroskrzydły, podsłoneczny ptaku,
siedzący tam bez ruchu na tej skale twardej,
czegoć więcej zazdroszczę, niż twych lotów szlaku?
Oto prawa do zimnej, spokojnej pogardy!

GRA SŁÓW.

Przychodzisz do mnie noc po nocy,
śnisz mi się długo i boleśnie — —
patrzę w twe oczy, a twe oczy
są jak dwa zimne światła z lodu.

Wyciągam ręce do twych dłoni:
twe dłonie są jak ostre noże;
chwytam twe małe drogie stopy:
twe stopy są jak ostre ciernie.

I budzę się od krwi na rękach,
na dzień się budzę długi, smutny — —
przychodzisz do mnie noc po nocy
śnić mi się długo i boleśnie.

POUR PASSER LE TEMPS OKTAWĄ.

Nigdy mu ramion pierwsza nie otwarła,
choć się łaskawie obejmować dała;
nigdy, gdy szepnął z ściśniętego gardła
„kocham“ — nie rzekła nic, tylko słuchała.
Jemu się z bólu dusza w sztuki darła,
bo nic w niej znaleźć nie mógł oprócz ciała,
i to, co pomnieć musiał nieustannie,
o ile szukać wypadało w pannie.

Albowiem panną była, a za wiano,
prócz dwóch wsi, miała urodę Dyany.
Młodzież w niej cała była zakochaną,
wszystkie jej również nie cierpiały panny.
Rodziców dawno w grobie pochowano,
w klasztorze wiek swój przeżyła poranny,

gdzie się, w sekrecie przed swą przełożoną,
najczęściej w żonę i męża bawiono.

Potem, gdy suknię już zrzuciła krótką,
gdy się jej wiosna zaczęła siedmnasta,
w Warszawie z ciotką mieszkała rozwódką
i poznawała obyczaje miasta.
Była „naiwną“ i trochę „filutką“,
lubiła jeszcze bardzo szczerze ciasta — —
tymczasem, jak jest powszechnie przyjętem,
posag jej gdzieś się zapodział ze szczętem.

Mówią, że jej opiekun kamienicę
i wioskę kupił gdzieś około Bałty...
Zwyczajna potwarz. Śliczną siostrzenicę
mając u siebie, ciotka jęła rauty
i bale dawać, różne tajemnice
toaletowe kłaść na różne kształty,
myśląc, i słusznie, że z jednego rożna
często pieczenie dwie zdjąć naraz można.

Miała trzydzieści pięć lat i Wilhelma
Kufkego — był to z zawodu piwowar —
na oku; wprawdzie „jak but była szelma“,
lecz sto tysięcy czysto niósł mu browar.

Eheu! Jak często człowiek próżny cel ma!
Kufke był kupcem i wiedział co towar,
a co tandeta — — oświadczył się wkrótce,
lecz siostrzenicy, nie ciotce-rozwódce.

Przyjęła... Próżno do nóg jej się ciskał
kochanek — — miał wieś, ale tylko jedną...
Prócz plam na spodniach, nic więcej nie zyskał;
widział, że nawet lica jej nie bledną,
gdy jemu w sztuki mózg pod czaszką pryskał
i gdy rękami cisnął głowę biedną...
Więc zrozpaczony poszedł precz, a ona
dostała swą rubrykę: Kufke-żona.

Po tym wypadku on zerwał ze światem
i cały chłopom oddał się u siebie.
Był im i ojcem zarazem i bratem,
bronił ich, karmił na swym własnym chlebie —
za to psu jego chłopi oczy batem
wybili, potem ukradli mu źrebię —
(psu, bo szedł drogą; źrebię, bo się dało) —
wreszcie spalili mu krescencyę całą.

To zniechęciło go i osiadł w mieście,
gdzie z artystami żył, bo lubił sztukę.

Jednego, rubli mu na miesiąc dwieście
dając, wyprawił do Włoch na naukę.
Lecz nagle z banku pewnego w Tryeście
dano mu słodką do wypłat prynukę,
każąc zapłacić przez pozwy naglące
na sfałszowany podpis dwa tysiące.

To go zmieszało tak, że horoskopów
już nie pytając żadnych, co mu radzą:
wyrzekł się swojskich panien, sztuk i chłopów,
okno idei zasmarował sadzą,
jeszcze raz złotu przypatrzył się snopów,
jeszcze raz spojrzał, jak kartofle sadzą,
i z swem ojczystem rozstawszy się polem,
zakupił willę gdzieś pod Neapolem.

Tę willę wielkim otoczył parkanem,
parkan zaś cały oplótł żywopłotem;
wewnątrz park kwieciem ustroił różanem,
ponsem kaktusów i pomarańcz złotem;
postawił namiot pod chłodnym platanem,
zawiesił miękki hamak pod namiotem,
i wodzie w lilije ubrawszy krawędzie,
flamingi na nią puścił i łabędzie.

W alejach parku, w cyprysowych cieniach,
rozstawił białe boginie kamienne;
na okwieconych stały podniesieniach
prześliczne, nagie, nieruchome, senne...
Srebrzyste w srebrnych księżyca promieniach,
w promiennej słońca jasności promienne,
na tle drzew ciemnych bieliły się cudnie,
blade wśród nocy, świetlane w południe.

Z parku miał widok na morza błękity,
na ściany Capri, co się lśnią i bielą,
na Wezuwiusza płomieniste kity,
na w mgłach różanych widny Sant'Angelo — —
widok miał bardzo piękny i odkryty,
i nieraz siedząc nad morską topielą,
cieszył się, patrząc na przejrzysty lazur,
że żaden w parku tym nie bywa Mazur.

Miał także własną łódkę, którą czasem
płynął na morze, kiedy woda gładka
była tęczami świecącym atłasem.
Zawsze mew za nim leciała gromadka,
którym jeść rzucał, i nad łodzią pasem
krążyły śnieżnym, że łódź jako chatka

zdała się polska pod gołębi sznurem,
jak łąk zielenią, oblana lazurem.

Tam, na wznak leżąc ku niebu oczyma,
nieraz dni całe przepędzał samotnie,
myśląc, że przeszło lato, przyjdzie zima,
albo też myśląc to samo odwrotnie.
Myślał, że czego braknie, tego niema,
że tysiąc razy znaczy tysiąckrotnie,
że fasolowy sos robi się z fasol
i że od deszczu ochrania parasol.

Czasem też bawił się wspomnień zabawą,
niejedną złoto- znał i czarno-brewą — —
z tych jedna miała pierś lewą i prawą,
a druga miała pierś prawą i lewą...
Tą przeżuwaną znudziwszy się strawą,
patrzał bezmyślnie za skrzydlatą mewą,
albo na nieba patrzał błękit czysty,
albo na spinek swoich ametysty.

A czasem leżąc w łodzi, mimowoli
wracał pamięcią w swoje dawne strony,
do swoich łanów i do swych topoli,
do swoich wiklin — i do Kufke-żony,

która tymczasem Kufkemu kark woli
obejmowała białemi ramiony...
Tak sądził, chwiejną kołysany łódką,
nie wiedząc, że to trwało bardzo krótko...

I wyciągały mu się ku niej ręce
i pierś pękała z żalu i tęsknoty...
Widział jej usta krasne i dziewczęce
i szafir oczu raz srebrny, raz złoty...
Widział jej blade, przejrzyste rumieńce,
półciemnych włosów miękkie, bujne sploty,
i urokami czarujące łono — —
i wkoło wodę pustą, nieskończoną...

Ogromną wodę, po której okręty
szły, białym żaglem świecąc się pod słońce;
przestwór niezmierny i nieogarnięty,
gdzie dusze smutne, błędne i tęskniące,
jako mar poczet włóczą się zaklęty
i bóle swoje i skargi palące
topią w bezdennej głuszy i otchłani,
idąc, jak ludzie z ojczyzny wygnani...

Pani Kufkowa wiedziała najpewniej,
że jest kochana wciąż i bez pamięci

z wszystkiem, co dobre, i wszystkiem, co złe w niej,
nawet myślała o tem nie bez chęci;
sądząc, że wielce się przez to „królewni“,
„anielkowuje“, podnosi i święci,
i że z Henrykiem, co gdzieś dla niej kona,
jest ponad wiele kobiet — wyróżniona.

W jej biurku leżał list. Miał z Bazylei
pieczęć, pisany być musiał w wagonie.
List ten brzmiał: „Pani! Więc reszta nadziei
jak kamień w wodzie niezgłębionej tonie?!
Więc tak?! Huczące wśród śnieżnej zawiei
Alpy mi zdają się walić na skronie — —
Więc tak?!... Napróżnom serce wydarł z piersi
i do nóg cisnął ci... Lecz czyż my pierwsi?...

I tylko nie wiem, czemu w mojej duszy
jest ból, jak gdyby pierwszy ból na ziemi?
Czemu to serce tak się rwie i kruszy,
jakby wszystkiemi mękami ludzkiemi
cierpiało we mnie... Czemu tej katuszy
we mnie zwyczajna ta myśl nie oniemi,
że serca mrą z boleści, lecz powoli,
zapominają o tem, co je boli?

Tylko w nich smutek pozostaje cichy
i dziwna smętność marzeń — — bo ja to wiem,
lecz dziś jest we mnie bunt i piekło pychy,
i żal, serdeczny żal... Ach! nie wypowiem
ile jest we mnie żalu... Ot, jak lichy
robak ci do nóg pełzłem — — życiem, zdrowiem,
krwią, mózgiem, sercem byłbym o twe szczęście
walczył... wolałaś z bogatszym zamężcie...

Ja sam już nawet nie wiem dobrze, kto to
bezmiłosiernie z mych rąk cię wyrywa?
Nic nie wiem, czuję tylko, że mię gniotą,
że jakaś krzywda mię łamie straszliwa,
że mi się serce bólem i tęsknotą
rwie, że z mych piersi krew ucieka żywa,
że... sam już nie wiem, co piszę... pod czołem
wszystko mi nagle stało się popiołem.

Zrobiłaś duszę mą jedną ruiną,
pełną strzaskanych kolumn, gruzu, łomu,
najświętszy ołtarz mój oplwałaś śliną,
z kraju wygnałaś mnie i z mego domu — —
wszystkie me czucia, wiedz, przez ciebie giną,
nie znam już prawdy, nie znam wstydu, sromu,

nie wiem, co żadne święte słowo znaczy,
nie znam na świecie nic — oprócz rozpaczy...

Jak pies u nóg twych chciałem leżeć, stopy
całować twoje i jeszcze to sobie
mieć za raj szczęścia... Dziś — — pół Europy
dzieli nas... O ty!... Wszakżem twoje obie
ręce na szyi miał... Jak światła snopy
na łąkę lecą o porannej dobie:
tak mi z twych oczu szedł blask w głębię ducha...
Dziś co?... Ta pustka Alp dokoła głucha...

Pamiętasz? Nie raz to i nie dwa razy
mdlałaś w ramionach moich, o Irenko,
niezrozumiałe mi szepcąc wyrazy
i włosy moje plącząc drżącą ręką...
Chciałażeś tylko zmysłowej ekstazy?
Upojeń? Szału? Tak?... Ach! jeszcze miękką
twą kibić czuję tu, na mojem ręku,
przegiętą, w włosów rozsypanych pęku...

I czuję ciepło twego ciała jeszcze,
ciepło twych westchnień i spojrzeń, o droga!
Jeszcze na rękach cię tu mam i pieszczę,
pieszczę, całuję... Na żywego Boga!

Jak ból to serce w rozpalone kleszcze
chwyta, jak burza grzmi po Alpach sroga,
jak się te góry po jeziorach dwoją:
tak ci przysięgam dziś, że będziesz moją!..."

Ten list rok leżał u pani Kufkowej
w biurku; przez ten czas Henryk na wsi bawił,
potem wyjechał, zaś ona miodowy
czas przepędzała w Nizzy, gdzie się pławił
pan Kufke w morzu i kwiatach. W okowy
Amor go srogie wziął i srodze dławił,
bo wśród akacyj chodząc i wśród bluszczu,
pan Kufke stracił dziesięć funtów tłuszczu.

A żona nie utyła... Rok upływa,
pani Irena jest zawsze powiewna.
Mówią, że trochę ma wstrętu do — — piwa...
Mówią — — lecz rzecz to nie jest wcale pewna...
Ludzka złośliwość jest taka złośliwa...
Dość, że po świecie chodzi jak królewna,
a przy niej, kufa z piwem przy kolumnie,
jej mąż, pan Kufke, poważnie i dumnie.

(Miał sto tysięcy rocznie.) Nieczytany
list leżał w biurku; lecz raz, gdy na balet

mąż poszedł, ona swej garderobianej
chcąc wybrać jedną ze starych toalet,
w swym buduarze, w którym wszystkie ściany
świecą tęczami wachlarzów i palet,
otwarła biurko, gdzie kluczyki kładzie,
i list przypadkiem spostrzegła w szufladzie.

Wzięła i zbladła trochę i z powrotem
chciała położyć — wyjęła z koperty
i jęła czytać te słowa, z łoskotem
wielkim pisane, bez logiki, *per ty*.
Zarumieniła się, znów zbladła, potem
zgarnąwszy nowych „Mód paryskich" sterty,
usiadła na fotelu z listem w ręku,
przegięta, w włosów rozsypanych pęku.

Siedziała długo, w tył schyliła głowę,
list na kolana padł, ręce jej zwisły;
przez twarz jej bladą szły ognie ponsowe,
i pierś wznosiła się w sukni obcisłej.
Dreszcze ją jakieś wstrząsały nerwowe
i w oczach jakby dwie wielkie łzy błysły — —
przycięła usta i nogę na nogę
kładąc, westchnęła... List spadł na podłogę.

Siedziała długo. Wtem ozwał się dzwonek — —
drgnęła, wydęła usta, marszcząc czoło,
i list włożyła między stos koronek.
Mąż wrócił. Wyszła z twarzą niewesołą,
siadła do stołu i, biorąc za trzonek
widelca, naprzód przyjrzała się wkoło
ścianom, obrazom, zwierciadłu, papudze,
a potem rzekła zwolna: „Ja się nudzę".

„Nudzisz się żonko?! Mieć takie pokoje!
Nikt nie ma mebli ładniejszych w Warszawie!
Nudzisz się?!" – „Nudzę". – „Chcesz, to, serce moje,
nowe obicie do salonu sprawię?"
„Nie". — No to może pojedziem oboje
naprzykład do Berlina? Nie? To wstawię
w twoją rubrykę— —nie? To nie mam—słów już!
Cóż chcesz?" – „Chcę widzieć Baje i Wezuwiusz".

„Baje? Lecz baja jest dawno niemodną,
nikt już nie nosi bai i — —" Z pod oka
patrząc, Irena rzekła na to chłodno:
„Baje — to, mężu, jest morska zatoka,
nie sukno; chcę tam brać kuracyę wodną.
A zaś Wezuwiusz — to góra wysoka,

wulkan, nad Neapolem. Pojedziemy?"
Mąż skinął głową czerwony i niemy.

Tymczasem Henryk znudził się w swej willi
i na operę poszedł: grano Mignon.
Wtem, gdy w antrakcie widze brawo bili,
łaskawą darząc artystów opinią,
spojrzał do góry — i w tejże go chwili
dreszcz przebiegł: ujrzał za jakąś Wirginią
rzymską, cud — — chyba poszła na paradyz
Eunice — (czytał był właśnie Quo vadis).

Jak się zapoznał z niemi, mniejsza o to;
dość, że niedługo cudny skarb dziewczęcy
nabył od matki gotówką za złoto,
dając w ludwikach franków pięć tysięcy.
Dziewczyna poszła do willi z ochotą,
był to zaiste dla niej los książęcy,
a nadto matka ze stryjem Briganti
chcieli ją sprzedać w „Casa Fioravanti".

Viola poszła z domu z obcym panem
w brudnej sukience, w podartej koszuli;
tam wszystko było już przygotowanem,
kąpiel jej dali, odziali, obuli;

dali jej pokój zasłany dywanem,
mnóstwo batystów, koronek i tiuli,
kilka zwierciadeł, kanapę z poduszką,
dwa kandelabry i francuskie łóżko.

Jedno zwierciadło miała z lewej strony,
drugie po prawej, trzecie u sufitu.
Tapicer nawet był tem zachwycony
i w sufit haki bił pełen zachwytu.
Miała też ganek na morze rzucony,
na wodę z różu, srebra i błękitu,
cichą, głęboką, pustą i niezmierną,
i w szafie asti, szampan i falerno.

Było w południe. Siedzieli oboje
w parku nad morzem. Jej płynęły z głowy
złotawych włosów wite w loki zwoje
na smukłych ramion kształt alabastrowy.
Nosiła w domu napół greckie stroje,
które jej wdzięki kryły do połowy,
i teraz, w białej tuniki rozcięciu,
widać jej było białe biodro w zgięciu.

Na morze oczy obróciła duże,
łagodne, smętne, czyste oczy Psychy,

i wodząc niemi po złotym lazurze,
miała w nich morza uśpionego cichy,
błękitny uśmiech. W drobnej dłoni róże
trzymała, wielkie więdnące kielichy,
co miały w blasku więdnących szkarłatów
ten dziwny smutek konających kwiatów.

W białej tunice, w wianku róż na głowie,
z różami w dłoni, cicha, zamyślona,
była jak nimfy gdzieś w greckiej dąbrowie,
zrodzone z baśni. A fala złocona
jej białe stopy brała za wezgłowie,
lub zawisała perłą u jej łona,
albo na róże i włos rozwinięty
wielkie i jasne siała dyamenty.

Henryk ramieniem otoczył jej szyję,
lubieżną szyję marzącej Charyty,
i czuł, jak serce u dziewczyny bije
w piersi okrągłej, pełnej, półodkrytej.
Ile się żaru pod tą piersią kryje
wiedział, i wiedział jak jej ócz błękity
mdleją z pod powiek, gdy napół zemdlona
w tył się przechyla, otwarłszy ramiona.

Przed nimi morze grało zmienną tęczą
przesrebrzanego w lazur fioletu,
pokryte gazą oparu pajęczą,
co od w łuk giętych gór modrego grzbietu,
hen, ponad siną zatoki obręczą,
wisiała drżąca, jakby dźwiękiem fletu
kędyś wśród laurów ukrytego Pana
w błękitne rytmy sennie kołysana.

Siedzieli cicho, wsłuchani w milczenie
odległych pustek, w bezmiar wód wpatrzeni,
samotni, cisi, bez ruchu dwa cienie,
wyszłe z cyprysów tajemnej zieleni.
Tylko swe zgodne jednotonne tchnienie
słyszeli, wzajem do się przytuleni.
Tej chwili Henryk znad róży kielicha:
„Verweile doch, du bist so schön!...“ rzekł z cicha.

„Verweile doch!...“ Poza nim cmentarz życia,
powiędłe myśli, albo wbite w błoto,
wszystko stracone i nic do zdobycia,
i serce próżną stargane tęsknotą...
Przed nim?... Z przeszłości ciemnego ukrycia
jutro — twarz bladą śmiertelną martwotą

wychyla, widmo straszne i pokutne,
trwogę niosąc, i jak trumna smutne.

„Verweile doch!...“ Bo oto wczesna idzie
starość i nędza ciała, co trupieje;
starość w swej całej grozie i ohydzie,
starość, co lodem przerażenia wieje,
starość, kąpana w fizycznym bezwstydzie,
wstrętna, okropna; starość, która leje
na nędzne ciało ludzkie kubeł kału
i robi zgniłe próchno z „ideału“.

Starość, co łamie, druzgoce i depce,
starość, co nurza w szpetności po uszy,
starość, co żywą krew po kropli chłepce,
starość, co serce zabija, mózg suszy,
starość, co pierwsza nad dzieckiem w kolebce
staje i krokiem się odeń nie ruszy
i jak śmierć za niem bezustannie chodzi — —
wybrańcy bogów umierają młodzi.

„Verweile doch!...“ Daremnie... Przeszła chwila,
przeszła i więcej nigdy nie powróci,
nigdy już więcej... Czuł, że się pochyla
w nim coś ku ziemi, zasępia i smuci.

Czar znikł, jak lotnych obłoków flotylla,
gdy je po morzu w nicość wiatr rozrzuci.
Zrozumiał, że w tej chwili do zenitu
doszło u niego uczucie dosytu.

Zrozumiał, że już więcej tu na ziemi
wydobyć nic już nie zdoła z użycia,
zanim go starość z szczękami trupiemi
chwyci, z ciemnego wypełzła ukrycia.
Tu, nad wodami siedząc błękitnemi,
swą najpiękniejszą miał godzinę życia,
pośród natury jak cud, przy kobiecie
jak wybujałe w słońcu polne kwiecie...

I wolnym ruchem wyjął z kamizelki
papierek, w którym nosił cyankali;
spojrzał — — na ręku miał zwitek niewielki — —
wzdrygnął się — — po tem już nic nie ocali —
jednak czy warto żyć bez żądzy wszelkiej,
bez pragnień, złudzeń, nadziei?... W oddali
zobaczył nagle w parku, wśród topoli,
panią Irenę, idącą powoli.

Pani Irena szła, a Henryk wstawał,
nie będąc pewny, czy widzi na jawie,

czy też złudzenie go bierze na kawał
i ambetuje, jak mówią w Warszawie.
Ona! Tak, ona! Czyżby nie poznawał?!
Ta sama gibkość i smukłość w postawie,
te same ruchy, rysy... Święte bogi!
Irena! Ona!... Zerwał się na nogi.

Wraz z nim zerwała się z ławki Viola,
która dotychczas patrzała na morze.
Stanęła smukła, gibka jak topola,
a na twarz wyszły jej rumieńców róże —
zażenowała ją szatek swawola,
które wiatr lekki podnosił ku górze,
więc się ogarnia rączkami, pół dzika,
pół przestraszona patrząc na Henryka.

Pani Irena stała blada cała —
w jej oczach tysiąc zaświeciło błysków,
zda się, że nagle na głaz skamieniała
i była jak statua z wodotrysków
albo monument... List, który trzymała
w ręku, od palców kurczowych uścisków
zwinął się w biały, pomięty papilot —
a usta były jej, jak działa wylot,

dopóki lontu kanonier nie zniży...
Straszliwy otwór... Wtem krew jej na lice
buchnęła, o krok jeszcze przyszła bliżej
i na Henryka oczów błyskawice
zwracając, oczów, jak sierć kolcozwierzy,
list odrzuciła precz na fal śnieżyce
i, lady Makbet ruch z trzeciego aktu
czyniąc, przez zęby rzekła: „To pan tak tu?!...

To, gdy ja myślę, że pan schnie z żałoby
i o mnie tylko myśli, za mną jęczy,
pan tu z dziewczyną włoską?!... Boże! ktoby
pomyślał?!... To ja!... A pan tu się wdzięczy
do jakiejś Włoszki! Ja!... Nie! To wartoby
w powieść!... Ja myślę, że on się tu męczy,
że on tu kona od przeszło dwunastu
miesięcy — — a on tu... non! ça suprasse tout!

Ha! to zaiste godne pana, w taki
ubliżyć sposób bezbronnej kobiecie!
Poznaję pana — — zawsześ pan jednaki —
nic się nie zmienia widać na tym świecie!
Poznałabym cię wszędzie — ach! te krzaki!
jeszcze się podrę gdzie! — postępujecie

zawsze jednako z nami — po tym kroku
pana poznałabym w największym tłoku!

Lecz teraz kwita z nami! Już na wieki!
Słyszysz pan? C'est fini — fini à jamais!
Je ne veux plus vous voir! Où suis-je? Chez qui?
W jakąż rozpusty straszną wpadłam jamę!
Wyprowadź mię pan stąd! Ja bez opieki!
Mój mąż, ten bałw... to jest... Przez taką damę!
Przez taką... tak się dać skompromitować!
Non! C'est trop! Zaraz pan mnie stąd wyprowadź!

Albo... ah! ah! ah!..." — krzyknęła i padła
prosto ku Henrykowi — ledwo złapał —
Viola na to patrzała pobladła,
a deszcz jej cichych kropel z sukni kapał,
wreszcie spytała, czyby prześcieradła
nie przynieść, widząc, że Henryk już sapał,
i położywszy tę signorę na niem,
zanieść ją do pokoju przed skonaniem?

Henryk powoli przytomniał — — na rękach
miał swoją dawną, kochaną, straconą,
dawną Irenkę o tych samych wdziękach,
które mu duszę czyniły szaloną;

włosy jej znowu rozsnuły się w pękach,
gdy przewiesiła w tył głowę zemdloną,
z pod gorsu piersi wyjrzały z ostrożna,
wstydliwie, jakby pytając: czy można?...

Na rękach czuł ją swych całą zwieszoną,
czuł ciepło ciała jej i jej oddechu,
przy piersi czuł jej falujące łono,
czuł krew tętniącą w jej żyłach w pośpiechu,
czuł swoją dawną, kochaną, straconą —
a ona zwolna, w smętnym półuśmiechu,
pół powiek wzniesie i pół ust rozchyli
zbladłych, podobnych półrozwartej lilii —

i patrzy... Wszystko pierzchło mu z przed oczu,
cierpienia, męka, gniew i wszystko potem —
zanurzył palce w jej gęstym warkoczu,
co się pod słońca światło błyszczał złotem,
schylił twarz — — w oczu jej mglistem przezroczu
zadrgało światło — — nagle rąk mu splotem
objęła szyję — — i czoło im z czołem,
usta z ustami spoiły się społem...

Jak długo trwał ten czar — — któż takie chwile
liczy — — lecz nawet Henryk uczuł życie...

On, co przed chwilą chciał się skryć w mogile
przed nudą: tonął, jak chłopak, w zachwycie,
jak chłopak, gdy już poczuł się na sile
schwycić dziewczynę wpół, w owsie lub w życie,
i w tył przegiąwszy, nieledwie ku ziemi,
spoił jej usta z ustami swojemi.

O gdyby chwila pierwszego objęcia
mogła być wieczną!... Któż tego nie pomni?
Te tajemnicze, te nieznane wgięcia,
te skryte czary kształtów... Któż zapomni?
Pierwsze zbliżenie ust do ust dziewczęcia,
co oszaleni i unieprzytomni,
pierwsza płomienna rozkosz nocą późną...
„Verweile doch! du bist so schön!“... Napróżno...

W WĘDRÓWCE.

Dopóki miałem gdzieś dom oznaczony
a kędyś w obcą zaleciałem dal:
daleko było mi do mojej strony,
było mi tęskno i było mi żal — —
lecz dziś, gdy nigdzie niema mego domu,
równie mi pusto wśród świata ogromu.

Pókim się łudził, że jestem kochany,
że czyjąś pamięć wszędzie z sobą mam:
choćbym był zabiegł gdzieś na oceany
lub w step niezmierny, nie czułbym się sam — —
lecz dziś, po chwili zgasłej bezpowrotnie,
wszędzie mi równie pusto i samotnie...

PRZEZ TURNIE, PUSTKI...

Przez turnie, pustki wiatr ściga mgły,
ściga niechwytne nad wodną toń — —
o serce ludzkie, ścigaj swe sny,
przez turnie, pustki je goń.

Ścigaj niechwytne twoje sny-mgły,
aż cię ból zdejmie i żal i gniew,
goń je, aż z ciebie wytrysną łzy,
wytrysną łzy, wytryśnie krew...

POD MARTWĄ SKAŁĄ...

Pod martwą skałą więdną górskie kwiaty,
zwarzył je mróz,
burzą strącony i zniesiony deszczem
przysypał gruz.

Więdną i próżno patrzą się ku słońcu
z pod martwych skał —
i po co na tę śmierć nieuchronioną
wiatr tam je siał?...

GDZIE JEST...

„Gdzie jest twój sen? Gdzie jest twój sen?"
spytało wielkie morze;
góry spytały gdzie jest mój sen,
i szum mnie spytał w borze.

Słońce mię pyta: „Gdzie jest twój sen,
sen, co był sercem w tobie?"
Gdzie jest mój sen? Gdzie jest mój sen?
Wraz z sercem mojem w grobie.

PONURE WIDMO...

Ponure widmo, co nad wodne głębie
płyniesz w obłoków zawichrzonych kłębie,
niesione wichrem rozszalałym halnym,
straszne, że smreki drżą na brzegu skalnym:

mnie nie przerazisz... Gdyby wyszła ze mnie
mara mej duszy na te wodne ciemnie,
to przed jej smutkiem ty, górskie widziadło,
cofnęłobyś się i w turniach przepadło.

PORANNE BIAŁE...

Poranne białe płyną mgły
Pod Beskid modro-siny;
Nad Granatami słońce się lśni
przez srebrne pajęczyny.

W kotlinie, nizko, schodzi cień
z ciemnych jeziorek głuszy;
blady, jesienny powstaje dzień
i ranną rosą prószy.

Na hali deski pustych strzech
zdaleka lśnią do słońca;
dokoła trawa, kamień i mech,
pustka, jak grób milcząca.

Z poza przełęczy lecą mgły,
z szumem się w górze mącą
i zapadają, jak ludzie sny,
w przepaść, jak grób milczącą.

DALEKO ZOSTAŁ...

Daleko został cały świat,
wiatr tylko po uboczy
nagiej, pożółkłej, po szarych mchach,
jęczące skrzydła włóczy.

Nie przyszła tutaj ze mną wraz
pamięć, ni myśl niczyja,
tylko tęsknota, co duszę rwie,
tęsknota, co zabija...

ZASZUMIAŁ CIEMNY...

Zaszumiał ciemny, głęboki las,
żałość się po nim niesie,
niezmierny smutek, ogromny ból
zaszumiał w ciemnym lesie.

Czemuż, o lesie, konary twe
tak smutną pieśń zawiodły?
Czy piorun spalił, lub topór ściął
twe najpiękniejsze jodły?

WE MGŁACH STRUMIENIE...

We mgłach strumienie szumią wód
po skale biegnąc ściętej;
we mgłach wieczorny opadł chłód
na sennych fal odmęty;

we mgłach żałobny pomrok z hal
i ciemnych zszedł krzesanic —
i we mgłach spływa żal, ach żal
bez dna, bez dna, bez granic...

CIEMNOSMRECZYŃSKI STAW.

W kotlinie, wśród kamieni
i pordzewiałych traw,
w posępny blask się mieni
ciemny i cichy staw.

Nad nim się piętrzą zwały
nagich, skrzesanych ścian,
mech pnie się osiwiały
i kosodrzewu łan.

Niezmierna martwa głusza
zaległa skał tych kąt:
przeciągła pieśń pastusza
nigdy nie zabrzmi stąd.

Czasem się wiatr w kotlinie.
z skalnych przetacza wrót,

po kosodrzewie płynie
i mąci ciszę wód;

czasem się złom rozkrusza
od ryku wściekłych burz —
zresztą niezmierna głusza,
martwota pustych mórz.

Gdym się raz patrzał z góry,
błądząc po wierchach sam,
w kotliny głąb ponurej:
ujrzałem marę tam.

Z dłońmi załamanemi
u skalnych legła stóp
i kryła twarz ku ziemi,
smutna, jak śmierć i grób.

Nie wiem, czy w to bezdroże
upiory schodzą śnić?
Czy czyja dusza może
swój ból tu przyszła kryć?...

SONETY.

I.

Sarkofag w ciemnym wykułem marmurze
i postawiłem w nim urnę z popiołem;
w tej urnie wiele, ah, wiele zamknąłem,
więcej, niż życie... Wkołom blade róże

obsadził wieńcem i bluszczem po murze
ciemnozielone i smutne rozpiąłem — —
tam ze schylonem idę klękać czołem
i myśl w głębinę dni umarłych nurzę.

Co jest popiołem w sarkofagu owym,
było mi niegdyś żywem — — mnie się zdało,
że razem ze mną, z mojem życiem skona...

A oto moje pogrzebione ciało,
a oto dusza moja pogrzebiona
w tym sarkofagu leży marmurowym.

II.

O zimny marmur opieram mą głowę
i serce w urnę z popiołami kładę;
czuję, jak róże zwisły ku mnie blade
i słyszę smutne szemranie bluszczowe.

Godziny idą... zda się, że bronzowe
słychać stąpanie czasu... Gwiazd gromadę
już noc rzuciła na strop i lewadę
dokoła w mroki skryła księżycowe.

Jak dawno czoło o grobowiec wsparłem,
nie wiem — — gdym szedł tu, był dzień na błękicie...
Com czuł, com myślał, nie wiem — — śniłem może...

A może wyszło ze mnie moje życie
i tam, w to zimne, marmurowe łoże,
tam poszło leżeć w trumnie, z tem umarłem...

III.

Przy sarkofagu tego głuchej płycie
wiem, że na zawsze kiedyś pozostanę;
krew moja wsiąka w te głazy ciosane,
z krwią mą w sarkofag wsiąka moje życie.

Róże i bluszcze, co się tu krzewicie,
niegdyś mą ręką bolesną zasiane,
splećcie nade mną cienistą altanę,
abym nie widział słońca na błękicie,

ani księżyca na wieczornem niebie,
bo każde z świateł tych zbudzić mię może
wspomnieniem chwili tryumfu przebrzmiałej...

One promienny mój tryumf widziały,
a jam nie wiedział wówczas, że go włożę
w urnę i w grobu marmurach pogrzebię.

IV.

Jestże to prawdą? Nie jestże złudzeniem?
Mogłoż znicestwieć, co się zdało trwałem?
Tak w noc bezsenną, bezkresną pytałem
pod bluszczu smutkiem i róż zamyśleniem.

Ze zdruzgotanem na ustach imieniem,
z sercem od ciosu krwawem i omdlałem,
na pustce łąki w tę noc długo stałem
pod sarkofagu kamiennem milczeniem.

A wśród pustkowia niezmiernych cmentarzy,
gdzieś zanurzony w półmroczne otchłanie,
jakbym sarkofag ten umyślnie stawił

naprzeciw jego zadumanej twarzy:
daleki Sfinksa kształt mi się pojawił,
jako odpowiedź na moje pytanie...

V.

Z posępnej ciszy, z grobowej martwoty,
z kamiennych chłodów owego kościoła,
coś mnie na słońce, na zieleń łąk woła,
głos jakiejś wielkiej, głębokiej tęsknoty.

Otom się zbawił zorzy słońca złotej,
za życia z żywych wydarłem się koła,
mam cios milczący i mrok dookoła
i głuchą przestrzeń ponurej ciemnoty.

Do łąk zielonych tęsknię i do szumu
drzew nad potokiem, do ludzkiego głosu —
lecz jeśli wyjdę z murów mego tumu,

to po to, abym znów na ten świat wrócił,
któremum wydarł się i którym rzucił,
by się zakopać wśród mroku i ciosu.

DZIWNA CHWILA.

Czas płynie... Nigdy więcej nie przyjdą ku sobie—
rozeszli się na zawsze, na zawsze rozstali,
żyją, jakby na innym każde żyło globie — —
czas płynie, czas, co z każdym dniem rozdziela
[dalej...

Stracona chwila złudy... Już jak grobu płyta
powoli mchem zarasta i pleśnią zakwita:
tak owa chwila w pomrok wspomnienia się chowa
i zwolna ginie z oczu, jak płyta grobowa.

Rozstali się... Czy patrzą jeszcze kiedy w stronę
swojej dawnej przeszłości? Czy oczy, zaćmione
mimowolnie mgłą żalu, zwracają ku sobie,
żyjąc, jakby na innym każde żyło globie?...

Obcy są sobie do dna...

Raz, w dalekich górach,
gdy się wieczór na ziemię w ciemnych zsuwał
[chmurach,
wieczór górski jesienny, posępny i słotny:
na Anioł Pański dzwon bił. Siedziałem samotny,
patrząc w okno. Tak pusto mi było, jakoby
same mię otoczyły mogiły i groby,
a dusza moja, nakształt oślepłego ptaka,
co, bijąc skrzydłem próżno, nie chce sfrunąć z krzaka,
błąkała mi się w piersi, smutna i samotna
i ciemna, jako noc ta w mrocznych chmurach słotna.
Nagle począł dzwon dźwięczeć... W tej pustce,
[w tym mroku,
na nieskończone lasów i tęsknot otchłanie,
smutny, w przestrzeń płynący dzwon na Zwia-
[stowanie,
jak u nas tam daleko, u gór moich stoku...
I zdało mi się wówczas, że z chmur, jak lilija,
wykwitnie twarz anielska, że się mgła rozwija
i że z mgły, nakształt srebrnej światłości księżyca,
srebrna, cicha i jasna zjawi się Dziewica...
Jam wówczas tylko wierzył... I wówczas, w tej
[zmroczy,
w owej dalekiej stronie, w obczyźnie dalekiej,

w tej samotności grobu, gdym wznosił powieki
i spojrzałem ku niebu — zawilgły mi oczy...
Wezbrało mi się serce... Byłbym ziemię całą
cisnął do mego serca — ono świat kochało,
to puste, głuche serce w ową dziwną chwilę
kochało świat do łez...
Byłem podniesiony
w nieziemskie i nieznane mi dotąd regiony
jakiejś wielkiej miłości, ukojeń wzajemnych,
zapomnień krzywd i żalów i uniesień ziemnych,
byłem, jakby na zmarłych ziemskich żądz
[mogile.
Czułem w wnętrzu mem, w piersi, duch, co się
[kołysze
ponad wszystkiem, co ludzkie, z niczem się nie
[zspala,
jest jako mgła nad rzeką, pod którą grzmi fala,
a ona ma swą wieczną, niezmąconą ciszę...
I rzekły moje usta w ową dziwną chwilę
wielkie, święte i czyste: Ave Maria...

Rozstali się — — i nigdy nie przyjdą ku sobie,
rozeszli się na zawsze, na zawsze rozstali,
żyją, jakby na innym każde żyło globie — —

czas płynie, czas, co z każdym dniem rozdziela
[dalej —
są sobie obcy do dna.
Lecz czyż nigdy ona
nie uczuła nad sercem, jakby wzdłuż jej łona
płynęła ciepła, duża spadła łza deszczowa?
i nigdy nie słyszała w wieczornej godzinie,
kiedy dusza się Bogu, jako kwiat rozwinie,
cichego słów szelestu: bądź zdrowa! bądź zdrowa!
bądź szczęśliwa na wieki! bądź błogosławiona!?...

REFLEKSYA.

Tam, gdy pomyślę, że się spotkać mamy,
wstąpiwszy w wiecznej Tajemnicy bramy,
my, cośmy w krótkiej wspólnej życia chwili
kochali siebie lub nienawidzili:
niczem mi zda się, prochem, wobec niemej
martwoty śmierci, wszystko, co czujemy.

Tam, jeśli spotkam pomiędzy smętnemi
marami—ludzi, których tu na ziemi
nienawidziłem niegdyś, lub kochałem:
czyliż ich sobie umarły przypomnę?
Uczucia owe będąż mi przytomne,
które wstrząsały mem żyjącem ciałem?

Tam chyba spokój jest wieczny... Więc gdy mię
ta myśl ogarnie, kiedy z tym orszakiem

widzę złączonych i siebie i ludzi,
wtłoczonych w chmury umarłych olbrzymie
na wieki wieków: wówczas mi się takiem
niczem wydaje treść duszy człowieczej,
która się życiem oślepia i łudzi,
a której wszędzie i zawsze śmierć przeczy.

Z tą myślą wszystko przebaczyć tu mogę,
a razem żądać win mych niepamięci,
bo Tam, w posępną śmierci idąc drogę,
cielesnym szałom i nędzom odjęci,
czyż nie będziemy, jak głuchy i niemy
mgieł poczet, co się przez górskie pustynie
przesuwa wolno i gdzieś w bezmiar płynie,
jeśli wogóle Tam jeszcze będziemy?...

SONET Z „ANIOŁA ŚMIERCI".

Wszystko więc przeszło, wszystko przeminęło
i nigdy, nigdy, nigdy nie powstanie;
wszystko w grobowe runęło otchłanie,
na wieki wieków, na wieczność runęło...

Milczące, ciche, straszne śmierci dzieło...
Niczemże szczęście? niczemże kochanie?
Niczem ból?!... Niczem!... W głuchym oceanie
ileż okrętów bez śladu zginęło...

Trzy siostry były, trzy siostry, jak Psyche,
przeczyste, jasne, trwożliwe i ciche:
Wiara, Nadzieja, Miłość ich imiona...

Z tych dwie umarły, a trzecia nad niemi
w niemej boleści, z rękoma zwisłemi,
Miłość, stanęła jak słup odrętwiona.

NA KRÓLEWSKIEM JEZIORZE.

Po Królewskiem jeziorze samotny płynąłem.
Łódka, pędzona wiosłem, chyżo naprzód biegła.
Wokół lasów i urwisk pustynia rozległa,
pode mną bezdeń wody, granity nad czołem.

Czarna bezdenna woda, wiatrem kołysana,
dziko szemrze i jęczy. Skalne krzesanice
wpadają w nią i toną, rwąc w odmęt źrenice,
które odtrąca twarda, prostopadła ściana.

Dziwna, ponura czarność tej ogromnej wody,
a ponade mną, w bezmiar wyniesiona szczytem,
góra śniegu, pochmurnym owiana błękitem,
pochylona, olbrzymia — Bogu z nieba schody.

W wązkim skalnym zakręcie łódź wstrzymuję:
[głusza...
Taka cisza, jak gdyby nie było istnienia...
Las, góry, woda, śniegi i bezbrzeż milczenia...
Czy to jezioro? Czy to moja własna dusza?

Jestemż?! Czylim w otchłanie wpłynął własnej
[duszy?!
Jakie góry olbrzymie... Jaki las samotny...
Jaka gra chmur i słońca w wyżynie zawrotnej...
A wszystko w jakiejż wielkiej pogrążone głuszy...

Dusza ludzka, zjawiona w całej pełni swojej!
Nieznana mi, tajemna — — patrzę się w podzi-
[wie...
Jaka ogromna! Jaka bezdenna straszliwie!
Jak w głąb się zlewa... W niebie jak wysoko stoi!

Jestże to dusza moja? ludzka? w ludzkiem ciele?
Tyle załomów, kotlin, szczytów? przestrzeń taka?!
Jestże to dusza ludzka, z tą duszą jednaka,
która się mieści w domu, w rynku i w kościele?!

O nie! Oto zjawisko cudowne, olbrzymie!
Potworne swą wielkością, straszliwe swą siłą!

Tysiąc wieków ją z warstew tysiąca tworzyło!
To dusza ludzka? ludzka? Te turnie w chmur
[dymie?
Ha! Ozwijże się głosem, godnym swojej mocy,
duszo ludzka, ty dumna, ty wielka, ty górna!
Otwarta... słońcu; cicha... jak popiołów urna;
Wielka... jak świat; tajemna... jak las o północy.
Stoję przed tobą, jako przed olbrzymim tumem,
w który lękam się wstąpić — — zginę tam, prze-
[padnę...
Mózg mój wstecz się potoczył, zmysły me bez-
[władne...
Milcz, na Boga! Zabiłabyś słów swoich szumem!

Jeden On z tobą może mówić, słuchać ciebie,
o duszo ludzka w prawdzie i w jawie widziana...
Za wielkaś! Otchłań w tobie, otchłań nieprzejrzana,
mieszcząca wszystko, co jest na ziemi i w niebie.

ZACZAROWANY LAS.

Zaczarowany las — pomiędzy drzewa
Elf biały mignie i w cień się rozwiewa;
oczy potworów z zielonej głębiny
jak karbunkuły świecą i rubiny.
A na wierzchołku rozbujałych drzew
zrywa się, milknie dziwny, ostry śpiew.

W gąszczu pełzają olbrzymie połozy
i szklistą skórą pod słońce migocą;
błękitne węże na srebrzyste brzozy
skrętem się winą i wzrokiem się złocą,
a na wierzchołku rozbujałych drzew
zrywa się, milknie dziwny, ostry śpiew.

Rozpar słoneczny wydobywa z kwiatów
ogień śmiertelnie silnych aromatów,

z zabójczą mocą odurzają głowę
potworne kwiaty sine i ponsowe.
A na wierzchołku rozbujałych drzew
zrywa się, milknie dziwny, ostry śpiew.

Tam dusza moja przed swych oczu męką
szalona smutkiem z wiru życia bieży
i, konwulsyjnie wzrok zakrywszy ręką,
w gorączce, w wizyach, w półobłędzie leży,
aż z rozbujałych obudzi ją drzew
ten dziwny, ostry, jak krzyk orli, śpiew...

ZAPADŁE JEZIORA.

W głębi, w dolinie, pośród skał zacienia,
gdzie nigdy słońca nie dochodzi błysk,
wśród zwiędłej trawy pordzewiałych rżysk
ciemnych się jezior woda ubezdenia.

Nigdy tu skrzydeł wiatr nie rozprzestrzenia,
ni na brzeg fali wysrebrza się bryzg,
lub burza miota wirem wodnych wrzysk —
tu kraj zapadłych jezior i milczenia.

Ciemne, spokojne, bez wypływu rzek,
wśród traw powiędłych leżą wiecznie śpiące;
dzień za dniem mija i za wiekiem wiek.

Na niebo patrzą nigdy nie świecące,
na niestajały nigdy w żlebach śnieg —
i o tym świecie marzą, gdzie jest słońce.

DO SZCZYTU.

Szczycie górski, wysoki, owieńczony chmurą,
do ciebie wznoszę wzrok!
Skuty z ziemią duszącą, ciemną i ponurą,
do ciebie, co królujesz tam ponad naturą,
pod nieba wspięty stok;

do ciebie wznoszę oczy, wygnaniec na ziemi
z wysokich, górskich stron;
ku tobie się oczyma patrzę tęskniącemi —
szczycie! szczycie owiany śniegami białemi,
w obłoków wbity szron!

Tam ku tobie, tam nigdy nie doleci podły,
nikczemny ziemi dech!
Tam wicher ci donosi z lasów zapach jodły
i z upłazów, co turnie zielenią obwiodły,
limbowych zapach wiech.

Szczycie górski! Podnoszę ku tobie źrenice,
podnoszę tęskny wzrok —
daj mi, o! daj mi jedną twoją błyskawicę,
daj mi jeden blask czysty, co przez twe śnieżyce
i mgieł przelata mrok;

daj mi jedną skrę taką, abym w głębię ducha,
w głąb serca wchłonął ją —
daj mi blask!... Ciemność burzą, łuną ku mnie
[bucha,
noc wkoło, noc jak łąka zrdzewiała i sucha,
jak rzeka ścięta krą...

Daj mi blask! aby świecił mi w duszy i płonął,
by grzał ją w noc i chłód;
daj, aby ogień czysty z wyżyn ku mnie wionął,
bo tu, chociażbym morze płomieni pochłonął:
to błędne ognie z błót!...

Światła twojego pragnę, błysku twego proszę,
czystego ognia z gór;
cząstki twej błyskawicy...

. . . .

NA SZCZYCIE.

P. Franciszkowi Kvapilowi.

Wkoło złomy granitów dzikie i olbrzymie,
pode mną gdzieś jeziora, a tam niżej, niżej
świat, życie, nędza ludzka, tłumy nieszczęśliwych
i garstka panów świata — i tych zagrożonych
tysiącem niebezpieczeństw, cierpień, nędz i bólów!
Nad wszystkiem jest cierpienie... O! gdybym z tej
[góry
sięgnąwszy ręką, schwycić mógł kołowrót świata
i bieg mu zmienić, ażby jedna pieśń olbrzymia,
jedna pieśń szczęścia w niebo runęła i gwiazdy
zdumiała, jakby nagle ziemia, czerwonemi
wybuchając ogniami, między nie wybiegła
szalona i podobna do racy puszczonej

między ciche łabędzie na spokojnej wodzie...
O pieśni! pieśni szczęścia! czyż nigdy nie zabrzmisz?
Czy nigdy tryumfalny twój głos się nie wmiesza
do cudownej melodyi wichrów, mórz i lasów?
Czy nigdy oczy ludzkie nie będą, jak kwiaty
uśmiechnięte ku słońcu? Nigdy ludzkie piersi,
jak łąki, co oparem oddychają złotym
o świcie w dzień wiosenny? Nigdy ludzkie myśli
nie będą jak obłoki swobodnie płynące,
zanurzone w topieli błękitu i światła?
I nigdy dusza ludzka nie będzie jak słońce
promienna i gorąca, jednem tylko czuciem
przejęta, aby ciepło rozrzucać i świecić?
Nigdy?... I wieczny, wieczny będzie rozdźwięk [w świecie
między tem, co śni człowiek, i tem, co snem nie [jest?...
Tak! Tysiące już ludzi zło życia wskazało,
tysiące już ból ludzki wykrwawiło w słowach,
nigdy jednak nikt Dobra i Szczęścia nie stworzył.
Cóż, choć nam filozofia i poezya cały
bezmiar, całą głąb złego przed oczy postawi,
pokaże całą nędzę ludzkiego żywota,
całą niemoc człowieczej samoistnej woli,

całą jego zawisłość od Woli Tajemnej,
i wszystkich jego pragnień źródła i maszynę
wszystkich jego postępków, uczynków i myśli
na najdrobniejsze cząstki składowe rozbierze?
Czyż przez to ludzkość będzie szczęśliwszą? zło [mniejszem?...
Są, którzy ukochali ludzkość: czyż nie widzą,
że ta miłość jest niczem?... Najstraszliwsze z uczuć,
najstraszliwsze, najgorsze, najsroższe uczucie
niemocy woli ludzkiej, bezsilności ludzkiej
wobec Woli Tajemnej i Jej głuchej Siły!
Czem jest życie ludzkości? Od tysięcy wieków
patrzeniem wciąż w zwierciadło jedno i to samo
i ciekawem śledzeniem w tem jednem odbiciu
coraz nowych wyrazów bólu i rozpaczy.
O góry! o jeziora, które tutaj widać!
Jak jesteście szczęśliwe wy, co nie możecie
nic czuć, nic myśleć, nic chcieć!... Jesteście bez- [władne
jak my, lecz bezwładności swojej nieświadome:
i to jest szczęście wasze!... O! Cóżbym dał za to,
gdybym mógł, jak wy, nie mieć wiedzy mojej doli!
Wietrzeje granit szczytów, piorun go rozbija,
od lawin głazów zwolna znikają jeziora,

ale nie wiedzą o tem. Tak ziemia się cała
od swoich pierwopłodów, od praepok swoich
rozwija bezświadomie, naprzód ciągle dąży,
bez pamięci, co przeszło, bez troski, co będzie,
nie obarczona gorzkim ciężarem doświadczeń.
A my, bogaci przodków naszych doświadczeniem,
wiemy, że nas nie czeka nic, prócz tego tylko,
co było — i bogactwo to jest straszną nędzą,
jest Strachem, który pęta ramiona Odwadze.
Przed niedolą rozwagi, przed niedolą wiedzy
dwie są tylko ucieczki: szał i wyobraźnia.
Kiedy kobietę, ciało, nazywam aniołem,
gdy dla idei życie poświęcam bez żalu,
kiedy mię twórcza władza w zaświaty uniesie,
w nigdzie nieistniejące idealny światy,
gdy stracę pamięć: wtedy mogę być szczęśliwy.
Lecz jest to abdykacya ducha, który przecież
jest we mnie czemś najwyższym — zaprzeczenie
[Myśli,
najszlachetniejszej cząstce mojego istnienia — —
gdyby wznieść się tak Myślą, ażby ponad wszyst-
[kiem
zawisnąć, niedostępnym niczemu, co ziemskie...
Być czystą myślą... Przebóg! Co za widmo wstało

z czarnej czeluści skalnej?! Okiem jak sztyletem
przebija mnie i krew mi swym uśmiechem ścina,
swym okropnym uśmiechem!... Ktoś ty jest?!...
. . . .
Ironia...
. . . .
Znam cię, o znam cię, widmo! Ty z pierwszym
[promieniem
słońca przychodzisz rano, w południowym dzwo-
[nie
ty dźwięczysz ponade mną, ty o zmroku we mgłach
wieczornych nad mą głową zawisasz w przestwo-
[rze,
ty z nocnych cieniów i z gwiazd wychylasz się ku
[mnie,
znam cię!... Niegdyś alpejski ów samotnik, władca
duchów elementarnych, słyszał ponad sobą
rzuconą klątwę życia za zbrodnię spełnioną,
lecz jakaż moja zbrodnia? Jedna chyba tylko:
wątpienie... Tak zaiste, pierwszym fundamentem,
pierwszą podstawą dzieła: wiara w jego koniec.
Tylko kto ślepo wierzy, potrafi iść naprzód,
zwycięży, albo padnie, ale z raną w piersiach,
jak rycerz... Żyć, to tworzyć, a tworzyć, to wierzyć...

Nie wierzyć, wątpić: lepiej znicestwieć i prze-
[paść!...

. . . .

Płynę cichy i świetlany
przez przestrzenie nieskończone,
przez wieczności oceany
w nadświatową płynę dal;
w gwiazd otchłanie, w mgieł oponę
patrzę jasnym, świetnym wzrokiem,
widzę światła, co potokiem
w bezmiar rwą się z pramgły fal...

Przy mnie ziemie się rodziły
ze słońc swoich pryskające;
widzę ciche ich mogiły,
jak szybują ścięte w lód
i padają znów na słońce:
giną, aby wstać z kolei,
wstają, aby w lat zawiei
zginąć, jak powstały wprzód...
Wieczny ruch, przemianę bytu,
wieczną śmierć i życie wieczne
widzę, płynąc wskroś błękitu
przez bezdenie pustych sfer;

bryły toczą się słoneczne,
grzmiąc i hucząc na przestworza,
szumią lotnych mgławic morza,
brzmią miliardy świetlnych skier...

W ponadziemskich gędźb tych toni
płynę cichy, niewidzialny,
u stóp moich czas się kłoni
i z gwiazd gwiazdy tworzą się...
Gdzie wszechmocny, tryumfalny
ruch istnienia koło toczy:
w sfer głębinie mknąc przezroczej,
cicho, słodko, bosko śnię...

. . . .

O dziwny głosie, jak gdyby w mej duszy
słyszany własnej, a razem w przestworze
płynący kędyś... Dziwny, słodki śpiewie!
Świetlana struno przestrzennego światła!
Brzmisz tak nade mną, jednak mi się zdaje,
jakobyś wespół brzmiał w mej własnej duszy...
Dusza człowieka! Czyli nie jest ona
częścią wszechduszy świata oderwaną
i w część zamkniętą wszechmateryi świata?

Lecz czemuż, czemuż, ah! czemuż tak bardzo,
tak strasznie więzom materyi podległą?!...
. . . .
Ciszy! Przestrzeni! Światło! o ty święta
ojczyzno ducha! Wszystkiemu odjęty
w was on jest taki, jak wy, czysty, święty!
W was, kiedy skrzydła związane rozpęta,
tęcze z nich biją i płomienne łuny,
usta są jego, jak wichrowe struny,
oczy, jak gwiazdy, serce, jak kwiat z pola,
ramiona jego są jak pioruny,
jak oceanu przypływ — jego wola!
Wtenczas on stwarza Piękno, Dobro świata,
zło, wstręt, brzydotę skrzydłem jak pył zmiata,
leci, jak anioł pokoju po ziemi,
jak anioł szczęścia ku ludzkości zlata,
rany jej koi ustami własnemi,
własnego serca darzy ją pokojem,
krew jej oczyszcza własnej krwi swej zdrojem,
jest dla niej chlebem i różdżką oliwy...
I gdyby przez swą boleść i męczeństwo
mógł wieczne kupić jej błogosławieństwo,
wieczną szczęśliwość: umarłby szczęśliwy...
Lecz owa klątwa, co się ciałem zowie,

to pęto ducha, to upokorzenie,
budzi go ze snów, jak orła, co ranny
śnił, że ma słońca purpurę na głowie,
pod skrzydłem wichry, pod piersią bezdenie,
i gdzieś w błotnistym ocknął się parowie...
Napróżno! Niema mocy zwyciężenia,
niema zwycięstwa nad życia przemocą...
O wieczny ducha ból! ból nieustanny!
Napróżno!... Skrzydła, co się tu szamocą,
do piersi łańcuch ziemski opierścienia.
Ciszy! Przestrzeni! Światło! O ty święta
trójco mej duszy! Do ciebie ramiona
wznoszę bolesne... Otom jak w pustyni:
wiatr na pierś piasku mi rzuca brzemiona,
nogi me tuman rozżarzony pęta,
strach w kość mi wchodzi, w oczach noc się czyni...
Co jest przed światem? Co jest przed człowiekiem?
Co jest przed duchem?... Milczenie!... Milczenie!...
W uszach mych huczy rwący wiek za wiekiem...
Pędzą... Przelata cała ludzka fala,
przelata całe odwieczne Istnienie...
Jak się lawina głazów w przepaść zwala
z skalnego zrębu: tak wieki się toczą
z hukiem i grzmotem i giną w Bezdeni — —

a ponad ziemią niebo lśni przezroczo
i słońce wiecznie jasno się płomieni...
Słowa, oh, słowa!... Słowa rozwiązania
zagadki bytu, cierpień tajemnicy!
Pociechy w chwili szału i konania!...
Chryste! Na górę wchodzisz mi olbrzymią!
Pod nią się morza kotłują i dymią,
wąż ją opasał światła błyskawicy...
Chryste! Dlaczego masz tę twarz straszliwą?
Włosy jak z miedzi? oczy jak ze grzmotów?
Dlaczego ręką wstrząsasz jak lew grzywą?
Dlaczego usta twe pełne milczenia
gorszego, niźli pożarnych łoskotów?
Dlaczego milczysz? Na górze z płomienia
dlaczego milczysz?!... Chryste! Chryste! Chryste!
Przez męki świata i bóle wieczyste,
przemów!... Posągu olbrzymi na stropie!
Straszna Światłości w błyskawic potopie!
Straszna Białości na nieba błękitach!
Straszliwa Głuszo wśród jęków i zgrzytów!
Straszliwa Góro na chmurach i szczytach!
Straszna Kolumno wśród wieków i bytów!...
Chryste! Patrz! Niezmiar, ogrom Twej Miłości
jest czemś nadludzkiem tak i niepojętem,

że co być miało żywotem ludzkości,
staje się trwogą, otchłanią i wstrętem...
Nie mogąc zdążyć za Tobą, upada!
Z pod nieba w piekieł upada płomienie,
a Ty jej nikniesz i odchodzisz z oczu,
i gdzieś w błękitnem, dalekiem przezroczu
postać się Twoja ukazuje blada
i niedościgła rośnie w Przerażenie...
Chryste!...

. . . .

O! Matko! Naturo! Wszechwierna,
wszędy obecna, wszechmocna, niezmierna,
Naturo, Matko, co szumiącem drzewem
duszę unosisz z błękitów powiewem;
co rzeczną falą niesiesz ją w bezdenie
za rubież ziemi i za gwiazd świecenie;
co wierchem górskim dźwigasz ją w bezmiary,
skąd widać obrót kołowrotu świata;
której szum głuchy podziemnej pieczary
woła w praczasie przeminione lata
i zmartwychwstawać im przed oczy każe;
Naturo! Matko! co Bogu ołtarze
stawiasz na górach, pustyniach i morzach,
kurzem wulkanów śląc kadzidła mszalne,

grzmotami Boga sławiąc na przestworzach:
do ciebie ręce wyciągam błagalne!
Naturo! Matko! Oto w twojem łonie
wszechwiernem istność niech moja zatonie;
w twojej potędze, pod twoim ogromem,
niech się ma dusza uczuje atomem,
cząstką tych szumów, które w drzewach szumią,
cząstką tej fali, która w rzece płynie,
cząstką tych głosów, co się w grotach tłumią,
cząstką gry słońca na górskiej dolinie...
Naturo! Matko! Tak pragnę dla ducha
tej świętej chwili, gdy czysty i szczytny
jak orzeł, co się wzniesie w sklep błękitny,
gdy pod nim huczy burzy zawierucha:
wydarty burzom, w które krew go ciska,
wzniesie się w czystej myśli uroczyska,
na Cisz zawrotnych wwiedziony krawędzie,
tylko twą piękność czuć i widzieć będzie,
tylko pięknością twoją żyć się zgodzi,
podobny dumnej i spokojnej łodzi,
co przewalczywszy wiry i orkany,
żaglem na toni błyszczy zwierciadlanej.
Wówczas niech biali przyjdą aniołowie
rozmawiać z duszą; wówczas im odpowie

nie jękiem bólu, nie klątwą, nie krzykiem,
ale odpowie im cichym spokojem
wód, co się w lesie kołyszą, językiem,
mową drzew górskich pod mgławic zawojem.
Chcę lecieć wolny, jak światło w błękicie,
chcę duszę rozbić na bezkresną przestrzeń,
chcę być jak cisza na łąk pierwobycie...
O duszo! Wzbij się! Skrzydła twe rozprzestrzeń!
Wzbijaj się! Wyżej!... Pękajcie więzadła
ramion i skrzydeł! Lecz wpierw tam, z zenitu,
raz, jak Bóg spojrzyj na otchłanie bytu,
a jeśli runiesz, toś z pod nieba spadła!...

W MILCZENIU.

P. Adolfowi Czerny'emu.

I.

Milczenie, szafirowe niebiosów Milczenie,
rozrzucone na lotnych mgieł błękitny zwiew,
rozpłynione falami w szumie górskich drzew,
roztopione złociście na halne zielenie:

Milczenie! Twoje ciche i ogromne tchnienie
zawisa ponad duszą, jak palmowy krzew
nad skronią podróżnego... Cichy, słodki wiew
opływa w krąg i w duszę sączy ukojenie.

Dusza ludzka goryczy pełna, pełna krwi,
ten ptak od skrzydeł swoich odstrzelony gromem,
dla której śmierć jest trwogą, z której życie drwi:

Pod twoim szafirowym, Milczenie, ogromem
jest jak dziecko z rodzinnych odepchnięte drzwi,
które tęskni za swoim utraconym domem.

II.

Bo mi się tak wydaje, jakbym tam w przedczasie
wisiał kędyś w przestrzeni nad wierchami gór
i bujał się, chwytając mgieł złocisty sznur,
albo się gdzieś w różowym krył zachodu pasie.

I za jakążto karę wziąłem ciało na się?
Jakiżto gwałt piekielny w dół mnie strącił z chmur?
Dusza-ż moja nie była jedną z dzikich cór
przestrzeni, szalejących w światła świetnej krasie?

Nie byłaż mi mgła siostrą i wichr jako brat?
Nie bawiłżem się nigdy z szumem wielkich szczy-
[tów,
aniżem za błyskawic chwytał skrzący bat?

A dziś, siedząc u progu tatrzańskich granitów,
tych nigdy niepowrotnych już żałuję strat,
tych wiecznie przeminionych przedżywota mytów..

III.

I czyż nigdy nie wrócę? Czyż to, co się zowie
życiem, ma być mi wszystkiem? Czyliżbym już miał
nigdy — przeżywszy chory, nędzny żywot ciał—
nie powstać na pierwotne, wieczne ducha zdrowie?

Czyż duch mój nie jest w przemian wieczystych
[okowie?
Gdy się ciało rozłoży na pierwiastków miał,
czyż niegodne, by duch mój w nowym kształcie
[wstał
jasny, jak rozpętani błędni aniołowie?

Czyż nigdy nie powrócę bujać tak, jak wprzód,
Na niezmierzonej fali sennego Milczenia,
jak jeleń ze zwierzyńca wypuszczony wrót?

Na nowe, nowe życie! Na szerokie tchnienia!
na wyżynę, skąd świat się wydaje jak cud!
Na bezkres!... Czyż śmierć nie jest progiem od-
[rodzenia?

IV.

O Boże! Wszakże indziej kędyś jest stworzony
na niedostępnych głębiach jakiś inny świat,
świat prawdy, dobra, ciszy, bez win i bez spłat,
bez krzywd i bez pamięci o krzywdzie zrządzonej!

O Boże! Wszakże jakieś są w przestrzeni strony,
gdzie Widzenie przed duszą nie stoi jak kat
z rozpaloną obcęgą; gdzie za czynem w ślad
nie bieży myśl, podobna do siostry strapionej...

O Boże! Wszakże kędyś nie cierpi się wciąż
nad traconą z dniem każdym duszy anielskością,
nie syczy tam ironii własnej straszny wąż...

O Boże! Wszakże kędyś żyje się światłością...
O duszo! Na mistyczne twoje Łąki dąż
i olbrzymią Milczenia owij się cichością...

V.

Sferyczne duchy lotu! Na moje przymknione
powieki kładźcie ręce, sączcie balsam z rąk...
Pójdźmy na złotą zieleń balsamicznych Łąk,
na Łąk pachnących idźmy zieloną rozponę...

Precz ciała ludzkie, chore, nędzą pochylone!
Precz dusze ludzkie, krwawych niewolnice mąk!
Precz poznanie! Precz wiedza! Precz szatański ciąg
myśli, co w bezdeń z urwisk patrzą się szalone!

Precz myśli, które patrzą z urwisk w bezdeń zła
własnej duszy i cudzych dusz aż do zawrotu!
Precz ta myśl, co nad życiem zawodzi i łka!

Precz bólu, wstręcie, żalu! Śrubo kołowrotu,
na którym dusza ludzka krwawiąca się drga —
na zieleń Łąk mię wiedźcie, jasne duchy lotu...

W WYOBRAŹNI.

Kraj jakiś, we śnie gdzieś pierwej widziany —
wał gór, błękitu sięgający prawie,
zielony, cichy, słońcem wyzłacany,
morze opodal i łąki przestrone — —
krajobraz dziwny, jasny, a tak cudny,
że moje serce, wizyą zachwycone,
całe weń weszło. Świat ten był bezludny:
jednego głosu, ni szmeru nie słyszę — —
słońce tu tylko jedno w to zacisze
tajemne schodzi. Wtem z górskiej kotliny
dwie ku mnie wyszły powoli dziewczyny:
siostry — — Eliana z Arikarną. Nie wiem,
skąd te imiona znam...
Zda się, że kołysze
wiatr wiotką kibić i smukłe ramiona

białej Eliany o włosach złocistych,
błękitnych oczach i owalnej twarzy,
jaką się w Psyche idealnej marzy,
jaką Praksytel dał najczystszej z czystych.
Ciemne szafiry Arikarny oczu
iskry się zdają sypać po przezroczu,
wśród kruczych włosów twarz jej przypomina
łowów boginię, Dyanę zuchwałą.
Szły — — ja patrzałem, oparty pod skałą.
Ramię pod ramię szły — — dziwne widzenie...
Kwiaty we włosach miały i odzienie
z lekkiej osłony, dwie koszule białe
jak Antygona, czy Lilla Weneda.
Opisać się to ni powiedzieć nie da,
jaki był urok i jaki nieziemny
czar w tych dwóch siostrach, w tej parze tajemnej,
która z innego skądś przychodzi świata,
skądś z między duchów do mnie, do człowieka,
i patrzy na mnie tak, jakby na brata...
Rzekły: Pozdrowion bądź...
Czym znał was kiedy?
Czy w przedczasu fali
niegdyśmy siostrą i bratem się zwali?
Skąd wiem imiona wasze?

Czemu, choć się nie tłomaczy
imię mi wasze, jakby mi nie było
obcem i ciemnem? Czyśmy niegdyś może
w jakimś zaziemskim, świetlanym przestworze
krążyli razem? Albo tu na ziemi
stopami ziemski świat niewidzialnemi
zbiegli, przez łąki, przez góry, przez morze?
Czy kraj, skąd idziecie,
to jest i mój dom i moja ojczyzna?
Bo mi się zdaje, że łąki i góry
i wody niegdyś wydały mię z siebie,
i że syn, dziecko pierwotnej natury,
żyję człowiekiem — — po ducha pogrzebie...
O biała Eliano!
O Arikarno! Wy ze słonecznemi
blaskami w oczach, z ciałami z promieni,
duchy idące z Światła i z Przestrzeni,
czy wyście były siostrami mojemi?
Zjawiska ciszy!
Oto ta Łąka wśród skalnych zaciszy,
jest jakby duszą moją odrodzoną;
te łuny słońca, co nad skały błyska,
one w mej duszy także lśnią i płoną.
O siostry moje! O biała Eliano,

o Arikarno! Wszak jestem wam bratem,
duszą z ojczyzny pierwotnej wygnaną,
czemś obcem tutaj...
Rzekły: Pozdrowion bądź...
Ich głos tak dźwięczy,
jak na wysokiej tatrzańskiej przełęczy
śpiewa w obłoku mistyczny blask tęczy...
Potem milczenie
zawisło ciche, jak w lipcowe rano
po rozpłynieniu kościelnego dzwonka,
co na mszę woła na wsi.
O Eliano!
O Arikarno! Słoneczne widzenie
siostr duszy mojej! Patrzcie, oto blada
na piersiach waszych skronie swoje składa — —
patrzcie! jak wyście jasne, a jak ciemna
jest ona...
Złem jest i cierpieniem życie.

Patrzcie tam na wschód słońca... Czy widzicie?...
Oto na krzyżu wisi trup przybity,
a nad nim krąży krzyk, wskroś nieba wryty:
Boże mój! Boże mój! Czemuś mnie opuścił...

Napróżno patrzę na wasze oblicze,
trudno chcę olśnić się pięknością waszą — —
jestem człowiekiem i wraz z całym światem
z mojego krzyża wskroś niebiosów krzyczę:
Boże mój! Boże mój! Czemuś mnie opuścił...

A piękność waszą łzy mi w oczach gaszą...

Duchy o dziwnych, nieznanych nazwiskach,
wy niepojęte, nie wiem już, czy kędyś
w pustce zrodzone, w srebrnych wodotryskach,
czy w mojej własnej, ludzkiej, ciemnej duszy:
po coście przyszły? Aby mgnienie oka
dusza gdzieś poszła nad wierchy i burze,
gdzieś, gdzie się z mgławic, z niezmiernie wysoka,
patrzy — — i pada?...
Wyciągają ręce...
Gdzieżto pójdziemy?
Wszak jestem człowiek, a tam wskroś błękitu,
jak kruk ogromny o kirowem piórze,
krąży krzyk ludzki, wyszarpnięty z krzyża:
Boże mój! Boże mój! Czemuś mnie opuścił?...
Gdzieżto pójdziemy? Na wyspę szczęśliwą?
Nie wierzę w szczęście...

Myśl i uczucie, to, co zwie się duszą,
jak deszcz i słońce muszą rodzić zboże,
tak one boleść życia rodzić muszą.
Żaden duch-człowiek szczęścia znać nie może...

Szarpcie ogniwo
mego łańcucha dziwne, jasne Władze!
A ja się będę śmiał. Patrzcie, przede mną
jedyny Bóg mój stoi, z twarzą ciemną — —
Bóg to nieświęty — — Ironią się zwie...

Przed jego cichym, spokojnym ołtarzem,
wraz z światem całym ja krwią moją kadzę,
sercami komunikujemy się...

On jest Wszechstwórcą Rzeczy i Grabarzem.

Ale o duchy świetlane, za ręce
weźcie mą duszę i kędyś w pustynie
wiedźcie, gdzie żadna istność się nie tarza,
jak płaz przecięty, w boleści i męce;
gdzie niema Boga — ale i ołtarza,
gdzie nic nie wstaje — lecz i nic nie ginie,
gdzie jest Milczenie Wieczne, Ciche, Wielkie,

gdzie jest spokojnie...
Łąko Mistyczna,
gdzie między zioła i rośliny polne
i lilie, srebrnym świecące się puchem,
czyste i białe chodzą dusze wolne,
czujące rozkosz najwyższą: być duchem;
Łąko Mistyczna
przeświętej trójcy: Ciszy i Przestrzeni
i Światła! Łąko! Na wspaniałość twoją
oczyma duszy mojej obrócony,
widzę raj bytu!... Tam się już nie roją
nędze, choroby, klęski i cierpienia —
tam cielesnego niema już istnienia,
tam jest spokojnie...

Wierzę w byt przyszły! W nieśmiertelność duszy!
Zło życia we mnie obudza tę wiarę — —
musi być inny byt!...

Gdzieś przez mgły szare
leci się w inny świat... Blask Światła prószy
przez mgły, jak złoty szron... Tam baśń, legenda!...
Ludzie wzniesieni nad Gehennę ciała,
nad swe Golgoty i nad swe Ogrójce,

patrzą się w trójcę
Ciszy, Przestrzeni, Światła, co w nich pała...
To, co jest w duszy najwyższe, najczystsze,
wyższe nad wszelką myśl i nad pojęcie,
czasami tylko duszy dostrzegalne
w przepastnych wyżniach, jak motyle skalne,
ma Wniebowzięcie...

Jestto wrócenie w niebo tryumfalne...

O Arikarno! O Eliano biała!
Niegdyś mi czysta Psyche ukazała
rąb tego świata — wy siostry mej duszy,
wy tajemnicze, przedziwne zjawiska,
jako na chmurze w przestworzu rzucone
fata morgana;
jaw mi dajecie tego Uroczyska...
Bezpętna Wolność, wszechmierna, wszechwspólna,
wieczna swoboda lotu, spokój wieczny,
wieczysta tęcza blasku dookolna,
wieczysta jasność jasności słonecznej,
wszystkie zjawiska, cudy wszechstworzenia,
wszystka potęga i piękność wszechbytu,
wszechczarnoksięstwa i wszechobjawienia:
wszystko jest źródłem wiecznego zachwytu!

Śpiewają puszcze i gwiazdy w przestworze,
błyszczą jeziora i komet tysiące,
na polach młode rozwija się zboże,
a z mgławic nowe stwarzają się światy — —
wszędzie ruch, życie nigdy nie więdnące,
sferyczne ciała, pachnące jak kwiaty,
jedna woń, barwa, dźwięk i kształt cudowny!
Życia i śmierci niema... Wolne dusze
krążą w bezmiarze upojone cudem —
wieczna przemiana jest ich wiecznem życiem.
Materya, istność rzeczywista cała,
cała się światłem i muzyką stała,
ułudą kształtu, krążącą w przestworze — —
nic więc nie cierpi... Błąd świata olbrzymi:
byt materyalny: zniknął — być więc może
szczęście...
Mistyczna łąka się przetwarza
w bezkresną przestrzeń. Duchami wolnymi
pełni się ona... Teraz spać mi dajcie!
Dotknąłem ręką złotego ołtarza —
iluzyi bytu...

Nikną duchy białe,
te, co mi w swojem cichem pozdrowieniu

światy nadzmysłów objawiły całe...
Bądźcie mi zdrowe!... Nikną... Już przepadły...
W przestwór gdzieś weszły — tylko w oddaleniu
jeszcze mi jakby uśmiech już ich zbladły
błysnął na chwilę...
O Eliano biała,
o Arikarno, siostry mojej duszy:
bądźcie mi zdrowe!... Chcę wierzyć, że kiedyś
będę znów z wami, jak brat; że śmierć kruszy
niewoli pęto
na ducha wielkie, wieczne, górne Święto...

JESTEŚ... LECZ KĘDY?

Jesteś... lecz kędy?... Nieraz mi się zdało,
żem cię za rękę brał, żem znalazł cię;
to było tylko snem, lecz ja w tym śnie
topiłem serce, duszę moją całą.

I szedłem dalej znów, znów twoją białą
ścigając marę, co, podobna mgle,
wstaje i niknie — — i budziłem się
ze snu, by znowu śnić, żeś wzięła ciało.

Tak schodził czas. Wiecznieś przede mną szła,
lecz nigdy ty — — twa tylko mara złota,
tylko wstająca i niknąca mgła.

Tak zejdzie czas. I nigdy za żywota
mej dłoni ręka nie uściśnie twa — —
jesteś — — lecz gdzie?... Tu tylko jest tęsknota.

GWIAZDY.

I.

Syryuszu! Gwiazdy! Przed wieków milionem,
gdy ziemia była wiosenną i młodą
i lśniła wiecznie kwitnącą pogodą
pod niebem, wiecznie w bezmiar rozzłoconem:

czy nie błądziły w uroczysku onem,
nad oceanów nieprzejrzaną wodą,
wówczas sny, cienie z aniołów urodą,
będące ciszą i światłem wcielonem?

Mówcie! Czy jasne te, pradawne cienie,
oceanową zadumane głuszą,
po wirze przemian, co się nieskończenie

rodzą ze siebie i okwitłe głuszą:
nie są w nas, własne straciwszy istnienie,
błękitem nieba zadumaną duszą?...

II.

I oto pyłem w ten bezmiar rzuceni,
patrzymy w górę — wieczny symbol wzroku —
mijając szybko, jak fale w potoku,
który trwa wiecznie wśród jednych kamieni.

Każdy z nas, w ziemskiej zamknięty przestrzeni,
symbolem tylko jest w bezkresnym toku
ludzkiego życia; giniemy z widoku
bez śladu, nakształt bezistotnych cieni.

Wy tylko, gwiazdy, wy tylko zliczycie
te warstwy bytów, co przez lat otchłanie
trwały i nikły, aby nam dać życie —

i nas znów w wiecznej poznacie przemianie,
bo jeden tylko jest gorzki cel w bycie:
ażeby miał swe wiekuiste trwanie.

III.

Syryuszu! Cudzie gwiazd! Gdy patrzę w ciebie,
w twój wieczny spokój, w tę ciszę nadbytu,
w niezmierną oddal twojego błękitu,
w twe wiekuiste istnienie na niebie:

dusza się moja smutna wraca w siebie,
i ból się rodzi z mojego zachwytu —
i dusza, pełna bolesnego zgrzytu,
opada z nieba i w prochu się grzebie.

Twe cudne światło, zimne jak blask stali,
niezmienne, jasne, głuche, świeci w górze
twarde, jak dyament... Niech się świat zawali,

wasze, o gwiazdy, nie zadrgną podróże —
jesteśmy łódką na szalonej fali,
bo niema żadnej miłości w naturze.

NA WIOSNĘ.

Niegdyś, kiedy się wiosna zalśniła w przezroczu,
marzyły mi się bóstwa żywiołów ocknięte,
lasów bogi szumiące i przejasne, święte
nimfy, rodzące kwiaty spojrzeniem swych oczu,

Zdało mi się, że stojąc kędyś na uboczu,
jak malarz z poza wiklin w wodzie rozpierzchnięte
podpatruje dziewczyny, ich nagą ponętę,
błękit ciała wśród fali i rosę w warkoczu:

tak ja patrzę na nagie młode bóstwa wiosny,
utrwalając ich obraz cudowny we wzroku,
ich promienną urodę i pląs ich miłosny.

Już wiosna schodzi jasna z białego obłoku,
lecz moja — przeszła — i dziś na ową świetlistą
patrząc, widzę ironię bytu wiekuistą...

KRÓLEWNY.

Nad jurajskiemi góry, na błękitnym pasie,
Zawisa kłęb obłoków biały, lekki, zwiewny;
z Rodanu wiatr powstaje łabędzi i śpiewny
i, jak ręka kobieca po lśniącym atłasie,

suwa się po błyszczących błoniach łąk i, zda się,
leci w jakiś bajeczny kraj, w którym królewny
we młynach mieląc, nucą, a inne w pastewny
poszły ogród — tam stado spokojnie się pasie.

W takito dzień Nauzyka, królewska dziewczyna,
uśmiechnięta jechała prać płótno nad rzeką,
a potem je do słońca jasnego wysusza;

w takito dzień, czy sobie przedświat przypomina
czy zaświatów przeczucie zamglone ma dusza — —
jest jakiś kraj bajeczny... daleko... daleko...

BAJECZNY KRAJ.

Jest jakiś kraj bajeczny, jakieś ciche święto,
jakieś niedzielne rano słoneczne, świetlane,
kiedy po pustych polach, w złote mgły odziane,
włóczą się Słonecznice z piersią odsłoniętą.

Widzisz je? Idą polem twem, pachnącem miętą,
pachnącem młodą trawą, wysmukłe, rumiane —
idą jasne Kwietnice, Śpiewnice źródlane,
idą — przez grabie w trawę rzucone pożętą.

Idą przez młody owies, a za niemi bogi
wierzbowych łóz złośliwe snują się i psotne,
a kędyś po cmentarzach chodzą Osmętnice

i na grób młodych dziewcząt siadają samotne —
a mnie się obróciły tam, ku nam, źrenice,
tam, ku naszym zagonom, na nasze rozłogi...

TĘSKNICA.

Widzisz? Idą dziewczyny w to majowe rano
z kościoła, w krasnych chustkach, w koralów czer-
[wieni;
idą, włos się im, płowy jak len, w słońcu mieni,
i cieszą słońce twarzą jasną i rumianą

Idą długim szeregiem przez miedzę żytnianą:
wszystko się wkoło złoci, świeci i promieni;
jaskółki zawisają na nieba przestrzeni
i obryzgują piersi białą rzeczną pianą.

Tam, u nas, tak w niedzielę, w majowy poranek
idą dziewki z kościoła, z kwiatów wianki plotą
ze stokrotek barwistych, z polnych macierzanek —

zda się, Bóg w jasnem niebie twarz pokaże złotą;
i taka mi się marzy polska okolica,
i na sercu mi kładzie ciężką dłoń Tęsknica...

KOLUMNY SAMSONA.

25. I stało się, gdy byli dobrej myśli, że rzekli: Zawołajcie Samsona, aby błaznował przed nami.

Księga Sędziów.

Przyprowadzono go popod kolumny,
aby błaznował.
Lud zgarnął się tłumny,
a wielka radość była weń rzucona,
bowiem Pan podał im w ręce Samsona
i we więziennym domu go zamknięto;
więc wielkie było w Filistynach święto
i wielkich ofiar bił dym dla Dagona.

Wyprowadzono go z domu więzienia,
aby błaznował i poił weselem

tych, których kruszył grzmot jego imienia
i co na odgrom jego kroków drżeli,
a którzy teraz, spokojni i śmieli,
mogli się pastwić nad nieprzyjacielem...
Był ślepy, siły pozbawiony, w pętach...
Ów straszny Samson, który, o sromoto!
sam tysiąc mężów zabił kością: oto
trwogi nie budzi nawet w pacholętach,
i nędzne chłopię prowadzi olbrzyma
z wyłupionemi, krwawemi oczyma.

Samsonie! błaznuj! Błaznuj nam, Samsonie! —
woła lud gwarny, jak fale ryczące,
a co przedniejszych z ludu trzy tysiące
siadło wśród niewiast na płaszczyźnie pował,
by patrzeć z dachu, jak będzie błaznował.
Tłum szalal śmiechem — ten mocny, ten krwawy,
ten wróg szyderca, skrępowany w liny,
jest dziś zabawą, skacze dla zabawy,
trzymany ręką nieletniej dzieciny!
I można plwać nań i w oślepłe oczy
miotać mu piasek, aż je krew ubroczy,
i można rzucać mu na zgiętą głowę
klątwy i gorsze klątew urąganie:

Samsonie! Wzywaj strasznego Jehowę!
Niech zejdzie z niebios i przed tobą stanie!
On wszakże wywiódł z Egiptu Mojżesza
i Jozuemu przygwoździł krąg słońca,
i morze rozdarł od końca do końca —
niech cię wybawi!...
Urąga mu rzesza,
a on, pośrodku stojąc, czuł, jak wzbiera
w nim tak nienawiść, iż brzmieją mu żyły
i dech się w piersiach rozdętych zapiera,
i wszystka krew w nim i wszystkie w nim siły
i wszystka myśl w nim i czucie i ciało:
wszystko się jedną nienawiścią stało!...
Ha, tłum piekielny!... Ha! Jak tego wroga
on nienawidzi!... To padalcze plemię,
którego wałem raz zawalił ziemię,
zdradą go wzięło, szydzi zeń i z Boga!...
I tak się modlił w duchu: Panie Boże!
przez oto wszystko, co tutaj ponoszę,
przez hańbę moją, bicz i te obroże:
ten raz mię tylko jeden wzmocnij, proszę,
abym za moje wyłupione oczy
i wieczną mękę w ciemnościach ponurych
i wieczną śmierć mą: zmiażdżył ten łeb smoczy!...

I kazał wieść się pod słupy, na których
był dach stawiony, i oparł się o nie,
a lud wył nad nim: Błaznuj nam, Samsonie!...
I oto uczuł pod słupami temi,
jak łaska Pańska zstępuje nań z góry,
bo mu się ugiął pod stopą bok ziemi
i głaz zadźwięczał, gdy wstąpił pod mury.
I rozparł ramię na lewo i prawo,
jak krzyż, a krew mu biła w piersiach lawą.
Rozprężył ręce — o rozkosz! z kamienia
wypełzł strach blady i zadrgał mu w rękach!
O Boże! Zda się, światło przepromienia
wydarte oczy! O Panie w niebiosach!
Dzięki Ci, dzięki! Bo oto we włosach
ogień, żar żywy krąży; w włosów pękach
sto gromów biega...
Sto śmierci daj, Panie,
daj lęk okropny i wolne skonanie,
daj taką boleść i takie męczarnie,
których myśl ludzka cała nie ogarnie,
których przeczuciem krew się w żyłach ścina,
lecz daj w tej śmierci śmierć dla Filistyna!
Panie! Daj w łasce Swojej, niech się ziści
ogrom Twych sądów i tej nienawiści...

I jako niegdyś, hen, w gazejskiej bramie:
wciągnął w pierś wicher i wyprężył ramię...
Zgięły się słupy — a potem odrazu
pękły, upadły, i lawina głazu
runęła z trzaskiem... Ziemia wskróś zadrżała,
walą się mury, krzyk grozy w motłochu,
wyjąc, spadają z dachu krwawe ciała —
huk, łomot, piekło...
Wzdęta chmura prochu
zakryła słońce...
Rozpierzchnięta tłuszcza
patrzy z daleka, zgrozą oniemiała,
jako bawolic stado, gdy z bawołem
lew się w kurz zarył, padłszy z nim pospołem.
Czarny kłąb prochu wzroku nie przepuszcza —
wreszcie przejrzeli... O piekielne dzieło!
Pośród strzaskanych, krwią oblanych słupów:
strasznych, zmiażdżonych trzy tysiące trupów!
Ciał trzy tysiące!... Już nie słychać jęków,
pod hurmą gruzów wszystko już zginęło —
milczenie śmierci, straszniejsze od szczęków
wojennej wrzawy i topielców wycia,
weszło na zwały...
A on tam, bez życia,

ostatkiem swojej zgruchotanej twarzy
niebu się śmieje, błogosławi Pana!
Och! Najstraszliwszy z śmiertelnych grabarzy,
straszny jak pomór!... Zemsta dokonana...
Samsonie! Zemsty dokonane dzieło!
Niech wielbi Boga twa krew, co się niebu
z śród gruzów jeszcze dymi jak ofiara.
O, dym dziękczynny! Takiego pogrzebu
nikt jeszcze nie miał — ani taka kara
była słyszaną...

W BOCIANIEM GNIEŹDZIE.

Hej! Na pokładzie tańczą tam!
Muzyka grzmi wesoło!
Z hufcem młodzieńców orszak dam
piękne upletli koło.

Hej! Na pokładzie tańczą tam,
aż śruby masztów dźwięczą —
wiąże się urok wiotkich dam
z zręcznością w rytm młodzieńczą.

Na głowie wieńce z wonnych róż,
tuniki złotem tkane,
amfory w rękach — szydzi z burz
to koło rozigrane.

Pod pokład nie patrz — siedzą tam
przy wiosłach niewolnicy — —

na Heraklesa! Zdrowie dam!
We fletnie dąć, muzycy!

Tryera pędzi lotem mew
po modrym wód obszarze — —
na Artemidę! Niech brzmi śpiew
i pocą się wioślarze!

Hej, barbarzyńcy!... Patrz, jak trakt
równą się brózdą żłobi —
kto nie porusza wiosłem w takt,
dozorco! grzbiet mu obij!

Formingi dźwięczą, kotły grzmią,
wesołe instrumenty —
tam cicho — wiosła równo rwą
i sieką srebrne męty...

Hej, barbarzyńcy!... Lecz patrz, wznieś
ku żaglom wzrok, ku górze —
tam człowiek się kołysze gdzieś
na zwitym w gniazdo sznurze.

Wśród drabin, rei, żaglów, lin,
z piersią na wichry nagą,

przedmiot podziwu, czasem drwin,
kołysze się pod flagą.

My tańczym — jego orli wzrok
w dal wypatruje lądy;
gdzie rafy grozi straszny smok,
gdzie zgubne warczą prądy.

On jest oczyma nawy tej,
jej czujną wiecznie wartą;
on patrzy w zmrok i ciemne mgły
źrenicą wciąż otwartą.

Pod gwiazdą flagi wisząc tam,
na wichrów zdany wolę,
jest pod tą gwiazdą jeden sam,
a my — tańczymy w dole.

Nie dojdzie go gwar trąb i słów,
ni cała tłumu wrzawa —
wśród orlich się kołysze snów,
a pod nim płynie nawa.

Wtem wiatr się zrywa, pada grzmot,
burza na okręt wali —

z pokładu tanecznicy w lot
w kajutach poznikali.

I tylko wioseł rwany skrzyp
wśród gromów słychać trzasku,
i z morskich, druzgotanych szyb
wylata blask po blasku.

Jak ljanów sploty zrywa słoń,
burza rwie lin wiązanie —
wylata człowiek — spada w toń,
w przepastne wód otchłanie.

To on!... Wiatr milknie, burza wnet
ucisza się: już wiosła
rytmicznie sieką fali grzbiet,
by nawa w dal się niosła,

i na pokładzie tańczą już,
pogodna tak głębina —
a tam, na gniazdo, na łup burz
nowy się majtek wspina.

STATEK ODKRYWCZY.

Po modrem morzu statek płynie,
dziób pruje wodę, śruba warczy;
za sobą ryje lśniącą bruzdę,
jak brylant na stalowej tarczy.

Gdzieś ku nieznanym lądom zmierza,
pod gwiazd nieznanych firmamenty,
płynie ku dziwom, cudom, baśniom — —
a morza szumią mu odmęty.

Dalekiej ciżby na wybrzeżu
zdumione za nim oczy lecą,
a jego dumne białe żagle
jak złoto się pod słońce świecą!

SŁUP ZE SPIŻU.

Wśród huku fal i wód zamieci
gdzieś u wybrzeży morza
ze spiżu stoi wbity słup;
na nim latarnia morska świeci,
a jej szeroka, jasna zorza
rozświetla statkom nocy grób.

O słup ten wściekłe bije morze,
rzuca się nań nawałą,
wyrwać go z głębi swojej chce;
wściekają je te nocne zorze —
tyleby statków pochłaniało,
a słup ten światłem chroni je.

Fale na fale coraz nowe
na słup się rwą i tłoczą,

gwałtem go zwalić chcą i zmóc — —
ze spiżu słup ma dumną głowę!
Lecz jeśli padnie: nad roztoczą
będzie noc jedna, straszna noc.

SZATAN.

Nad oceanu przywiódł brzeg
szatan, zły duch, człowieka,
i rzekł mu: patrz na fale te,
co idą tu zdaleka.

Jedna z śród wszystkich owych fal
płynie pomiędzy niemi;
jeśli na wodzie ujrzysz ją,
posiądziesz raj na ziemi.

Odszedł. Zaś człowiek patrzy w dal,
wytęża żądnie oczy — —
miryady swoich wiecznych fal
pod brzeg ocean toczy.

On patrzy, czeka. Żre go głód,
pali słoneczna spieka,

członki mu łamie ciągły trud,
sen morzy go — — on czeka.

Nadzieja i wątpliwość mu
naprzemian sercem miota,
a wszystką duszę chłonie w nim
pragnienie i tęsknota.

Wtem traci z oczu widok fal —
zapadła noc ponura;
może szła fala szczęścia tam,
lecz nie mógł poznać: która?

I z żalu włosy z głowy rwie,
a szatan drwi zeń: Biedny!
Idź w las jodłowy — igły tam
szukaj — — tej igły jednej...

SATYR.

Prawda? Kiedy nam serce uczucie rozpiera
i z duszy uniesienie namiętne wybucha:
nagle widzim gdzieś z boku szpetną twarz satyra,
który oczy przymruża, patrzy w nas i słucha.

Drwi — a my zawstydzeni milkniem — i przepada
chwila ekstazy duszy, albo szału serca;
z iluż skarbów nas samych i ludzkość okrada
ten wiecznie czuwający nad nami szyderca!

PARODYA ŻYCIA.

Żyjemy często, jako te smutne jelenie,
urodzone i w puszczy wyrosłe za młodu,
które — stworzone wielkie przebiegać przestrze-
[nie —
zamknięto do zwierzyńca, w trzy morgi ogrodu.

Mogą w biegu korzystać z sił swoich zapasu,
mają drzewa i wodę w potoku do picia,
żyją całkiem jak w puszczy — na trzech morgach
[lasu — —
zabija je smutek tej parodyi życia.

GROTA.

Obraz raz namalował malarz ten: w przecięciu
wymalował wśród skały granitowej grotę,
w niej zaś ludziom podobną skrzydlatą istotę,
pod ciasnym skał załomem, w skurczu i przygięciu.

Istota owa, w skalną szczelinę zamknięta,
rękami i nogami, piersiami i głową
parła, ociekła potem, czeluść granitową,
co niewzruszona, twarda i zimna ją pęta.

Szparą, którą w głąb skały ściekają potoki,
sączy się blask słoneczny, jasne światło z góry,
aby ten bój oświetlić dziwny i ponury:
bój męstwa, siły, woli — i martwej opoki.

Uskrzydlonej istocie malarz w bladej twarzy
namalował wysiłku najwyższego piętno
i ból i żądzę lotu wielką i namiętną — —
i świadomość, że skał tych nigdy nie rozważy.

LWY.

W menażeryi lwy były, lwy płowe, ogromne,
grzywy jak wicher miały, oczy jak pioruny,
każdy krok był jak postrach jawiącej się łuny,
a od niewoli były napół nieprzytomne.

Godzinami leżące bez ruchu, snadź biegły
w swe olbrzymie pustynie, nad swe wielkie rzeki,
wspominały swe piaski płomienne od spieki
i widnokrąg błękitu bezmiernie rozległy.

Wspominały te noce, gdy księżyc czerwony,
jak krew, świecił na niebie; gdy powietrze parne
zdało się od błyskawic i gromów ciężarne,
a ich ryki huczały w przestrzeni, jak dzwony.

Wspominały świtania pełne świeżej rosy,
kiedy po nocnych łowach rzucały się w trawę
od walk całe dyszące, rozżarte i krwawe,
i zlizywały wolno z łap swe straszne ciosy.

Co dnia pogromca wchodził do klatki dwa razy
przy grzmocie bębnów, pisku muzyki i brzęku;
obręcz z płonącą smołą i bat trzymał w ręku —
na grzbiet lwów poczynały, jak deszcz, padać razy.

Przez podstawioną obręcz, opalając grzywy,
bite, szalone z bólu, ogłuszone wrzawą,
ciskający iskrami taniec swój straszliwy
przed gawiedzi nikczemną odprawiały ławą...

O lwy!...

PODWODNE WIDMO.

Vogue la galère! Vogue la galère!
Szeroko szumią fale!
Podwodne widmo wzięło ster,
kieruje nim zuchwale;
podwodne widmo, dziwna baśń,
a, mówią, prawda święta —
czy chcecie płynąć w mrok, czy w jaśń,
ono łódź waszą pęta.

Podwodne widmo... Jest-li to
kształt poczwar, czy rusałek?
Ciekawą głową bić o dno
niejeden poszedł śmiałek...
Nigdy śmiertelnych ludzi wzrok
tej władzy wód nie zoczy —

nie wiemy: anioł, czyli smok
pod nami fale toczy?...
Napróżno oko sięgać chce
w głąb wodną, co nas niesie —
płyniemy — fala z fali mknie,
spiętrza się wzwyż i rwie się,
a nasza łódka płynie w dal
przez wielkich wód ciemnotę —
a ma za jedno wiosło żal,
za drugie ma tęsknotę...

Minione brzegi — próżne łzy —
żal serce w piersiach ściska —
wszystko przemija, mknie jak sny,
ledwo ujrzane zblizka...
O łódko! Stań na chwilę choć!
Nas życie nie odżalil...
Podwodne widmo pchnęło łódź,
i płynąć musim dalej...

Gdzieś na Nieznane wiedzie nas...
Tęsknimy, ujrzeć chcemy,
znać chcemy już!... Przemija czas,
przestwór jest zawsze niemy...

Jawią się wyspy, rośnie ląd —
więc to?! więc tu łódź stanie?!...
Podwodne widmo dalej stąd
łódź pchnęło na otchłanie...

Vogue la galère! Vogue la galère!
Więc płyńmy, jak szaleńcy!
Podwodne widmo dzierży ster:
maż zdjąć nas strach jagnięcy?!
Wyżej się, falo, wyżej wzbij!
Spiętrzaj się, wodna toni!
Szalony, dziki wietrze, dmij!
Niech łódź jak orzeł goni!...

Podwodne widmo wiezie nas,
nie możem wstrzymać łodzi:
milczący na nas patrzy Czas:
w łódź siedliśmy tak młodzi...
Podwodne widmo wzięło ster,
próżnośmy sznur szarpali —
vogue la galère! vogue la galère!
Dalej i dalej, dalej...

Aż zobaczymy kędyś brzeg,
ląd pusty i skalisty,

i ujrzym między skały wbieg
wody posępnej, mglistej...
Port wieczny... A gdzieś w oczach nam
z mgieł złoty kraj się rodzi...
Wszakżeśmy chcieli płynąć tam,
wszak to miał cel być łodzi!...

SZALONY FAUN.

Szalony wybiegł w pole Faun,
gdzie Nimfy wiodły skoczny tan,
barwisty zerwał z głowy wian
i cisnął, aż się rozsuł w strzęp
kwiat wytargany z wodnych kęp.
A z pod skrzydlatych, białych stóp,
złotego pyłu wznosząc słup,
o ciałach z świeżą wonią bzów,
Nimf smukłoudych krzyczał huf:
„Szalony Faun! Szalony Faun!"
I tysiąc kwiatów z szybkich rąk
padło na bożka, który stał
bronzowy wśród różowych ciał,
jak rudy szczaw wśród lilij z łąk.
„Pójdź! — tak krzyczały. — Boski szał

z pachnących naszych bije ciał!
Niech żyje bóg, co winnych gron
jasny nam w usta wciska plon!
Niech żyje Pan, którego flet
pasterza śniady widzi grzbiet,
a gdy ucieka, głośny śmiech
bożka go ściga grzmotem ech,
że aż zgubiwszy ser i bat,
ledwo zagrody dopadł rad!
Niech żyje Kiprys z piany wód
zrodzona, co nam nocny chłód
pomaga znieść, gdy Satyr nas
skrycie uniesie w ciemny las
i na posłaniu z traw i mchu
ogrzewa ogniem swego tchu!
Niech żyje Kiprys! Evoe!
Pójdź z nami! Zefir w róg swój dmie!
Rozkoszny powiew muska nas!
Pójdź z nami! Tańczy cały las!
Niebo zatacza w koło pląs!
Patrz! Sum się z rzeki podniósł, wąs
najeżył, jak myśliwski grot,
i w tan się w rzece puścił w lot!
Patrz, jaka piana, jaki szum!

Evoe! W rzece tańczy sum!
Hu, ha! Już ptaki biją nam
do taktu w skrzydła, pryska szlam!
Dzikich cyranek lotny sznur
spadł na brzeg rzeki z rannych chmur!
Hu, ha! Pójdź z nami, w wian się wwij!
Ty kochasz białość naszych szyj,
ty kochasz piękność naszych nóg!
Nimfy i taniec stworzył bóg!..."
I jak skrzydlatych stado mew
z głośnym trzepotem, z szumem piór,
leci ku niemu biały chór,
a jemu w oczach błysnął gniew,
i krzyknął, tupiąc nogą: „Precz!
Dłoń moja ostra jest jak miecz!
Precz, ty gromado nagich ciał!
Dość długo już wasz okrzyk brzmiał:
Szalony Faun! Szalony Faun!
Precz!..." Nimfy pierzchły... Został sam
i cisza zwolna zeszła nań
wśród westchnień wichru, wody łkań
i szumu kwiatów... Kędyś tam
daleko, u śródmorskich skał,
śpiew Syren czarodziejskich brzmiał...

Szalony Faunie! Bożku z grót!
Ścigaczu smukłokształtych ud!
Czy łzy w twych oczach? Czy to z wód
dalekich krople miecie wiew
chłodnego wiatru? Czy to śpiew
dalekich Syren wzruszył cię?...
On zaś ku niebu modlił się:
„O jasnoczoła, Pani ros,
któremi błyszczy leśny wrzos,
Pani tych świateł, co się szklą
na fali pod poranną mgłą;
Pani tych barw, któremi lśni
morze, wpływając w nocny cień,
Pani błękitnych, cichych dni,
Pani błękitnych nieba drgnień,
najczystsza z czystych, z woni róż,
z liljowych blasków, które wzgórz
szczyty w zachodu stroją czas,
zrodzona; ty, coś przeszła raz
przez świat ten, by zostawić mu
tęsknotę nadziemskiego snu:
ciebie chcę kochać!... Dzień i noc
szukając cię, przebiegłem świat —
ani mię trud nie zdołał zmóc,

ani mię z drogi cofnął strach,
ale twej białej stopy ślad
widziałem tylko w moich snach...
Szalony Faun! Szalony Faun!
Z lasów, z grot, z gajów ściga mnie
namiętny pokrzyk leśnych dziew,
lecz gdy ulegnę czarom tym,
piekielny mnie ogarnia gniew,
i, odtrącając rozkosz wstecz,
znowu za śladem idę twym
i szukam cię... i gonię cię,
a ty uchodzisz dalej, precz,
i znam cię tylko w moim śnie...
A jednak jesteś! Imię twe
jest pośród imion, jako kwiat:
i bóg i człowiek, gdy cię zwie,
duszą w odmienny wchodzi świat,
i w oczy jasność spływa mu,
jakby melodyi słuchał tej,
co gdzieś z gwiazd ciszy, z mgławic snu,
z dróg mlecznych brzmi dalekich zwiej...
Więc jesteś, Psyche! Jesteś! W czas
zachodu, z liljowych gaz
na szczytach wzgórz zrodzona; ty,

coś przyszła raz dać ziemi sny...
Jesteś! Czyż próżno szukam cię?
Czyż próżno tęsknię? Próżno wzrok
wytężam, czy nie ujrzę gdzie
twej twarzy przez obłoków mrok?
Próżno cię szukam, próżno chcę,
w twojej źrenicy patrząc świt,
grążyć się w lat tysięcy toń?
Próżno chcę czaru twego myt
wkuć w życia kształt i przywrzeć doń?
Uchodzisz! Czasem zda się już,
że widzę szaty twojej rąb...
Naówczas pędzę w światów głąb
i widzę — morza, co się z mórz
rodzą, i góry weszłe z gór,
i widzę chmury płynne z chmur,
ale ty uszłaś... Przecież wiem!
Nie jesteś złudą! Gdybym mógł
raz ujrzeć ciebie, twoim tchem
odetchnąć i u twoich nóg
modlić się, jak do gwiazd, do słońc!
Od wszystkich ziemskich wolny żądz,
jak jasne światło ciebie czcić!...
Lecz ty się lękasz... Leśny bóg,

ścigacz Nimf nagich, zwykły pić
rozkosz z ich ciał, jak wino z czar,
przeraża cię... Ty nie znasz, nie,
tych nocy, gdym z tęsknoty marł,
nad ciemnem morzem śledząc cię...
Ty nie wiesz, jakem, błądząc w zmrok,
przed krzewem róż wstrzymywał krok
i, oddech tłumiąc, ciebie z róż
wschodzącej czekał... Nie znasz dni,
gdym cię z słonecznych marzył zórz
ku piersiom spływającą mi...
I wyciągałem ręce w dal — —
szumiały morza, kwitnął krzew,
świecił się złoty słońca krąg,
a z moich wyciągniętych rąk
zbiegała w serce gorzka krew
gorzką tęsknotę tlić i żal...
Nigdy więc, nigdy?... Próżny sen
i próżnom przebiegł cały świat?
Z niebieskich sfer, ni z morskich den
nie wyjdziesz?... Niech więc która z strzał
Zeusowych runie, mnie na szmat
i sen mój i ból mój i szał
roztargać!..." I czy z nieba cud?!

Patrz! z krętej wełny, z koźlich nóg,
z kształtu, co wlewał żądzę w krew
śródmorskich Syren, leśnych dziew:
jasny się wypromienia bóg...
Już boski uśmiech mu się wplótł
w wargi, już wzrok światłością lśni,
już niewidzialnych jęła drżeć
u jego ramion skrzydeł sieć,
już tętno jego wrzącej krwi
stroi się rytmem, pieśnią z ech
muzyki sfer... Już wszelki brud
i wszelki z niego opadł grzech...
W bóstwo go dziwny zmienia cud...
On bóg!... Do dumnych nieba wrót
wznosi się piersią, ręce wzniósł
i patrzy zachwycony w świat...
Dawny świat wkoło runął w gruz,
nowy rozwija się, jak kwiat...
To nowe życie... W przestwór zórz
jasną Pieśń Chwały rozwiał Czas;
nieziemskich, niepojętych kras
strój objął ziemię... Z poza wzgórz
z błękitu dzianych i ze mgły,
na łąkę z światła: spływa huf

nieziemskich, niepojętych dusz —
pół-ciał, pół-blasków i pół-snów...
Wiatr rozwiał w niwecz koźlą sierć,
szalony Faun oczyma lśni
jak bóg... A wtem nań spadła śmierć.

LEGENDA.

I znów tak samo słońce wzejdzie gdzieś tam w świe-
[cie,
na wielkich, cichych górach zimny lód zapali,
znów obłokami wicher śnieg z upłazów zmiecie
i wiosna zajaśnieje na błękitnej fali.
Znowu się maić będą winnice i drzewa,
znowu się dookoła zazieleni pole — —
idzie wiosna różanousta, złotobrewa
z żółtym jaskrem i habrem niebieskim na czole.

I znów tam będzie owa ranna, jasna cisza,
mącona tylko gwarem rozpędzonej rzeki,
i skryta, upleciona z świeżych wiklin nisza,
podobna do alkowy Nimfy w czasie spieki.
I znowu się na liściach przejrzyste i złote

błyszczeć będą owady i motyl zaleci
w tę skrytą pośród wiklin ponadrzeczną grotę
i wkradnie się wraz z słońcem przez zielone sieci.
I znów będzie tak samo, jak niegdyś przed laty,
dawno, lub może wczoraj... Któż ten czas przeli-
[czy?
W każdym razie już całe padły wpoprzek światy,
została tylko pamięć szczęścia — i goryczy...

Kiedy? Kiedy to było?... Nie pytać bez celu —
było kiedyś... Zostało wieczystą legendą...
Było kiedyś, daleko i przed laty wielu — —
może wczoraj... Legendę chwile tęsknot przędą...

Legendę urodziło to drzewo nad rzeką,
pod którem się łączyły serca, dusze, dłonie...
Ono stoi — — tam kędyś daleko, daleko,
stoi i w wodę patrzy, a kiedy liść zrzuci,
to ten liść tak, jak przeszłość, opada i tonie
i tak, jak przeszłość, nigdy więcej nie powróci.

Legendę urodziły te wikliny rzeczne,
co słyszały słów tyle, tyle łez widziały
i przepuszczały przez się promienie słoneczne
na łzami zaciemnione jej oczu kryształy...

Legendę urodziły te ścieżki, co biegły
między gąszcze i krzewy ku rzece ze wzgórza,
i widok na dolinę jasny i rozległy,
i deszcze z wiosną płynne, i gradowa burza...

I czy to było wczoraj, czy było przed laty,
oni sami nie wiedzą; któż ten czas przeliczy?
W każdym razie upadły wpoprzek całe światy,
została tylko pamięć szczęścia i goryczy.
I została legenda cicha, rzewna, święta,
w głębi duszy noszona, przez słowa nietknięta,
nieznana, prócz nich dwojga, na świecie nikomu;
została pamięć czaru dziewiczego sromu,
co się jak kwiat do słońca miłości otwierał,
jak kwiat, który nie uwiądł w żarze, choć umierał...

Kiedy, kiedy to było?... Nie pytać bez celu —
było kiedyś: zostało wieczystą legendą.
Kiedyś, kiedyś, po latach, po wypadkach wielu,
może się zejdą z sobą, może mówić będą.
Nie przypomną przeszłości, lecz pod każdem sło-
[wem
ona drgać będzie skryta, jak łza pod powieką,
i serca zadrgną biciem tak dawnem, a nowem,
i obejrzą się w przeszłość, daleko, daleko...

Czyste, jak łzy, padały z skarbca dyamenty
i brukowały sobą ulicę podróżną;
świecą, ale je podjąć chcieć napowrót — próżno;
został tylko szlak długi, najdroższy i święty.
Jakiejż nie mają wagi, gdy ze skarbca lecą?!
A raz padłe: na zawsze tylko jak łzy świecą...
Legenda pełna szczęścia, żalu i cierpienia,
prócz nich dwojga, nieznana nikomu na ziemi.
Tam nad rzeką, pomiędzy ciche drzew podcienia,
powoli, z ramionami na pierś złożonemi,
przewiał ponad pamięcią Archanioł Milczenia.

PODCZAS WIATRU Z TATR.

Dumny, nieuskromiony, witaj mi, żywiole!
zawsze ciebie kochałem ze wszystkich najwięcej!
na twem łonie się duch mój kołysał dziecięcy,
tyś mi pierwszą muzyką był słyszaną w świecie,
kiedyś od Tatr przylatał przez lasy i pole —
dumny, nieuskromiony, witaj mi, żywiole!

Kochałem ciebie zawsze! bo na twoim grzbiecie,
jako na oceanu powłoce rozdętej,
nie śmią siadać i płynąć żeglowne okręty;
bo niszczysz i niweczysz wszelką ludzką siłę,
dumny, nieuskromiony, pyszny elemencie!
bo przeplatasz, jak demon, wielką ziemską bryłę
i nigdzie nie jest kres twój — i nigdzie poczęcie.
Wieczny i bezgraniczny, niczem nie zamknięty,

lecisz przez cichych niebios gwiezdne firmamenty,
i niczemu nie bratni, z niczem nie związany,
wszystkiemu wszędzie obcy, sam jeden dla siebie:
pustynie, miasta, sioła, góry, oceany,
wszystko masz u stóp swoich, wędrując po niebie!

Dumny, nieuskromiony, witaj mi, żywiole!
ty jesteś dusz najsłodszą, najlepszą muzyką!
Jako na wolę marzeń, na twą zdana wolę
dusza leci: im więcej obcą się uczuje,
im będzie samotniejszą, im dalej lot chyży
poniesie ją w pustynię szeroką i dziką:
tem więcej jest królewską i tem leci wyżej!

Niechaj się tam na dole tłum ludu kotłuje,
niechaj wstają geniusze i w ducha mozole
podnoszą głuchy odmęt ludzkiej masy w górę,
aż runie w dół ich pracę zawalić, jak lawa;
niechaj się ludzkość cała jednem piekłem stawa,
lub dusze jak anioły świecą białopióre;
niech wojna grody niszczy, mór sioło po siole
obraca w pustkę cichą, lub niech kwitną sady
i złotym plonem lata świat się cały cieszy;

niech życie będzie świętem dla ludzkiej gromady;
niechaj się sam Duch zjawi pośród ludzkiej rzeszy
i rozwiesi nad światem swych rąk aureolę;
ty, z niczem niezwiązany i obcy wszystkiemu,
krążysz, li tylko Prawu podległy swojemu,
dumny, nieuskromiony, wspaniały żywiole!

W TATRACH.

Tam, w moim kącie ziemi, kwitną teraz kwiaty,
kwitną kwiaty wiosenne, młode, bujne, świeże,
las jasne słońce z nieba w głębię swoją bierze
i szumi — (szumem pieśni, jak anioł, skrzydlaty!).

Las drogi, święty, ciemny... Gdy się dźwiga zrana
nad polaną mgła wschodnia śnieżysto-różana:
jelenie we mgle stając, wznoszą w górę głowy
i ogromne poroża, oszronione rosą,
i senne świetlne głowy na polanę niosą
z lasu, gdzie szumi święty, wonny hymn wschodowy.

Święta, przeczysta Pustka, we mgłach kołysana,
rozpościera ramiona, błogosławiąc ziemi,
a kwiaty wiosny pachną i liśćmi białemi
świecą na trawie, jako na głębinie piana.

Święta, przeczysta Pustka, w której się kolebie
co jest najszlachetniejsze na ziemi i niebie:
Piękno w całym swym czarze i całej potędze —
Ono, które być może dla duszy człowieka
wiarą, miłością, szczęściem, a jak Chrystus, czeka,
by szedł k'niemu przez brud swój, przez ból swój,
[przez nędze.

Ono, które nań czeka, ciche i cierpliwe,
wierne i niezawodne... I oto ów mrący,
ów trup, przez swoje nędze, ból i brud idący,
uczuwa, że mu w piersi bije serce żywe.

I z krzykiem: ave! ave! modli się w zachwycie:
bądź pozdrowion, napoju, który wracasz życie!
bądź pozdrowiona, karmi, która żywisz ducha!...
I wiosnę w sobie czuje młodą — a dokoła
pachnie kosodrzewina i wonieją zioła,
i szumi las, lub pustki nieskończonej słucha.

Opłyń mnie, ciemny lesie,
owiń mnie, dżdżysta mgło:
niech mi się w oczach niesie,
co było duszą mą.

Niech staną mi przed wzrokiem
rzeczy, lecące z mgłą;
otul mnie, mgło, pomrokiem,
otocz mnie, lesie, ćmą.

Kochałem cię, Wyżyno,
kochałem cię, o Dal!...
kochałem obcość duszy
i dumny w pustkach żal...

Kochałem cię, o słońce,
na zimnych pustkach hal — —

kochałem obcość duszy
i senny świata żal...

Kocham cię tak, o lesie,
i kocham tak twój śpiew:
że mógłbym wykląć z ciebie
anioła twoich drzew...

On, co się z szumem chwieje,
lub śpi w milczeniu drzew:
ze skrzydeł swoich sieje
wieczystej ciszy siew.

ŚMIERĆ.

Cyt... to gra Śmierć...

Wstrzymajmy rękę... wstrzymajmy krok...
Cyt! to gra śmierć... Przez blady mrok
płynie muzyka z dali, z dali...
Wstrzymajmy oddech, wszelki ruch,
abyśmy nic nie postradali
z tej pieśni, co nam koi słuch;
abyśmy nic nie uronili
z tej pieśni, co nam serce leczy;
abyśmy w jednej krótkiej chwili
odczuli byt pozaczłowieczy...

Nie będzie długo grać...

W przelotne, wietrzne mgły się wcieli,
zniknie jak obłok, jako cień — —
pomnimy, żeśmy mieli dzień,
gdyśmy grającą Śmierć słyszeli — —
pomnimy taki dzień...

Cyt — — to gra Śmierć... To jest gra dla tych bytów,
Które się kruszą już i walić mają w rum...
Głęboki, cichy dźwięk przepastnych stalaktytów,
odległych źródeł gra... Jest to lasowych dum
wieczny, falisty szum, cudowny i spokojny...

O Śmierci! pierwszy raz, pierwszy raz w życiu słyszę
dostojny taki ton, instrument taki strojny...
O Śmierci! grajże, graj! wypełnij to zacisze
muzyką skrzypców twych, harmonią twej muzyki,
niech pod konarów strop podnosi się twój śpiew,
niech — jako tęcze lśnią u okien bazyliki —
fale muzyki twej lśnią wśród konarów drzew...

FRAGMENTY.

Człowiek, któremu szumi wiatr we wnętrzu ducha,
wyszedł na pole rano, gdy świeciło słońce,
i rozpuścił dokoła swe oczy widzące,
i otwarł w krąg słyszącą konchę swego ucha.

Szeleściła jesienna górska trawa sucha
i z pustek górskich chmury biegły śpiewające;
szedł wiatr, który się włóczy, jak serce marzące,
melancholijne serce, które wiatru słucha.

I myślał człowiek: jest tu jakaś forma krucha,
w którą się wkłada życie smutne i tęskniące,
aby kwitło, jak kwiaty, co więdną na łące,
i błyszczące, jak mlecze, które wiatr rozdmucha;

forma, z której nic nigdy na dziw nie wybucha,
melancholijne, wielkie jezioro stojące,
w którem się topi życie, na pustkach błądzące,
ludzi, dla których wiatru szum jest rdzeniem ducha.

* * *

Niechaj więc będą smutni jak wody jeziora,
które się czerni w skałach bez łkań i bez śpiewu;
oni w górze, nad sobą, szukają odzewu,
skąd szumi wiatr — lecz żadna nie spływa pokora...

Dalej, dalej, niż wszystko, co się z ziemi rodzi...
dalej, dalej, niż wszystko, co niebo dać może...
dalej, dalej, niż wszystko, czego w gwiazd powodzi
Ty mógłbyś pragnąć, Tybyś mógł pożądać, Boże...

Dalej, niźli się Tobie mogłoby śnić w górze...
I któż to? Człowiek z głową na ręku opartą,
człowiek w swej małej, wątłej, nikczemnej naturze
pytający, czy być nim byłoby mgle warto...

Z głową wspartą na ręku, smutny i zmęczony,
patrzący tak, jak żeglarz z pokładu okrętu
na miliony zagłębień i karbów miliony,
któremi się dokoła waży toń odmętu...

Dziecinne to igraszki... Można skonać z męki,
i ta męka być może jak monstrancya świętą,
i ludzie żyją w serca komórce maleńkiej,
i duszę mają w mózgu łupince zamkniętą.

Dziecinne to igraszki — —tak — — ale są przecie
ich krwią zaczerwienione, zlane łzami, potem,
są ich całem istnieniem, ich celem na świecie,
z nich jest ich skarb, to wielkie, zbawiające:
[*potem!...*

Mają swoje wierzenia, swoje duchy wieszcze,
zamknięci są w wypadków ziemskich skrzącem
[kole — —
tam nad nimi ogromny wiatru szum szeleszcze,
lecz znaków tej potęgi nie widzą na dole.

Nie widzą i nie mają nic boskiej mądrości;
muszą zdobywać, walczyć, kochać, nienawidzieć,
a wicher twórczych potęg nad głową ludzkości
dmie, sieje, choć się czasem wieki nie da widzieć.

Pierwiastek złego w duszy, albo w ciele,
kiedy mu życia bieg fatalny sprzyja,
zwolna i skrycie w sobie się rozwija,
straszliwa magna pars w rozwoju dziele.

Jak wąż, pełznący przez gąszczu topiele,
nagle podchodzi i żądłem zabija:
pierwiastek złego ukryty, jak żmija,
zrywa się pełnić swoje straszne cele.

Napróżno pragniesz zapomnieć, zwyciężyć:
zło się rozpręża i zaczyna ciężyć
na każdym dniu twym, na każdym twym czynie.

Wówczas cierpiący, bolesny duch płynie
w czas, kiedy, w dziś już niepojętej dobie,
pierwiastkuś złego nie przeczuwał w sobie.

Śnią mi się często świata cudowne widoki,
piękniejsze, niźli wszystkie na ziemi widziane:
czarodziejskie ustronia, oparte o ścianę
gór, które się wydają jak niebiosów stoki.

Śnią mi się także ludzie twarzy jasnookiej
i jasnej, białej duszy, których serca siane
są światłem dnia, a czucia z leśnych łąk zebrane,
jak miód: mają słodycze i zapach patoki.

I marzą mi się czucia własnej duszy mojej,
głębokie i tak czyste, jako nurt kryształny,
gdy się w kotlinie górska woda uspokoi.

To jest to, co nad nami wieczyście się waży,
porywom ku Lepszemu wieczyście na straży,
wyższe nad wszystko z nizin, jak ów motyl skalny,

Nieznanych, niepojętych, ledwo widnych lądów
widnieje mi daleko skraj siny w przestrzeni;
niema tam wież nadbrzeżnych, wieszczbiarek wy-
[lądów,
niema portów przystannych, ciosanych z kamieni.

I nie wiem: kwieci się tam jakie zboże? kwieci
złotopienna pszenica? jęczmień złotowłosy?
Żniwiarzom śpiącym w polu, gdy się rosa świeci,
czy się śni, że na oczach mają gwiazdy z rosy?

Jestli tam dąb szumiący i klon rozesłany
koroną na błękicie, jak baldachim wonny?
Są tam jakie kościoły? są jakie kurhany?
Są dzwony-Archanioły? są pieśni-Madonny?

Nie wiem, ale przed duszą w oddali, w oddali
ten ląd nieznany smugą widnieje mi siną,
i oczy ponad wszystko, co je w słońcu pali,
lecą tam——tam szukają czegoś—— za głębiną...

O CUDNA MYŚLI MŁODZIEŃCZYCH PAMIĘCI...

O cudna myśli młodzieńczych pamięci,
umiłowane wspomnienie snów śpiewnych:
tobą się dusza rozświetla i święci,

jak echem wiejskich pieśni modlitewnych...
O sny, marzące różowe dni całe
i modre oczy błądzących królewnych...

Jakże się oczy zwracają nieśmiałe
ku tym minionym latom i przeżytym...
O dni minione, o chwile przebrzmiałe,

podobne pieśniom w marmurach ukrytym,
podobne słowom w ksiąg zamkniętym pyle,
podobne czaplom w obłokach zabitym...

O drzewo tęsknot, wzrosłe na mogile,
o cudna myśli młodzieńczych pamięci,
o zatopione powodzią idylle...

Byliśmy niegdyś obłokiem objęci,
marzyły nam się kopuły z błękitu,
marzyliśmy się z ludzkich praw wyjęci,

dzieci pragnienia, mocy i zachwytu —
czas zszedł — oprzyjmy o głaz leśny głowę,
słuchajmy szumów lasu i granitu.

Przed nami leżą morza szafirowe,
białe się piętrzą i radosne miasta,
łan się nam w kwiaty ubiera różowe,

z konwią na głowie przechodzi niewiasta
i do cichego nas progu zaprasza —
a oto darń już tę ziemię zarasta,

gdzie się układła bujna młodość nasza...
Błądźmy więc smutni, samotni przez gaje,
które, zachodząc, zdaleka okrasza

niezwrotne słońce... Niech zmartwychpowstaje
mara własnego naszego żywota — —
cudzem on życiem nam się dziś wydaje,

a naszą tylko bezdenna tęsknota...

Pierzchły miliony lat... Ze zwisłą głową
człowiek, wsłuchany w oceanu głuszę,
patrzy na wielką tę głąb bezbytową,

a mrok i smutek owłada mu duszę — —
nad nim milczenie niebiosów straszliwe
i tylko balsam śmierci na katusze.

Apokalipsy koń, rozwiawszy grzywę,
niosąc na grzbiecie Niewytłómaczone,
Dziwne i Straszne: gna przez jego niwę,

Jako się słońce jawi przez zasłonę
kurniawy śnieżnej, nakształt kuli bladej,
zaledwo widne, drżące i zaćmione;

jak z głębi dolin słychać szum kaskady,
co się ku szczytom ledwo głośny wspina,
na nikłych szmerów rozbity mirjady:

tak człowiekowi byt się przypomina,
dawny, miniony, zaranie żywota,
jakaś stracona, anielska kraina...

O pieśni gwiezdna, o pieśni z gwiazd złota!
Śni mi się zawsze, że te jasne cienie,
którym wzrok w gwiazdy prowadzi tęsknota,

a nieba wskroś jest otwarte sklepienie:
po wirze przemian, co się rwą i kruszą,
w nas są, swe własne straciwszy istnienie,

pięknością świata zadumaną duszą...

Albowiem nieraz czułem — i myślałem,
skąd się nam w sercu nadśmiertelność bierze?
Skąd to, co nie jest ziemią, ani ciałem,

ale jest cząstką w świata atmosferze?
Albowiem nieraz pytałem sam siebie,
o jakie bije łódź moja wybrzeże

i na jakiej się odtoce kolebie
morza, co szumi gdzieś w Nieskończoności,
i jaki odmęt w sobie ją pogrzebie?

Albowiem nieraz czuję, że od kości,
od mózgu mego, od serca, od krwi mej,
od całej mojej człowieczej istności:

odstaję, jako tych obłoków dymy,
które się snują nad Tatrami czyste,
lotne, niezwiędłe, chłodne, jak dech zimy.

Słońce się na nich przesnuwa świetliste,
lub wiatr je w taniec zatacza okrętne,
lub o załomy strzępią się skaliste,

a płyną dziwnie ciche, obojętne,
na szafir szczytów, na zieloność hali
i na zwierciadła jezior patrząc smętne.

Płyną — świat życia widnieje im w dali,
pełny uroczysk, przepaści, topieli;
tysiące jestestw podnosi się, wali,

rodzi się, kona, kwitnie i popieli,
a one płyną gdzieś precz dalej, dalej,
dalej i dalej — aż je błękit wcieli,

i toną kędyś w niedościgłej fali...

O melancholio, ty, co wszystkie rzeczy
pod kątem śmierci ukazujesz oku;
ty, co na smutny, błędny wzrok człowieczy

ze styksowego rzucasz mgłę potoku:
ty jesteś matką owych widzeń duszy,
gdzieś się u nieba zradzających stoku...

I oto biorąc w rękę kij pastuszy,
jako za gwiazdą niegdyś betleemską:
za wiarą, w smutku zrodzoną i głuszy,

dusza wychodzi poza krawędź ziemską
i z trudem w gwiazdy podnosi się zwolna,
jakby na górę szła jeruzalemską...

Aż wreszcie ziemi odbieżawszy, wolna,
precz odtrąciwszy swoje ziemskie ciało:
przez chwilę spełnień niepojętych zdolna,

przez chwilę dziwną i świętą brzmi chwałą,
bramy tajemnic gwiaździstych otwiera
i ma poddaną Moc stworzenia całą...

Tam to jest owa dziwna atmosfera,
gdzie się uczuwa ludzka istność nasza
wyższą, silniejszą — nad słowo: umiera.

Tam już nas obraz istot nie przestrasza
pojętych nakształt Władających Mocy;
tam ust umilkłych naszych nie okrasza

uśmiech poznania własnej swej niemocy,
ani, jak Roland w ronsewalskim jarze,
rogiem rozpaczy wzywamy Pomocy...

Tam nie stąpamy więcej przez cmentarze
umierających siebie samych co dnia;
już się nam więcej czas nie patrzy w twarze

z szyderską wzgardą, jak lud w twarz przechodnia,
serce nie pada nam w kurz wysilone,
ani się mózg nasz kurczy i zwyrodnia.

I niema żalu... Źrenice spuszczone
już się w głąb własnej nie staczają jaźni
za tem, co znikło — niewzięte — stracone...

Ani już więcej człowieka nie drażni
chęć być, czem nie jest, czem być chce napróżno
i czem się widzi w pustej wyobraźni...

Ani jest klęska ni śmierć więcej groźną,
ani jest trwoga większem upodleniem,
ani samotność życia więcej mroźną:

jak ta ironia wagi między chceniem
a mocą ludzką, jak klątwa równania
istoty swojej z jej wyobrażeniem.

O melancholio! Ty ślesz te pytania,
na które niema jest myśl i nauka,
aż utrudzony wreszcie do skonania

duch pragnie baśni i u gwiazd ich szuka.

O pieśni, pieśni, która płyniesz z białej,
z cudnej krainy, pieśni oddalona!
Z ciebie się leje ów hymn nieprzebrzmiały

przez milion wieków od wieków miliona,
który my siejem przez palce Tej Ręki,
co się nad nami wznosi zawieszona.

Jest to ucieczka od trwogi i męki,
myśl raju, gdzie się dusza tęskna wraca,
uporne, wieczne, wracające dźwięki,

przemoc, pod którą myśl siłę zatraca,
urok powieści i ludzkiego ducha
uporna, ciągła, twarda, dziwna praca,

której się rytmu gdzieś tam u gwiazd słucha...
Lecz po co sobie przypominam, tworzę,
po co ta duszy wnętrzna praca głucha:

Ty tylko jeden wiesz, gwiaździsty Boże!

CIEMNOSMRECZYŃSKI LAS.

To jest mój najpiękniejszy sen...

Tam, w pustce, ciemnych jezior głąb,
ciemnosmreczyński szumi las,
skał głuchych nad wodami zrąb,
uśpiony, wiekuisty Czas...

Od Ciemnych Smreczyn idzie szum
z nizkiej doliny, z starych drzew,
i skał straszliwych cichy rum
owija w kołyszący śpiew...

Tam gdzieś spoczęło ciało me
w domku z granitu wytchnąć raz...
Kolébę mi tam zbudowali,

której cios żaden nie rozwali
i to jest dom mój, własny, mój!

Ciemnosmreczyński szumi las — —
o lesie! lesie! lesie mój!...

W cichą, miesięczną, jasną noc,
gdy lotnych, ledwo widnych chmur
srebrni się w głębi nieba rój,
wysoko kędyś, w bezdni, hen:
tam, pod skał osrebrzony mur,
patrząc się w czarny w dole staw,
wśród szeleszczących z wiatrem traw,
duch mój spoczywa, patrzy się — —

To jest mój najpiękniejszy sen.

Muzyka, gęśle grają mi — —
jedna z tych starych, dawnych nut
w jesiennej usłyszana mgle,
we watry zadzwoniona błysku,
zakołysana w głuszy grót,
jedna z tych starych, dawnych nut,

starym się bacom śniąca w śnisku,
przychodzi mi w pustyni grać...

Hej! Grajże mi ty niewidzialna
gęśli powietrzna! graj mi! graj!
Już my to więcej pełni sił
nie staniem nogą na urwisku,
aby w nas halny wicher bił,
a nie mógł do przepaści zwiać!
Już my to więcej młodej dziewki
w pachnący nie zawiedziem gaj,
nie rozerwiemy jej koszuli
na piersiach białych, jako kwiat,
nie rozerwiemy jej koszuli,
aż nas, jak ogień drwa, przytuli,
aż nam zamroczy cały świat...

Już my nie rzucim w echo śpiewki,
od której ze skał lecą skry — —

hej! stary baco! minął świat,
kajsi tak wszystko gna, jak mgły...

Grajże mi, graj, ty wędrujący
powietrzem grajku w noc miesięczną...
Kędyś jest? Czy cię cicho wiozą
mgły srebrne, tak, jak na wesele?
Czy cię wiatr niesie górą rwący,
jak pióro z orła, co szeleści,
lub jak bukową gałąź dźwięczną?
Czyliś przy jakim archaniele
kęsi siadł w turniach, jak w kościele,
i pod olbrzymich skrzydeł grozą
zamierzchłe brzęczysz mu powieści?...

Ciemnosmreczyński stary las!
las ukochany, o las mój!
Tam rzeka, tocząc się przez głaz,
jęczy i wyje i zawodzi — —
tam śpiewająca Cisza chodzi
samotna, piękna pośród drzew,
w deszczowy szklany patrzy zdrój,
trąca z konarów zwisłe mchy
i wielkie, złote pajęczyny;
tam żółte kwiaty z śród wikliny
patrzą, jak zadumane oczy;
tam senna paproć w gąszczu drży,

rudych się szczawiów chwieje krzew,
i z ciemnych smreków, jako krew,
świeci czerwony krzak maliny.

O niewidzialny grajku, graj,
graj starodawną nutę Tatr,
co się nocami jeszcze włóczy
po pustkach opuszczonych hal
i starym bacom w uchu dzwoni,
gdy śpią przy smolnym dymie z watr — —
i śni im się, że znowu w dłoni
śmiga im ciupag twarda stal...

Graj, co nie wróci nigdy już...

Ciemnosmreczyński stary borze:
tam, ponad tobą jest mój dom.
Tam, we chmur utopiona morze,
w odmęt jesiennych, wietrznych burz:

dusza się moja pnie pod złom,
dusza się moja w żlebach kryje,
po stromych zboczach urwisk pełza,
po ślizgich, strasznych turniach kiełza

i patrzy w przepaść, w otchłań, w dół,
w ciche głębiny czarnych wód...

Jesienny, mroźny wicher wyje — —
jedna z tych starych, dawnych nut
płynie powietrzem z wichrem współ,
płynie, skrzydłami o las bije...

To jest mej duszy krewny śpiew,
pieśń z potraconych w pustkach drzew,
z wierchowców, co się w chmury strzępią,
z czarnych, głębokich, zimnych wód — —

pieśń piersią wyśpiewana sępią,
bezdennej samotności śpiew...

Ciemnosmreczyński stary lesie,
już cię śniegowy oblekł szron:
szumże z zawieją, kołyszże się
jak wielki, dźwięczny, srebrny dzwon.

NA WIOSNĘ.

I.

Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska
wstaje wiosna. Już w kępie ljanów, palm i wici
jaguar centkowaną, lśniącą skórą błyska
i iskrzącym bursztynem wielkich oczu świeci.

Jakoby liść potworny z olbrzymiego drzewa,
któremu na gałęziach gwiazdy lśnią jak rosa;
leży płaski, błyszczący, a przez gąszcz się wlewa
ku niemu fali słońca tęcza złotokosa.

Pod nim woda spleśniała, ruda i zielona,
przesycona tak światłem, iż zda się metalem,
lilie, których olbrzymia złotawa korona
świeci oczu jaszczurek miedzią i koralem.

Toń zielona, przepastna, gęsta, straszna, lepka,
wydająca woń duszną, wilgotną i parną;
tam purpurowych kwiatów wznosi się wysepka,
tam purpurowe ptaki lecą rzeszą gwarną.

Owdzie bagnistej wody nie wzruszając prawie,
potworny kajman płynie wolno i leniwie;
tam położa podłużny łeb dźwignął się w trawie
i przesunął się jeleń o wełnistej grzywie.

Jaguar bok, pragnieniem miłosnem wychudły,
ogonem raz po razu uderza niedbale,
patrząc na swoje szpony, w których świecą kudły
samicy, wyszarpane w nocnych uciech szale.

II.

Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska
wstaje wiosna, dusząca od światła i żaru;
i z głębi leśnej wody nagle kształt wytryska,
podobny do róż leśnych i do nenufaru.

Jest to zacisze leśne, zewsząd osłonięte,
nie wmyka się tam słońce, tylko z góry pali;
jest to zacisze leśne, urocze i święte,
splecione dachem roślin nad zwierciadłem fali.

Kształt, co się z niej wynurza, podobnym się zdaje
kobiecie, ale łuską biodra mu srebrnieją,
i włosy ma zielone, jak wiklowe gaje,
i pół kobietą zda się, pół wodą i knieją.

Rusałka... Jej żywiczne, smagłe, gibkie ciało
w zielonych włosach świeci od pasa nad wodą;
rozgląda się zuchwale razem i nieśmiało,
nęcąc i strasząc razem swą dziwną urodą.

Nagle z ust tak czerwonych, jak owoc jarzębin,
błysnęły białe zęby, oczy żarem strzelą,
piersi wzniosły się żądzą i w zwierciadle głębin
znikła, tylko się fale zapienione bielą.

I to zacisze leśne, zewsząd osłonięte,
ciche jest, jako pierwej; słońce z góry pali,
a wody stawu ciemne, milczące i święte,
odbijają gąszcz dębów i cień jodeł w fali.

III.

Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska,
od ludzkich klęsk, tryumfów, zdaleka od ludzi
wstaj, wiosno, w której oczach wieczny płomień
[błyska,
wstaj, wiosno, ponad sercem, które ziemia nudzi!

Niech pijana fantazya swoich barw przepychem
zasłania nędzną, szarą, biedną kolej rzeczy;
wstań, wiosno, z purpurowym twoich warg uśmie-
[chem,
z ręką kwiaty siejącą, która smutek leczy.

Niech szara, rzeczywista, omartwiała nuda
pierzchnie przed tobą, wiosno, przed barw twoich
[kołem;

jasno świeci twych włosów grzywa złoto-ruda
jak u lwa — i ognista gwiazda nad twem czołem!

Olbrzymie twoje ciało zasłania mi oczy,
głowa twa na niebiosach obłoki roztrąca;
gdy wkroczysz, wre i kipi brzeg morskich roztoczy,
a w rękach twych, jak kwiatów kosz, płonie krąg
[słońca.

Z potopu twych nawałnic, z grzmotu twej ulewy,
podnosi się duch jasny i epoka świeża;
z olbrzymich czar kwiatowych, jak cudowne śpiewy,
podnoszą się zapachy i biją w bezbrzeża;

naturalny bieg zjawisk, nudny, smutny, szary,
pryska pod twoją stopą, zjawisko olbrzymie —
w kołysanej fantazyi płyną cudy, czary,
i wam, o dumne zjawy, wam wiosna na imię!...

IV.

Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska,
zdaleka od wszystkiego, co się życiem zowie,
tam, na łodzi bez steru, na toń bez nazwiska
płynie duch, a łódź wiodą wiosny aniołowie.

Są to duchy niewidne, zjawiska eteru,
tylko zda się, że skrzydła ich słychać szumiące;
wiodą łódź po odmęcie bez zmarszczki, bez szmeru,
pod ogromne, spokojne, nieruchome słońce.

Jest to kraina ciszy, spokoju zatoka;
z zielonych kęp wysepnych dym błękitny dymi
i podnosi się dymu girlanda szeroka,
zda się: ofiary bóstwu zatlili pielgrzymi.

Ale niema tu ludzi: tu natura święta
Bogu, który ją stworzył, śle dymiące wonie;
tu z bezdni schodzi Boga moc nieogarnięta
spoczywać na stworzonem z siebie świata łonie.

Tu piękno w nieprzebranej, niezmąconej fali
toczy się jasną rzeką, niewidne nikomu,
którego nigdy wzrokiem ludzie nie skalali —
to są wspaniałe wrota do Boskiego Domu.

Tu piękno, owo wieczne, przeczuwane, skryte,
wieczną świeci się wiosną, czyste, jak mgła ranna,
a dusze rozklęczone, wzrokiem w niebo wbite,
wznoszą ku niemu ręce, wołając: hozanna!...

V.

Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska
kołyszą się na piórach płomiennych ulewy;
z okrzepłego lodami w górach uroczyska
wichry wznoszą łby śnieżne i straszliwe gniewy.

Kocham was, o żywioły rozpętane, wściekłe,
szalone moce świata i piękności tęcze!
Kocham was, piorunami ulewy rozciekłe,
wichry w przepaść lecące przez kaskad obręcze!

Kocham was, wy spienione górskie białe wody,
ziemio, darta orkanem z pośród leśnych głazów!
Kocham was mgieł piorunnych ciemne korowody,
malowane w kształt tęsknych, niezmiernych obra-
[zów...

Kocham was, wywracane lasy, pnie strzaskane,
kocham was, wiry jezior, grzmoty na gór szczytach!
Kocham mętną, ryczącą wodospadów pianę
i czarną, niemą grozę, wspiętą na błękitach!

Kocham was, o zjawiska potężne, olbrzymie,
nadludzkie moce! straszne, stargane żywioły!
i w lasów, zapalonych od piorunu, dymie
jam gotów wielbić Boga i grzmotów anioły!

Boże wiosny! o Boże pierwopotęg świata:
czuję Cię, nimeś jeszcze objawił się światu,
i która pierwsza do Cię modlitwa wylata,
z tą modlę się do Twego piękna majestatu!

VI.

Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska,
arystokraci swego ja i swojej woli,
chodźmy, o pani, w wieczór, gdzie na trzęsawiska
wybiega błędny ognik wśród świateł luczjoli.

Chodźmy, o pani, w wieczór, gdzie się cicho sieje
pomiędzy pola strumień i gwiazdy unosi,
szum cichy i głęboki przysyłają knieje,
i sierp księżyca trawę szklistym blaskiem kosi.

Tłum urękawiczony i ukrochmalony,
kolorem parasolek, staników i krawat
zdumiewający żaby, słowiki i wrony
i gaszący narcyzy, mak polny i bławat:

Pożegnajmy, o pani, wraz z jego codzienną
nudną inteligencyą i mieszczańskim sprytem,
i chodźmy gdzieś na ziemię patrzeć cichą, senną,
zamajoną zielenią, gajami i żytem.

I będziemy mówili o lesie, o wiośnie,
o cudownych obrazach, co z etyką miejską
nie mają nic wspólnego, lecz jak obłok rośnie
na niebie: tak i one rosną czarodziejsko.

Nic nie szkodzi, o pani, choć twe sztuczne kwiaty
zapylą się od kurzu, lub na deszczu zmiękną:
w polu rosną prawdziwe maki i bławaty,
a zamiast twych znajomych, spotka panią piękno.

VII.

Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska
mówić będziem o pięknie, tem wielkiem i świętem,
które zarówno greckie rodziły igrzyska,
jak mieści się w Bezbrzeżnem, Mocnem, Niepojętem.

O pięknie mówić będziem, co zarówno świeci
na obliczu Madonny i w niezmiernych stepach,
w pieśniach, które składają genialni poeci,
i w ogromnych, milczących, starych zamków sklepach.

Mówić będziem, lecz dawnych, prostych ludzi głosem,
a ty, angielskich rożków nawykła i pianin,
podniesiesz brwi z ukosa i mrukniesz pod nosem
z bardzo wdzięcznym uśmiechem: pan jesteś poganin.

O tak! zawsze pogańskiej, dawnej jestem wiary!
Niech się modlą, niech pieją wniebowstępne chóry!
Dla mnie święte są skryte wśród bluszczów pieczary
i tajemna, niezmierna poezya natury!

Wsłuchuję się w najlżejszy wiatru szmer przelotny,
tonę oczyma w każdem wód błękitnem drgnieniu,
a jeśli się tam czasem uczuwam samotny,
to, bo słucham, czy kto się nie ozwie w Milczeniu...

I gdybym się był zrodził przed trzydziestu wieki,
to wraz z tobą, nad greckiem szafirowem morzem,
mówilibyśmy w gaju oliwnym, w czas spieki,
że wszystko, co Bóg stworzył, jest czystem i bożem.

VIII.

Zdaleka od ludzkiego zgiełku i mrowiska
czasem dusza kobiety jest, jak w gór załomie,
pod niedostępnym szczytem i ścianą urwiska
woda głębokich jezior, skryta niewidomie.

Przecudowne gry światła na przejrzystej fali,
noce, gdy gwiazdy schodzą czerpać na dół wodę,
dni, kiedy się powierzchnia kolorami pali,
burze w czas wichru, cisze przesłodkie w pogodę;

łabędzie, które, lecąc, na toni przypadną,
cień orlich skrzydeł, co się z obłoków odbija,
mgły, co się na zwierciadłach nieruchome kładną:
tych cudów tam źrenica nie widzi niczyja.

A ci, co marzą wielkie piękności na ziemi,
którzyby chcieli o nie piersiami uderzyć
i wchłaniać je w głąb duszy zmysłami wszystkiemi:
nie znajdując ich w życiu — przestają w nie wierzyć.

Wtem ktoś, jakby wewnętrzne przeczucie go wiodło,
odkrywa załom skalny i staje w zachwycie —
i serce, które w piersi miał za próżne godło,
obudzone zachwytem, nowe czuje życie.

Z piękna albowiem wstaje duch świeży i młody,
rosnąc lub straconego żałując ogromu...
Czasem dusza kobiety jest, jak owe wody
przecudownej piękności, nieznane nikomu.

SZUMI WIATR...

O wietrze!
ty więźniowi, tysiące mil od swego proga,
szumiąc u kraty, od łez rdzawej i wilgotnej,
przynosisz wieści z domu... Jak tam żona droga
uczy dzieci imienia ojca, który więcej
nie wróci... Słyszy głos jej i szczebiot dziecięcy,
i płacz mu piersi chwyta straszny i zawrotny,
i o ścianę mu głowę rzuca straszna męka,
ale płacze — dlatego serce mu nie pęka.

W twoim szumie mu dzwoni dzwon z kościelnej
[wieży
na Anioł Pański—modlić klękają się ludzie— —
ty niesiesz szept modlitwy, niesiesz woń wieczerzy
spożywanej pospołem, niesiesz to odległe,
dalekie, drogie życie, na zawsze odbiegłe...

Niesiesz pól zapach swoich w obcą, smutną stronę,
piosenką swoją zabrzmisz w głuchej, niemej nudzie,
przebiegłszy step niezmierny, pustki niezmierzone,
wody w bezkres rozlane... Ze skronią u kraty
więzień słucha, jak szumisz, i nozdrza otwiera,
czyś nie przyniósł mu trochę dymu z jego chaty,

czyś nie doniósł zapachu tej lipy w ogrodzie,
gdzie się rój pszczół na wiosnę każdorocznie zbiera...
czyś nie przyniósł tej woni, co krąży przy wodzie,
woń, co mu całe jego dzieciństwo przypomni,
jak usłyszana kiedyś, po latach, muzyka...

Szumi wiatr — jakby chłodną kładł mu dłoń na
[głowie — —
szumi wiatr — więzień oczy powoli zamyka — —
szumi wiatr—jakby jaśni szli skądś aniołowie— —
szumi wiatr — więzień zwolna niedoli zapomni...

Czaszką wsparty o kratę, z podniesionem czołem,
z zamkniętemi oczyma słucha, jak wiatr szumi— —
szumi wiatr — — duszę więźnia napełnia anio-
[łem — —
anioł skrzydła rozpostarł w wnętrzu jego duszy,

rozpacz i ból pod skrzydłem anielskiem się tłumi
i zachwycenie spływa na tę duszę biedną...

Szumi wiatr — — od łez zwilgłą kratę kaźni
[suszy — —
szumi wiatr— —szumi jedno, jedno, zawsze jedno...

JUŻ NIE WIEM, CO POZA MNĄ BYŁO...

Już nie wiem, co poza mną było —
czy żyłem kiedy?... czy kochałem?...
Zda mi się, stoję za mogiłą —
cóż w tej mogile pochowałem?

Czy pochowałem jakie kwiaty?
Czy pochowałem złote rzeczy?
Nie wiem — to jakieś dawne światy,
stracone z mego serca pieczy.

Snadź nic nie było żalu warte,
skoro nie został żal po niczem — —
napisy trumien są zatarte,
blask lamp grobowych nie był Zniczem.

Jak obcy po przeszłości chodzę,
w tę i w tę stronę zwracam głowę,
a to są przecie tu, przy nodze,
krwi mojej rzeki koralowe.

Wstrzymam się, idę i znów stanę,
jakbym nie wiedział, gdziem wniósł głowę — —
a to są przecie w bród rozlane
krwi mojej rzeki purpurowe...

NAD MORZEM.

Ten smutek, cichy smutek ducha,
na który palm dziś liście wieją
i dmie od morza zawierucha:
to krzyż wspomnienia nad nadzieją.

Jakże swobodny, wolny chodzę
i na to morze dziś poglądam,
gdy nic nie spotkam na mej drodze,
nie czekam, ani nie pożądam.

Danem mi było, co być miało —
czy nic, czy wiele: wszystko jedno,
gdy zmarło już i spopielało,
w letejskie poszło już bezedno.

Pod temiż palmy, nad tym brzegiem,
chodziłem niegdyś, człowiek młody —
mój smutek wówczas był szeregiem
fal szturmującej skałę wody!

Swobodny, wolny dzisiaj chodzę,
niczego nie wyglądam zgoła,
gromada cieniów na mej drodze
życia ode mnie, kształtów woła.

Żyjcie więc krwią mą, puste mary,
kradnijcie życie moje dla się,
a kiedy złożą mnie na mary,
czcze imię kołysajcie w czasie...

Jak łódź je kołysajcie społem
na morzu życia niezmierzonem,
żem był, żem myślał i że wziąłem
nagrodą — nic, a pustkę — plonem.

Te zimne, głuche, sztywne palmy,
to są jedyni przyjaciele,
jedyny chór — to wichru psalmy,
współmyśli z obcem morzem dzielę.

Więc czy nie byłem tam zbłąkanym
pielgrzymem z jakiejś obcej ziemi,
gdy głos mój tlał, choć był słyszanym,
i do mnie — ludzie byli niemi?...

Czegóż ty, morze, możesz żądać?
Nic — żeś jest morzem — wszystko twoje,
i mnie już nic tu nie wyglądać,
gdy poza wszystkiem mojem stoję.

A KIEDY BĘDZIESZ...

A kiedy będziesz moją żoną,
niechaj ci oczy jasno płoną
i patrzą w pustkę, tam, daleko,
gdzie się czcze dymy z ziemi rodzą
i jak upiory gdzieś się wleką
i jak umarli w nią odchodzą.

A kiedy będziesz moją żoną,
słuchaj, jak pustka w ciszy dzwoni,
jak echa pogrobowych dzwonów
w bezdeni nieba kędyś toną,
i jak sekundę każdą goni
szmer łez żałoby i szmer skonów.

I niechaj ci w rozwarte oczy
żar, jako piorun, ogniem strzeli,
i olśnij się w błyskawic bieli,

jak duch, co nad mogiły skoczy
i z nieba na skroń ściąga gromy,
aby w nich stanąć niewidomy

Bowiem zaiste dziś ci mówię,
żeś w ogniu winna stanąć cała,
jako bóg grecki skamieniała
i osłonięta przez gwiazd mrowie,
niedotykalna, niewidzialna,
ogniem zakryta i zapalna.

Imienia twego niech nie śledzą — —
ja wiem i śmierć, co jest przede mną;
kres nam za jedną cichą miedzą,
chociaż nie pójdziesz w otchłań ze mną.
Choć dzwon ustanie bić na wieży,
długo, daleko dźwięk się szerzy.

Zostaniesz po mnie, chocieś wstała
wraz ze mną, wieczna i dozgonna,
ty, towarzyszko mego ciała,
którą poślubiam jako żonę — —
a imię twoje to czczość wonna,
która oplata drzew koronę.

SALAMANDRA.

Przez obcy szedłem las — posępny stał;
ciemniał w nim dzień — wilgotne mchy
słały się u mych nóg, z nadwodnych skał
zwisały zimne, brudne, ślizko szły
w parowów głąb. Potoku pienny nurt
po progach wył wzdłuż drogi, to znów cichł,
z kamiennych w toń się przelewając furt.
Wśród gonnych drzew tu owdzie, jakby mnich
(dalekich Tatr widziadło), karli smrek,
obrosły gąszczem konarów aż do stóp,
w milczeniu stał i ciszy leśnej strzegł.
I nic nie rwało jej; jak ciemny grób
milczał ten las, tonąc w ponury mrok.
Tam szedłem sam — szeleścił w ścieli krok,
to patyk trzasł, to bełkło trzęsawisko.

Gdziem był?—tak, wiem: ja byłem ludziom blizko,
ale mój duch, jak niegdyś na Jeziorze
Królewskiem, zszedł z kolisk ludzkiego świata,
i wszystkie w tłum zbiegły się ku mnie lata,
przeżytych dni, przeżytych godzin morze...
Wszystko, com czuł, czegom przepragnął w życiu,
zbiegło się ku mnie w tłum — wszystkie tęsknice,
[chęci;
widziałem tam, jak pasmo wzgórz w odbiciu
kliszy: zebrane współ epoki mej pamięci.
I moja krew i mózg mój i marzenia,
porywy duszy, woli mojej sny,
nadzieje, wiary: wśród tego milczenia
ozwały się, przyszły i ze mną szły
mówiące do mnie, w mrok. A głos to jeden był,
ogromne, straszne jedno zapytanie:
Co pozostało z nich?... Ze skalnych brył,
gdy spadną w dół, skruszony rum zostanie,
kamieni stos — lecz co zostało z nich?
Co z duszy mej i z mojej krwi żywota?
Czyliż, jak kurz od koła leci szprych,
tak z życia duszy treść odlata i robota?
Wewnętrznej pracy wóz przetoczy się wśród dróg,
i nie zostaje nic, jakby nie przebiegł wcale?

I gorzki żal się wśród czeredy wzmógł
mych myśli, czuć. Po cóż — mówiły — po co
byłyśmy, jeśli mniej trwania w nas, niźli w skale
podłej, z której się żwir i głazy wygruchocą?
Po coś ty rodził nas i my rodziły ciebie?
Pytały tak, a ja, jak gdybym na pogrzebie
pochodnią tylko był i więcej niczem, wkoło
świecąc na smutku mrok i na zgryzotne kiry,
tak szedłem — — milczał las, woń stęchłą zioło
dawało z błot, i mchy, nad wodne wiry
zwisłe, dławiły dech... I ciągły szum: Gdzie my?
Gdzie żywot twój, co z nas się plótł, jak z sita
plecie się kosz? Gdzie my: twe myśli, sny,
gdzie żywot twój?... Cóż powiem? Pod kopyta
wtrącił was Czasu rumak i Nicości?
Zdeptał was, jako koń Atylli złem
kopytem deptał wsie? Kędyście w toń tej czczości,
co się przeszłością zwie, kędyście w grób, w po-
[kłady
strawionych ludzkich rzeczy zapadły — czyż ja
[wiem?...
Wtem u mych stóp, pod zboczem usypiska,
wśród mokrych nor, patyków, jako gady
pełznących w las, nad miejscem gdzie połyska

bagienka szkło: ujrzałem nieruchomie
stojącą salamandrę. Czarne ciało,
pomalowane w żółte plamy, stało
się tuż nad ziemią i w leśnym ogromie
wiązało do się wzrok, jak świeca w ciemnej sali.
Przez długą chwilę przeciweśmy stali,
aż mi się zdało, że w tej wędrownicy
pustkowi leśnych, w tej wiecznego cienia
mieszkance niemej: wszystkie me pragnienia
i cały bezmiar żywota tęsknicy,
i wszystko, co się w mem życiu nie stało,
wraz się skupiło i wraz zamieszkało,
ażeby błądzić tu, w wiecznej mrocznicy
obcego lasu... Dni, godziny, lata,
co za mną z głuchem zapytaniem gnacie,
widma cmentarne, czyliż wy w warsztacie
natury wiecie, jakim kręgiem lata
koło wszechbytu? Czy znacie pierścienia
początek i kres? Czy wiecie, że współ wraz
może wam wszystkim ten odpowiedź daje las?
Że wszystkie zżyte sny, sny zżyte i natchnienia
i cały skarb, co człowiek w sobie miał,
może się taką ot straconą rzeczą stał,
jak salamandra ta wśród lasu mrocznych głębi?

Więc nie pytajcie mnie, kędy jesteście,
ani pytajcie mnie, czy się z was co zezrębi,
ani się za mną w tłum tych mar żałobnych nieście,
bo nie wiem nic — — widzicie: milczy las...
Jeżeli tu przez wszystek bytu czas
błądzić człowieka los — może i to, co żył,
wieczyście błądzi kędyś — tuman sił
straconych w wieczny mrok...

CIEMNY, PACHNĄCY LAS...

Ciemny, pachnący, wielki las!
Ile tu kwiatów, ziół i traw!
Jak złotem ku mnie błyszczy mech!
Ile tu duchów lata wkrąg!
Jak błyszczą skrzydła pośród drzew!

O Boże! Cóż za cud i czar!
Sto dębów z wiatrem szumi wraz!
Sto dębów mgłę przerzyna wpław,
złotą, słoneczną, letnią mgłę,
i wonny, świeży wiatru dech
złotych rozwiesił arfę wstąg...

Idzie! o! idzie z ziemi zew,
z pachnącej ziemi, z wonnych par,

idzie i woła, gra i grzmi!
To idziesz ty, to idziesz ty,
o Bóstwo święte, święta Moc!
Matko i dziecko duszy mej!...

O wonny, święty, wielki las!
O blask, co zdołał ciemność zmóc!!
O deszczu światła! lej się! lej!
O święto leśne! Lata czas!...

TO JEST DLA MNIE NAJMILSZE.

To jest dla mnie najmilsze i najbardziej cenne —
możeby mi odumrzeć było żal najwięcej —
widnokręgi błękitne, dalekie, wiosenne,
ponad zielonem polem zboża rozciągnięte...

Jest jakiś urok dziwny, na poły dziecięcy,
w tym wyrazie: daleko — jest jakaś tęsknica —
daleko — tam — za wzgórza w błękicie zaśnięte,
za wzgórza — hen — tam w przestrzeń...

Jest coś, co zachwyca,
unosi serce — wieczna, *pewna* tajemnica...
Tam het na widnokręgu, w błękitu oddali
jest może to, cobyśmy najwięcej kochali...

LUDZKA TĘSKNOTA.

Pytała się ludzka tęsknica,
kędy jej kres?
Czy w skałach niedosiężonych,
czy w morzu łez?

Pytała się śmierci idącej
w całunnem gźle,
czy może w niej? Ale śmierć
odrzekła: nie...

OBCĄ, NIEZNANĄ MI DOLINĄ...

Obcą, nieznaną mi doliną
szumne potoki górskie płyną —
nie tak szumiały u nas, tam...
W oczach mi świat przeszłości stoi,
w oczach mam pieśń przeszłości mojej,
w oczach ją mam..

Wszystkie się rana w jedno rano
zbiegły, w woń rzeźwą, w jaśń świetlaną,
ciupagę w krzepkiej dłoni mam —
przede mną chłop-przyjaciel stoi —
ach! gdzież są towarzysze moi?..
Zostałem sam.

Nie znam was, nie chcę znać — — mnie cienie
droższe, po których mam wspomnienie,

niż cały wasz żyjący świat...
Jam tylko jedno kochał w życiu:
szczyty, płonące na rozświciu,
pęd młodych lat!...

TA TRAWA, KTÓREJ NIKT NIE KOSI...

Ta trawa, której nikt nie kosi,
ta woda, której nikt nie pije,
nikomu nie pachnące kwiaty — —
oh! tam jedynie dusza żyje!

To niebo, w które nikt nie patrzy,
Bóg, który wcale nie zna ludzi,
ten las nikomu nie szumiący,
ta zorza, która nic nie budzi...

Te niepachnące żadnym nozdrzom
cudowne, purpurowe kwiaty;
ta woda, której nikt nie pije,
ten wiatr nad pustką mgieł skrzydlaty...

Bóg, który wcale nie zna ludzi,
cud, w który żadna myśl nie wcieka,
ten las nikomu nie szumiący,
duch, nie mający nic z człowieka...

Świat bez istnienia i bez śmierci,
ten zdrój, co tylko skałom bije,
ta trawa, której nikt nie kosi — —
oh! tam jedynie dusza żyje!

SIERPNIOWE ZŁOTE MUCHY...

Sierpniowe złote muchy lecą,
promienie słońca bystro świecą —
taki mnie smutek, żal porywa,
aż ręka dłonią wzrok przykrywa.

Nie chcę na światło patrzeć Boże,
gdy serce być, gdzie chce — nie może,
gdy wola losu nieugięta
ruch mój i wolę moją pęta.

Nie tęsknię ja za niczem takiem,
czegobym nie chciał, będąc ptakiem;
za wszystkiem tęsknię, co w swej sferze
orzeł pod skrzydeł łuki bierze.

Któż tak ukochał słońca wyże,
gdzie wrą atomy światła chyże,
wre atmosfera i w krysztale
nieba stopione wrą korale?...

Tam Bóg mój mieszka uśmiechniony,
na niebios oparł się opony,
w nieskończoności, precz, w bezbyciu,
daleki, obcy wszemu życiu.

Wielcy poeci! Wstańcie z grobu!
Zejdźcie się, duchy z prochów globu,
śpiewajmy ponad huragany
większy hymn Panu ponad Pany...

Sierpniowe blaski złote świecą,
złociste, szkliste muchy lecą,
a moje serce schnie w żałobie
na siły swojej, męstwa grobie...

Butwieją statki u wybrzeży,
choć się ocean pianą śnieży,
choć tysiąc wichrów na topieli
grzmi, jak na trąbach grzmią anieli...

Jak aniołowie pełni dumy,
w piór grzmoty strojni, w włosów szumy,
a których brew, jak błyskawica,
nad oczy, jak nad krąg księżyca...

W głębinie duszy mej: żałości
nie pojmą ludzie mali, prości —
lecz ty, strącony hełmie w mrowie
z grzymsów świątyni: wiesz, co mówię.

WĘDROWIEC.

Wędrowiec szedł przez pusty świat,
znużony wielce, głodny był;
wtem ujrzał w dali śliczny sad,
doszedł więc doń, dobywszy sił:
gałęzie jabłek, śliw i grusz
zgięte nad ziemią wiszą tuż,
lecz mór na wszystkie drzewa padł,
i owoc robaczywy był...

I wędrowcowi ponad skroń
zaświszczał wiatr, mówiący doń:
idź dalej... dalej... dalej!...

I straszny, wściekły słońca żar
począł wędrowca prażyć z nieb,

i duch w nim od pragnienia marł,
a wody kropli nie miał step —
wtem ujrzał palm zielony liść
i ku oazie począł iść,
ale nie znalazł wodnych czar,
tylko wyschniętej studni sklep...

I wędrowcowi ponad skroń
zaświszczał wiatr, mówiący doń:
idź dalej.... dalej... dalej!...

Wsparty o swój wędrowny kij,
jął się więc martwą pustką wlec
i wołał niebu: dalej drwij!
a z trudu pot mu począł ciec — —
wtem ciemnych dębów dostrzegł las
i pobiegł doń odpocząć raz.
Lecz las był cały pełen żmij,
nie można było na mchu lec...

I wędrowcowi ponad skroń
zaświszczał wiatr, mówiący doń:
idź dalej... dalej... dalej!...

I spotkał śród obłędnych dróg
w bluszczach stojący zdobny kiosk,
i wszedł sandały zezuć z nóg,
we śnie zapomnieć mąk i trosk — —
aliści w futer skryta błam
cudna dziewczyna spała tam —
i żądzy w nim się pożar wzmógł,
i objął ją — lecz to był wosk...

I wędrowcowi ponad skroń
zaświszczał wiatr, mówiący doń:
idź dalej... dalej... dalej!...

Szedł i wrzeszczący ujrzał tłum,
nad tłumem krzyż i na nim człek —
więc pięścią czyniąc sobie rum,
ratować męczennika biegł,
lecz ów, co się w męczarni wił,
to zapłacony kuglarz był —
i śmiechu go otoczył szum,
czyn bohaterski w błocie legł!...

I wędrowcowi ponad skroń
zaświszczał wiatr, mówiący doń:
idź dalej... dalej... dalej!...

I zbiegły się doń fale rzesz,
jako do morza ze wszech stron,
wołając: „Z serc nam jutrznię krzesz!
Z dusz naszych zorzy ulej dzwon!
Ponura nas owładła noc!
Tyś nasz wskrzesiciel! zbawca! wódz!..."
Ów sen mu przerwał rykiem zwierz,
bo tylko w śnie tak marzył on...

I wędrowcowi ponad skroń
zaświszczał wiatr, mówiący doń:
idź dalej... dalej... dalej!...

I gniew mu ogniem strzelił tam
z natchnionych jeszcze ze snu lic:
„Wszystko więc — krzyknął — w życiu mam
i tylko w życiu nie mam nic!
Wchodzi mi w rękę każdy skarb,
tylko ten skarb jest złudą farb!
Wszystko osiągam, wszystko znam
i tylko nigdy nie mam nic!"

I wędrowcowi ponad skroń
zaświszczał wiatr, mówiący doń:
idź dalej... dalej... dalej!...

PIEŚŃ O BOHATERZE.

Czy wiecie, kogo w swoją śmiertelną godzinę
odpychał precz rękami, w których już stygnącą
czuł krew? Myślicie może: strachu widmo sine?
Rozpacz, skrzydłami kruka w oczy mu bijącą?
Jawiącą się przed duszą wiarę, czy niewiarę?
Nie — on odpychał inną, bladą, cichą marę...

Odpychał precz to widmo, co na duszę wkłada
trupie ręce, a na kim stygmat swój wypali,
już ten jest jako żóraw, co z pod nieba spada,
tak zmęczony, że zginie, a nie leci dalej;
odpychał precz rękami owo widmo szare,
ciche, nieme — odpychał rezygnacyi marę.

W ostatniej chwili cóż mu ta, czy owa w głowie
myśl? I bohaterskiego już dokonał czynu —

ale dotąd był jako zemsty aniołowie,
czynem zabłysł jak słońce, krwią jak Bóg dla
[gminu —
I z tej walki w ostatniej śmiertelnej godzinie
nic nikomu nie przyjdzie — za minutę zginie.

Przecz więc walczy? I czemu poddać się tej myśli
nie chce, co mu się gwałtem we rdzeń duszy
[wdziera?
Już żołnierze lufami karabinów błyśli—
czyż to nie wszystko jedno: jak człowiek umiera?
Któż weźmie z tego korzyść, że wzniesione oczy,
a nie do ziemi wbite, śmierć czarna zamroczy?

„Rezygnacya jest życia mądrością jedyną!“ —
woła mu rozum ludzki z wagą rzeczy w dłoni;
„Zrezygnuj i umieraj, jak tysiące giną!“ —
głos mu tej powszechności ponad czołem dzwoni,
co jak sęp za zgnilizną, poluje za żerem
w duszy ludzkiej — lecz on był ze krwi bohate-
[rem,

nie z przypadku. Teraz wy, co mu usypiecie
kopiec w sercach za jego ofiarę i ową

przed lufami postawę posągu, nie wiecie,
kiedy on rzeczywiście bił o chmury głową — —
tamto — to był lot orła, co nad góry płynie,
to — to jest ten lot orła, kiedy z oczu ginie.

HERAKLES.

Przez stepy szedł Herakles, niósł maczugę z drze-
[wa,
a w kędziorach mu bujnych wiatr świszczący śpie-
[wa
i o bary szerokie bije, jak o skałę.
Słońce mu promieniało na piersi wspaniałe
i nogi by ze spiżu. Szedł młodzieńczej krasy
i chwały pełen, wielbion przez rzeki i lasy,
góry i morza sine, syn Zewsa straszliwy —
li mu nie dostawało na kark ze lwa grzywy.
Idąc w step, myślał w duszy: „Daj mi, Boże Panie,
jakie w tej pustce wielkiej ogromne spotkanie,
bo serce moje pragnie boju, walczyć żądam!
Jestem młody i mocny! Niech w oczy spoglądam
larwom ogniem ziónącym, lub hufiec tytanów

na mej drodze, niebieski mój ojcze, zastanów!
Jestem młody i młodość podnosi krew moję!
Jestem mocny — jak burza na obłokach stoję,
chcę walczyć! Walka, boje są pracą młodości!
Płomienna lawa w mojej przetacza się kości,
i dnia jednego nie chcę mieć w pamięci, stary,
w którym nie pokonałem, w którym moje bary
nie zadrżały zwycięstwa dreszczem, kędy więcej
jest rozkoszy, niż w dreszczu na piersi dziewczęcej.
Na tom zrodzon, by walczyć. Gdzie oko me sięga,
potwór się za potworem przeciw mnie wylęga,
i wdzięczny-ć jestem, Zewsie, za owe wyrody,
bo gdybym nie miał walczyć, cóżbym robił, młody?
Młodość w walce strawiona, w lesie i w pustyni,
męża słupem bronzowym i półbogiem czyni".
Gdy tak mówi, aliści z piaszczystej uboczy,
ogonem boki bijąc, lew olbrzymi kroczy,
cień potworny wlekący. Gdy ujrzał człowieka,
stanął, krwawą mu złością wraz oko zacieka,
zjeżył grzywę i z piersi zły pomruk wyrzuci,
jak grzmot z chmury, zajadłej oznajmienie chuci.
I zaśmiała się w szczęściu młoda pieśń herosa,
ruszył naprzód, odważnie natarł na kolosa,
maczugą łeb mu trzaska, a gdy lew pazury

i kły weń wbił, że grube krwi spłynęły sznury,
i gdy od lwiego trupa cały we krwi swojej
szedł znój spłókać i rany obmywać u zdroi
i w spiekłe walką usta czerpać z nich ochłody:
cieszył się, że lwa spotkał i z lwem walczył, młody.

STAŁY W KRÓLA RAMZESA OGRODZIE...

Stały w króla Ramzesa ogrodzie, wśród lwów ka-
[miennych i lwic,
dwa w różanej alei posągi: bogini i bóg —
bogini cudna jak brzoza biała i senna z nad wód,
która oczy wzniesione miała w głęboką gdzieś dal,
i bóg, który miał w ręku berło, owite we bluszcz.
I przychodziły dziewczęta, gdy słońca prażył je żar
i kiedy żądzą rozpalał tajnię wspaniałych ich biódr,
i brały boga w ramiona, cisnąc mu usta do ust
i krwi szukając w nim żywej, jak ich, bijącej w nim,
[krew.
Lecz gdy cicha noc zeszła, naówczas — naówczas
[ten bóg

w króla Ramzesa ogrodzie, wśród wonią śmiertel-
[nych aż róż,
cień swój z berłem bluszczowem ciskał bogini do
[stóp,
która oczy wzniesione miała w głęboką gdzieś
[dal — —
i czekał — czekał na grom, co nie przychodził
[weń bić!

ŻEGLARZ.

Śpiewajcie, złotołuskie wodnice, powracającym że-
[glarzom!
Oto wracają do was, błąkawszy się długo w ogro-
[dach...

Serce ludzkie często miewa sny —
mówi komuś: tak, to jesteś ty —
a naprawdę co tkwi w sercu tem,
było tylko jego własnym snem...

Co ty myślisz? Cóż obchodzi mnie?
Jam sam kładę myśli w czoło twe,
a tych myśli, co tam lgną się snuć,
ty mi nie psuj i ty mi nie brudź!

Z serca ból to i wyznać nie wstyd:
W legendowy kogo zmienić myt,
w cud go zakląć, przeistoczyć w czar,
a on urok własną ręką zdarł!

Cóż mi z tego, że na polu dzień,
jeśli w mojej celi leży cień?
Cóż, że jabłoń mą okwiecał kwiat,
jeśli złodziej z niej owoce skradł?

Ty nie żyjesz, lecz na grobie twym
w twoim kształcie stanął blady dym,
i spogląda ciągle w moją twarz
twojej śmierci nieśmiertelna straż.

W trumnie twojej, gdym cię do niej kładł,
Wszystkom zamknął, cały jeden świat,
tylkom tego nie przeczuł, że z niej
wyjdzie pamięć — w oczy patrzeć mi...

Było wszystkiem — niczem nie jest już,
wolny płynę het na pełnię mórz,
tylko oczy moje z głębi fal
w przeszłość zwraca cichy, prosty żal.

Jeszcze nasze piersi słodkie są, jak grona winne!
Pójdź! tobie trzeba odmętu — spluń! żagiel twój
[rozwiń na wiatr!

ALPEJSKA PALMA *).

Cudowny Alp wysokich świat!
Cudowna, dzika okolica!
Na lody blask czerwony padł
i z wierchów białych się wyświeca,
co, jakby złotą krasne rdzą,
w przejrzystem, modrem niebie lśnią,
a kędyś w dole lodozwały
zbłysłą zielenią odegrały.

Pusto — ni orzeł w nieba tle
nie zakołysa się w okręgu;
żarami tylko niebo wre
na niezmierzonym widnokręgu,

*) Wiersz ten, zacząwszy od tytułu, jest wiernem spisaniem snu.

i nic nie widać, oprócz skał,
pasmo za pasmem, z wału wał
śniegowych kopic w bezmiar płynie,
jak kry spiętrzone w mórz głębinie.

Wewnątrz, wśród szczytów, z których w strop
Matternhorn strzela: skrzą się lody,
z przełęczy, z urwisk, z dolin, z kop
przecudnej świeci blask pogody,
i uroczystej ciszy dzwon
napełnia przestrzeń górskich łon
i zda się płynie po uboczach
nad wierchy — w nieba brzmieć roztoczach...

Tam strzelec pnie się — — dziwny dziw!
gdy pod kozice się podkradał,
z lutego trudu ledwie żyw:
dziwny do niego głos zagadał, —
jakby dziwica, jakby szum
potoku — — stanął, stopą rum
kamieni strącił — pierzchło stado,
on stał i słyszał z twarzą bladą,

jak mu ów tajny mówił głos:
„Masz zerwać palmę Alp złocistą,

od tego twój zależy los..."
I w oczach błysło mu rzęsisto,
jak od świec setki — było to
w południe; zaraz strzelbę swą,
torbę i kij położył w bok
i jął się piąć pod góry stok.

A pnąc się, myślał: „Jakom żyw,
o palmie-m Alp nie słyszał wcale!
Co też to może być za dziw
i kędy rośnie? Albom w szale
i dałem dyabłu gwizdnąć w słuch,
albo mię dobry zwodzi duch,
aby mi jakieś odkryć cuda...
Pnijmy się — może się i uda..."

Dlaczego piął się — nie wie sam —
moc jakaś pcha go ponad siebie;
ze złamu dźwiga się na złam,
lodem się wślizga, w śniegu grzebie —
i coraz wyżej, wyżej, wzwyż,
aż w wiecznych wstąpił okrąg cisz
i uznojoną wtopił głowę
w zachodu łuny purpurowe.

Tam nic wokoło nie miał już,
tylko na skale uczepiony,
jak ów pomurnik, ptaszę zórz,
wiecznie u szczytów: śnieg czerwony
i ponad głową lity lód,
skąd przeraźliwy wionął chłód,
i niebios kopuła bez końca,
przejrzysta, czysta, cicha, lśniąca...

„Alp palma — myślał — Bogu dzięk!
Pnę się już godzin ze sześcioro,
wdrapałem się, aż spojrzeć lęk,
a dyabli mię z pragnienia biorą — —
kędyż, u kata, rosnąć ma
ta palma, co mię po nią gna
jakoweś licho, nie wiem po co?
Kędyż się jakie liście złocą?

Śnieg, lód i słońce skrzące tak,
że oczy, zda się, het wypraży,
pusto — tu nawet żaden ptak
wylecieć z dołu się nie waży —
i po co? wszak tu tylko śnieg...
Słuchajmy — — nie — nic... Czym się wściekł

wspinać się tu? Jak się wrócę,
gdy słońce zginie w skalnej luce?...“

I dreszcz go przejął; z popod nóg
bezdenna przepaść w górę ziała — —
póki szedł, nie miał czasu dróg
przezierać: moc go jakaś pchała —
teraz go przeszył dziki lęk,
wbił buty w śniegu zwisły zmiękł
i przywarł piersią do skał ściany,
śmiertelnym potem cały zlany.

„Zlecę!“ — pomyślał... Już go dłoń
ujmuje górskiej Matki-Śmierci —
pociągnie — wstrząśnie — Boże chroń!...
Już mu się owad w serce wierci,
co niewidzialny czyha z nór,
gdy tylko strach oplącze gór
i na swych bladych skrzydłach goni
zabłąkanego w skalnej toni.

I już go skała od się prze —
dostaje tysiąc rąk okropnych —
odpycha — w dół się cała gnie,

podcina opad śniegów kopnych;
już w bezdni świeci jasny mrok,
szkliwem tumani błędny wzrok,
rozchwiewa góry, niebo schyla,
słońce zatacza — — jeszcze chwila...

„Jezus, Maryja! Runę! Ach!“ —
drży strzelec, wtem się głos odzywa:
„Kogo obejmie Niemoc, Strach,
alpejskiej palmy ten nie zrywa!
A czyś to baba?! Dalej wprzód!“
Strzelec ściął usta, zaparł but,
wbił palce w szpary wystające,
dźwignął się — głową błysł pod słońce!...

Tam, jak olbrzymi lśnił się głaz
szmaragdu: lodu zrąb pod szczytem,
a z jednej z jego rys i skaz
wyrosło z kwieciem złotolitem
ziele — łyskliwe, jak ze szkła,
i w lekkim wietrze gra i drga —
łodyżki lila, listki z błony,
jak ważki mają, uzłoconej.

Zaś kwiatki, jako złota śniedź,
guziczki złote ze złotemi
ząbkami wkoło... Okiem śledź:
nie znajdziesz takich w całej ziemi!
I tak to rosło w górze tam,
mały kwiateczek złoty sam,
a wokrąg śniegi i pustynie,
w których wzrok, jak duch w śmierci, ginie...

Zdumiał się strzelec, a zaś ów
głos, co doń mówił na polanie,
ozwał się nad nim zkądciś znów:
„Urwij kwiat jeden! Niech się stanie!
Na serce włóż i na dół schodź!"
Tak zrobił strzelec, poczem, choć
straszliwa przepaść patrzy w oczy,
skiełznął i stanął na uboczy.

Teraz już wichrem jechał w dół
przez jakąś poniesiony siłę —
śnieg mu się kłębem z pod nóg suł,
przez ściany, jako ścios pochyłe,
leciał — zatracił w głowie sens —
pył srebrny uwisł mu u rzęs,

nie widział wcale, kędy leci —
niosło go — dobrze — niech Bóg świeci!

Aż gdy się znowu znalazł, skąd
podkradał się pod kozic stado,
ostry ponad nim powiał prąd
i głos rzekł: „Śmiali szybko jadą!
A teraz, gdyś ów urwał kwiat,
idź, z czubem zanurz się we świat
i powiedz, czy cię co przestraszy
po tej wędrówce jeszcze naszej?

Raz w życiu winien każdy z was
alpejskiej palmy zdobyć kwiecie,
abyście potem jako głaz
byli na wszelki trud na świecie!
Raz dokonany męstwa cud
w żelazny pierś zakuje lód,
i kto raz w życiu był ze stali,
do końca ten się nie powali!

Więc, bohaterze, idź na świat!
Przestań polować skalne capy!
Tam ciebie czeka Trud, mój brat,

i siostra Troska chwyci w łapy!
Lecz ty, alpejskich zwiedzacz palm,
dziadom załosny zostaw psalm,
a sam, jak rycerz z świętym chrzestem,
trudom i troskom powiedz: jestem!..."

Z ILIADY.

Z PIEŚNI XIV.

Hera zaś, z pod Olimpu lecąc podobłoczy,
Pierji, Emathei kraj przejdzie uroczy,
pędzi ku śnieżnym szczytom Thraków, co bystremi
toczą końmi, a nie tknie stopą skał, ni ziemi;
z gór Athosu na falę mórz skiełznie grzywiastą
i w boskiego Thoanta wejdzie Lemnos miasto.
Tam spotkała Sen, śmierci brata rodzonego,
chwyta go za dłoń dłonią i mówi do niego:
„Śnie potężny, co rządzisz i bogiem i człekiem,
wysłuchaj mnie, jak nieraz, a będę ci wiekiem
wdzięczna, ale mi zagaś skry w Zeusowem oku,
skoro tylko w miłości legnę mu u boku.
Krzesłem cię wiecznotrwałem obdaruję złotem,
syn mój kulas, Hefajstos, urobi je młotem,
a jeszcze ci podnóżek sprawi, jak należy,

byś jasne na nim stopy oparł przy wieczerzy".
Sen słodki w odpowiedzi tę rzecz do niej czyni:
„Ogromnego Kronosa córo i bogini
najstarsza, gdybyż z bogów wiekuistych roków
innego, choćby ojca źródeł i potoków
Okeana, co wszystkim jest za łono iste:
łacno uśpię, lecz Zeusa Kronidę zaiste
podchodzić, ni go uśpić ja się nie poważę,
chyba, że mi to on sam powie i rozkaże.
Bowiem innym już czasem dostałem z twej rady
naukę, gdy ów Zeusa syn szerokowłady,
zniszczywszy Troję, odbiegł ilijskich wybrzeży.
Wtedym to uśpił Zeusa, co egidę dzierży,
spłynąwszy nań łagodnie, a ty znów tamtemu
klnąc, rozpętałaś skrzydła wichrowi morskiemu
i gnałaś go pod Koos, ludne miasto, druha
wszelkiego podal; Zeus zaś wściekłym gniewem [bucha,
zbudziwszy się, bogami po domu rozmiata,
mnie przed innymi szuka, i z jasnego świata
byłby mnie, krusząc, w morskiej pogrążył otchłani,
lecz mnie Noc ocaliła, bóstw i ludzi pani.
Do niej zbiegłem, zaś on się wstrzymał, choć po- [żarny

był gniewem, bo się lękał iść wbrew Nocy czarnej.
Ty zaś na to nieszczęście namawiasz mnie z nowa".
Wielkooka, dostojna Hera w te mu słowa
odpowie: „Przecz tak sądzisz, Śnie? Czy ci się roi,
że z takiem dziś zawzięciem Zeus pomaga Troi,
jak o Herakla gniewem szalał, pęd krwi swojej?
Pójdź oto, ja zaś tobie dam jednę z Charytek,
najmłodszą, abyś przy niej pędził czas twój wszytek".
Tak prawi. Uradował się Sen i odrzecze:
„Poprzysięgnij więc na Styks, co przeczysty ciecze:
jedną ręką się uchwyć wszechżywiącej ziemi,
drugą połóż na morzu z falmi błyszczącemi,
aby nam wszystkie bogi podziemne, co kręgi
tworzą koło Kronosa, były do przysięgi,
że twą sprawą najmłodsza z Charyt przyjdzie do [mnie,
Pazyteja, za którą tęskniłem ogromnie".
Rzekł. Śnieżnych ramion Hera mu się nie przeciwi,
wszelkimi bogi się zaklnie, jacy tylko żywi
w otchłani są Tartaru, a zwą się Tytany.
Potem zaś, gdy przysięgi węzeł był związany,
od Lemnos i od Imbros odlecą w obłoki
skryci, aż dotrą Idy, obfitej w potoki
i zwierze, oraz Lektos, gdzie morze opuszczą,

potem suną pod stopą chwiejącą się puszczą.
Tam Sen przed oczy Zeusa już dalej nie idzie,
lecz na jodłę najwyższą, co wtedy na Idzie
wyrosła i eteru sięgała z chmur więzi,
wyszedł i siadł w gęstwinie splecionych gałęzi
i w kształt się piskliwego ptaka przyobleka:
Chalkis zwie się u boga, jastrząb u człowieka.

. . . .

Rzekł jej chmury wiążący Zeus potężny: „Boga
ani człeka się lękaj, Hero, taka mnoga
złota mgła nas otoczy, że nie dojrzy ciebie
sam Helios wszystkowidny, najświetniejszy w nie-
[bie".

Rzekł i ścisnął w objęciach swą żonę Kronida:
boska ziemia pod nimi młode trawki wyda,
zakwitnie wnet lotusem rośnym i szafranem
i wonnym hyacyntem za łoże pod panem.
Legli, chmurą się gęstą, piękną i złocistą
kryjąc; rosa z jej łona perli się przejrzysto...

Z PIEŚNI XXIV.

Oni zaś, gdy Ilosa grób po boku minęli,
konie swoje i muły uździenicą zdzierżeli,
by je w rzece napoić; mrok się ziemią roztoczył
dawno. Wówczas Hermesa keryks zblizka już
[zoczył
i rzecze do Priama: „Dardanido, człowieka
widzę, lękam się wielce, czy nas zguba nie czeka?
Nie wiem: zali nam lepiej wozem uciec mu z drogi,
czy o litość go błagać, obejmując mu nogi?"
Tak powiedział, zaś starca lęk pozbawił wnet siły,
stanął w trwodze, a włosy wszystkie się mu zjeżyły,
ale Hermes się zbliży i za rękę go chwyta,
i życzliwie się ozwie do staruszka i pyta:
„Dokądże to, mój ojcze, wiedziesz muły i konie
ambrozyjską śródnocą, gdy człek każdy w śnie
[tonie?

Czyż nie lękasz się gniewu i zajadłej ochoty
Greków, coć są tak blizko? Gdyby śród tej ciemnoty
wiozącego te skarby zoczył ciebie kto z męży,
cóżbyś począł? Podeszły wiek na barkach ci ciężу,
a za stary i druh twój, by ci służyć za tarczę.
Ale ja nic ci złego nie uczynię, o starcze,
owszem, innych odeprę, boś jak ojciec mi drogi".
Rzekł mu na to Priamos, co mógł równać się
[z bogi:
„Wszystko to jest, jak mówisz, moje dziecko, atoli
widzę, że się bóg któryś ulitował mej doli
i pozwolił mi spotkać towarzysza podróży
pięknych kształtów, jak twoje, zaś i rozum mu
[służy.
Szczęśni twoi rodzice. Zatem w drogę mię powiedź!
Argobójca usłużny taką dał mu odpowiedź:
„Staruszku, coś powiedział, wszystkoś rzekł spra-
[wiedliwie,
lecz mi teraz opowiedz i wytłomacz prawdziwie,
czy wywozisz te skarby mnogie w obce gdzieś
[strony,
by ocalić choć tyle, czy też świętej Iliony,
wszyscy strachem przejęci, gród warowny rzucacie
po pierwszego śród mężów, syna twego, utracie?"

Bogom równy Priamos tak mu na to poczyna:
„Któż ty jesteś, najlepszy, kto cię rodził, że syna
nieszczęsnego mojego zgon wspominasz tak
[ładnie?"
Argobójca zaś znowu w te go słowa zagadnie:
„Przez boskiego Hektora chcesz mnie starcze
[doświadczyć.
Często własnym mym wzrokiem mogłem mu się
[napatrzyć
podczas walki zaszczytnej, lub i wtedy, gdy w nawy
szybkie pędził Argejów, przeraźliwy i krwawy.
Stojąc zdala, mężowi każdy z śród nas się dziwił.
Na Atrydę bo zgniewan, walczyć nam się przeciwił
Achill. Jegom pacholę i na jednej tryerze
z nim przybyłem. Do szczepu Myrmidonów należę,
ojcem zaś mym Polyktor, człek zasobny, a biały
starzec, jak ty, staruszku; siedmiu synów mu dały
nieba, a jam ostatni; los mnie iść tu przeznaczył.
Teraz w rówień od statków zbiegłem, abym zobaczył,
jak ze świtem do szturmu na gród pójdą Achaje
śmiałoźreniczni; już im cierpliwości nie staje
dłużej zwlekać, ni mogą ich achajscy książęta
wstrzymać więcej, tak wre w nich żądza walki
[zawzięta".

Bogom na to podobny tak mu Priam odrzecze:
„Jeśliś ty jest Pelejdy Achillesa, człowiecze,
giermkiem, tedy cię wzywam, byś mi mówił, a śmiało:
jestli dotąd przy statkach syna mojego ciało,
czy też w części pocięte Achill cisnął robakom?"
Argobójca usłużny dał odpowiedź mu taką:
„Jeszczeć go psy i ptaki, mój staruszku, nie zżarły;
przy okręcie on leży Achillowym umarły
a nietknięty, jakoby spał w namiocie; już dnieje
dzień dwunasty; nie gnije on, ni szpetny go nie je
robak, który pobite wojowniki roztoczył.
Wprawdzie tamten okrutnie koło grobu go włóczył,
druha drogiego, zanim boska jutrznia wybieży,
ale go nie zbeszcześcił, i jak ze krwi tam leży
obmyty i świeżutki, na własne mógłbyś oczy
ujrzeć, gdybyś tam przybył; żadna rana nie broczy,
wszystkie zwarły się, które oręż zadał mu mnogi.
Tak to synem twym dzielnym opiekują się bogi,
nawet gdy trupem poległ; wielceć był on im drogi".
Tak rzekł; na to z uciechą odparł Priam mu stary:
„Zaprawdę, dziecko, dobrze bogom dawać ofiary,
toż przenigdy mój chłopak, jeźlić miałem go, bogów
nie przepomniał Olimpu, zanim wyszedł z mych
[progów.

Umarłego też nawet raczą w pieczy swej chować.
Ty zaś piękny ten kielich przyjmij w darze i pro-
[wadź,
nim namiotu Pelejdy nie dosięgnę już zdrowy".
Usłużny Argobójca rzekł takiemi mu słowy:
„Jak młodzika mnie, starcze, kusisz, jednak nie
[skłoni
nic mnie, bym za Achillem dar przyjmował z twej
[dłoni.
Ja zaś jego się boję i w mem sercu się trwożę
skrzywdzić go, bo nieszczęście później spotkać
[mię może.
Aż pod Argos przesławne z tobą, czy to piechotą,
czyli w łodzibym ruszył, strzegąc ciebie z ochotą;
a nikt mojej opieki lekce ważyć nie będzie".
Tak powiedział Erunios i na wozie usiędzie,
szybko batog pochwyci, dobrze lejce w dłoń
[zbierze,
w członki mułom i koniom dzielne siły tchnie
[świeże.
Gdy zaś doszli pod basztę i strzegące naw wały,
warty koło wieczerzy właśnie tam się krzątały;
ciężkim ich Argobójca snem usłużny wnet zmorzył,
potem rygle odmknął i wrzeciądze otworzył,

wwiózł Priama i pyszne dary na wóz złożone.
Kiedy zaś przyjechali pod namiotu osłonę
Pelejdową wysoką — Myrmidoni dla pana
z okrzesanych ją smreczków zbudowali; związana
była strzechą z włosistej trzciny, której dowoli
na moczarach nasiekli; panu swemu zaś gwoli
urobili komnatę z pniów, spojonych dokładnie,
okolistą, obszerną; we drzwi zapór się kładnie
ze smreka, który we trzech zasuwali Achaje,
również zapór trzem tylko wypchnąć z bramy się
[daje,
sam atoli Achilles samoręcz go odkłada —
otóż Hermes — opiekun go odsunął dla dziada,
wewiózł dary wspaniałe dla Pelejdy biegacza,
z wozu skoczył nareszcie i tę mowę roztacza:
„Starcze, oto ja Hermes, bóg wieczysty, z wyroku
ojca strzegąc cię, aż tu dotrzymałem ci kroku,
zaś się wrócę niechcący jawić się Achillowi,
nie przystoi to bowiem wcale, aby człekowi
dopomagał tak jawnie który pomiędzy bogi.
Ty zaś wnijdź do namiotu i, podjąwszy pod nogi
Pelejdę, proś przez ojca, matkę pięknokędziorną
i przez dziecko, byś duszę w nim ubłagał oporną".

Tak rzekłszy, szedł na Olimp, Priam zasię z po-
[wózki
zstąpił, dając od koni i od mułów powrózki
Idajowi, i sam się ku domostwu skierował,
gdzie się Achill, Diosa ulubieniec, wczasował.
Zastał go z dwójmi z druhów, co opodal siedzieli:
Automedon bohater i Alkim, co się dzieli
z Aresem chwałą wojny; właśnie skończył był picie
i jedzenie. Na stole stało jeszcze nakrycie.
Niedostrzeżon wszedł stary Priam i w dłonie
[zblizka
ujął nogi Achilla, do rąk usta przyciska
groźnych, mnogiem splamionych synów jego stra-
[ceniem.
Równie jako zabójca, co pod zbrodni brzemieniem
popełnionej w ojczyźnie, u obcych szuka ludzi
schrony w domu zamożnym, a dziw jawą swą budzi:
boskiem widmem Priama zatrwożył się tej chwili
Achill, drudzy też w trwodze współ się wzrokiem
[zmierzyli.
Wtedy Priam, błagając, tak odezwie się: „Bogu
Achillesie podobny, pomnij ojca, u progu
nieszczęśliwej starości tak jak ja stojącego!
Może wkoło sąsiedzi gnębią także i jego,

a niema, by kto chronił od grozy go płaczliwej.
On zaś kiedy usłyszy, żeś ty jeszcze jest żywy,
cieszy się i z dnia na dzień żywi w duszy nadzieję,
że do syna z pod Ilium wrotnego się zaśmieje...“

ZBROJA ZAWISZY.

A kiedy się zabierała wyprawa krzyżowa,
przyszedł Czarny Pan Zawisza Sulimczyk z Gar-
[bowa
do płatnerza sławetnego krakowskiego cechu,
co w fartuchu stał i z młotem, arcymistrz od mie-
[chu;
który witał go pokłonem, znał rycerza z twarzy,
zaś Zawisza mu na ramię rękę sparł i gwarzy:
„Słyszałeś to, bracie, o tem, że cny król Jagiełło
wbrew rycerzom pod krzyżami krwawe podjął dzieło;
już poluje het po puszczach i zwierzynę bije,
aby miało jeść co wojsko, gdy dźwigną kopije.
A gdy zdala u cesarza rzymskiego na dworze,
gdziem w estymie był okrutnej i w srogim honorze,
posłyszałem, że się Polska do boju porywa,

wrazem jechał, aby łańcuch nie był bez ogniwa.
Uróbże mi, proszę, bracie, zbroję, jak się patrzy,
nową zbroję na bój święty, od tego nie gładszy,
jaki ze mną Aragonu król Jan niegdy zwodził,
a któregom wyparł z siodła, ledwom go ugodził.
Ma być zbroja hartowana z grubej w plecach bla-
[chy,
abym ciężki był na koniu, jak krakowskie gmachy;
ma być zbroja szmelcowana, bym jak miesiąc lśnił
[się,
by poznali, gdzie Zawisza i kędy on bił się".
Gdy powiedział tak, zaraz się mistrz zabrał do
[pracy,
kazał sobie dać do miechów dwóch tęgich duchacy,
by dmuchali wiatr na węgle, a sam miarę bierze,
by Zawiszy postać zmierzyć. „Mierz, bracie,
[a szczerze —
mówi rycerz — bom ci to ja nienawykły ciasno;
lubię słyszeć brzęk zbroicy, gdy ją stalą głasną,
i jest dla mnie to niemałą, płatnerzu, uciechą,
gdy mi dźwięknie między zbroją a sercem, jak
[echo.
Już też długo Krzyżak polskie pogranicze derbił,

czas, by mu się na łbie twardym polski miecz wy-
[szczerbił;
wstanie Polska, jak lew z leży, i mocna i mściwa,
więc mi kuj zbrój, aby łańcuch nie był bez ogniwa.
Ma być zbroja hartowana z grubej w plecach blachy,
abym ciężki był na koniu, jak krakowskie gmachy,
na ramiona kuj mi grubo, bym, gdy się zamierzę,
taki ciężar miał u miecza, jak z kopalń mincerze;
grubo kuj mi zbrój na uda i nagolenniki,
bym parł konia, jak kra drzewo, kiedy runę
[w szyki,
li na piersiach kuj mi cieńko, cieńko, jak opłatek;
niechaj będzie stal tak cieńka, jak lilii płatek,
jako lilję kuj od przodku, bym też za ojczyznę,
jeśli Niemiec to potrafi, wziął na piersiach bliznę".

ELEGIA NA ŚMIERĆ CZARNEGO ZAWISZY.

U Dunaju, u szerokiej rzeki,
stanął cesarz z wojskami licznemi.
O! jakiż świat daleki
do swojej ziemi...

Cesarz Zygmunt, z Luksemburga pan,
przy nim panów i rycerzy wian.

O! jakież smutne są przeczucia duszy...

Tak zaporą legli Turkom wbrew,
z Luksemburga cesarz Zygmunt, lew.

Przy nim panów i rycerzy mnogo,
z których każdy kopię w boju kruszy.

O! jakże srogą
jest melancholia duszy...

Oblegali miasto, przed sułtanem,
lecz on przyszedł z wojskiem chorągwianem.

A gdy wojsko sułtana ujrzeli,
wartownicy do pana bieżeli;

do Zygmunta, rzymskiego cesarza,
wszystkich Niemców pana i mocarza.

Zląkł się Zygmunt i jego rycerze,
choć się każdy zdał życiem ofiarny;
wszystkich blady lęk za włosy bierze,
ale nie zląkł się Zawisza Czarny.

O świtaniu uciekała rzesza,
cesarz Zygmunt dumny i dostojny — —
od Dunaju wstecz wojsko pośpiesza,
każdy rycerz ozdobny i zbrojny;
z schylonemi wstydem na pierś głowy
uciekają przed strasznemi łowy
rozpędzonej poza nimi wojny.

Jadą, jadą o świtaniu słońca,
lecz to słońce na plecy im świeci,
na ich plecach lśni blacha błyszcząca,
lecz Zawisza został samotrzeci.
Dwaj pachołcy przy nim pozostali,
prości ludzie, ubodzy i mali,
ze zagrody wyszli polskich kmieci.

Tak samotrzeć Zawisza pozostał,
nie by dufał, aby wrogom sprostał,
bowiem wiedział, że nie jest człek święty,
którym Pan Bóg posyła anioły,
ale znał się w rycerstwie poczęty
i czcił miecz swój, ogromny i goły.

Zląkł się Zygmunt i jego rycerze,
choć się każdy zwał życiem ofiarny,
wszystkich blady lęk za włosy bierze,
ale nie zląkł się Zawisza Czarny.

Ani mu to cnota, ni nadgroda,
ani mu się cześć za to należy;
nie znać lęku jest dusza rycerzy —

to tak kwitnie, jak kwiat wśród ogroda,
gdy posiany, oplęt, podlewany —
to rzecz zwykła, nikt się nie cuduje...

Któż się dziwi, kogo Bóg werbuje,
że ten kroku nie dał przed pogany?...

Ach! Jak smutną jest duszy zaduma,
gdy nad głową nieszczęście łopota...
Ach! Jak gorzką jest duszy tęsknota,
gdy w świat cały z nikim się nie kuma...
Ach! Jak ciężką jest samotność duszy,
gdy się wszystko koło człeka łamie...

Ach! Jak zwisa zbezwładnione ramię,
gdy się serce w piersiach z żalu kruszy...

Ach! Jak strasznie czuć jest opuszczenie...
W puste serce wąż bólu się wsuwa,
i żelazną obręczą je skuwa
krew mieniące, zabójcze milczenie...

Ach! Jak twardo głucha ziemia jęczy,
gdy samotna stopa ją uderza — —

którą oko samotne przemierza,
jak posępna jest ta glorya tęczy...

Ach! Jak smutnym jest żywot człowieka,
który nadrósł ludzkiego żywota — —
pozostaje mu tylko tęsknota — —
ani wzywa kogo,ani czeka,
ni spodziewa się, ku komu dąży,
żal się przed nim sunie, jak chorąży,
i nad głową widzi próżnię świata,
w gwiazdy sianą bezdenną kopułę;
jego serce więdnie, jak kwiat czułe,
i liść śmierci nad sobą zaplata...

Nieprzyjaciel to k'niemu nie dąży,
nie ma nazwy dlań wrogów nawała —
on tu stoi: trwałości chorąży,
pan swej duszy, władca swego ciała,
ślubowany sam sobie i wpięty
w własne koło swego przeznaczenia,
ani wrogi, śmiały, ni zawzięty,
tylko rycerz...
Na miecz swój spogląda,
miecz ze stali kuty i z płomienia,
krwią nabrzmiały, chociaż krwi nie żąda.

W złem przeczuciu na miecz swój poziera,
bije trwogą serce bohatera.

I powiada sam w sobie: o mieczu,
zaliś nie jest ty w Polsce ostatni?

Będą, będą rycerze szkarłatni,
lecz czy ciebie nie będą w odwieczu
wspominali — żeś był miecz ostatni?

I czy będzie jeszcze w Polsce ręka,
która taki, jak mój miecz, podniesie —
czy się serce polskie nie zalęka,
że się zbłąka w mych wawrzynów lesie?
Czy na taką potęgę i chwałę
będzie serce w sumieniu dość śmiałe?

O mój mieczu, o mieczu mój krwawy,
zaliś nie jest ty w Polsce ostatni?
Będą jeszcze rycerze szkarłatni,
lecz nie będąż Hektorowej sławy?
O mój mieczu, w dalekim Dunaju
utopiony, stracony dla kraju...

Słyszę imię me w wieków rozłogu,
jak na turzym zatrąbione rogu,

płynie echem, lecz się nie uderza
o hełm niczyj, ni się od puklerza
niczyjego odbite nie wraca,
lecz się w echu, jak chmura, roztraca...

Jako z woru owsa, tak się sieje
ziarno z mego krwawego nazwiska
i na głowy spada i połyska,
ale w żaden się szyszak nie dzieje
i nikomu zeń kłosu na głowie
wzwyż tryumfu nie pną aniołowie...

O mój mieczu, o mieczu mój krwawy,
zaliś nie jest ty w Polsce ostatni?
Będą jeszcze rycerze szkarłatni,
lecz nie będzie już serc bez obawy,
serc bez lęku...

W świat zdaleka widno
Turkom Niemców ucieczkę bezwstydną.
Pan Zawisza do ołtarza wstawa
i z cichego wychodzi namiotu —
na miecz wsparta jego ręka prawa,
a twarz smutku pełna, nie kłopotu.

Cóż kłopotać się, gdy jedno czeka,
czyj duch nadrósł wgłębizny człowieka..

I poglądał na tych, którzy mali,
sami jedni przy nim pozostali;
proste chłopy polskie, hen ze Spiża
za starostą swym spiskim przybyłe —
patrzą śmiało, gdy się śmierć przybliża,
patrzą śmiało w otwartą mogiłę...

O maluczcy olbrzymiego ducha!
Oto jeden na ligawce dzwoni,
na ligawce górskiego pastucha,
drugi wsparł się na włóczni i słucha —
cóż w ich duszach? Kędy myśl ich goni?
Cóż w ich duszach?

O ten czas z nad borów,
z nad łąk mokrych na spiskiej równinie
wstaje opar czerwony i płynie,
zrąb Łomnicy słoni do połowy,
a ponad nim, w zarzewiu kolorów,
trzon jej czarny pod niebo się wspiera,
trzon ogromny, czarny, granitowy,
nakształt orła, co ziemię przeziera...

Ach! daleko!... Lecz tu, w świcie słońca,
czarny rycerz świeci jak Łomnica,
i tak oko tych chłopów zachwyca,
jak moc Tater nad nimi stojąca.

On ich zaklął w swój widok... Nad głowy
pan im Czarny rozpiął ręce obie — —
oto w jednym chowan będę grobie
z tobą, ludu... Mój miecz Achillowy,
który święte ciął na poły sprawy,
a nie poniósł nigdy podłej szczerby,
z wami legnie strudzony i krwawy,
i to będą rdzawe jego herby
dla was, chłopi, ta krew, co na czoła
z mego miecza wam spłynie anioła...

Dosyć! Konia małego!

Czy duchy?
Czyli perskie rozszalałe diwy?
Leci rycerz z postaci straszliwy,
nakształt ziemię rwącej zawieruchy;
pod nim konik brzuchem tyka ziemi,
on zaś stopy żelazem kutemi.

Za nim, włócznie wytężywszy, w białej
wełnie leci dwóch, poczet zbyt śmiały...

Świsnął arkan, nim dotarł pan Czarny,
z konia zerwan rycerz na powrozie — —

o! jakiż marny
temu los, co sam został w obozie...

O! jakże sroga
jest moc przeczuć złych, gdy śmierć nadchodzi...

Ukradł głowę Zawiszy spah złodziej
i do sułtańskiego niósł proga...

Bo za króla go wzięto — — że był
królem życia najsmutniejszych sił...

Arma tua fulgent, sed non hic ossa quiescunt,
Divae memoriae miles, o Zawisza niger!

(A to stało się u Szmiechyrowa
Hrada, w ziemi dalekiej Horwackiej;
tam największy poległ rycerz lacki,
będzie temu niedługo połowa

lat tysiąca, rok tysiąc czterysta
i dwadzieścia ośm. A tę rocznicę
czcić pomnijcie, bo to było święto
takie ducha, że niechaj korzysta
z tych dat naród, któremu w przyłbicę
pluto, z oczu otwartych podjętą!)

MICHAŁ ANIOŁ PRZED BRYŁĄ MARMURU, Z KTÓREJ WYKUŁ MOJŻESZA.

Palą się moje ręce, wre mój mózg i głowa,
nie więcej i nie skrawiej palił się Jehowa,
gdy stwarzał... Bryła głazu leży tuż przede mną
i nagina pod sobą w głąb skorupę ziemną,
tak ciężka...
Jak z nicości Bóg, dobędę z bryły
świat...
Jak z nicości Bóg...
Jehowo! Boże!
Szczęśliwy, gdy Twe Moce li w Twym Duchu
[tkwiły,
szczęśliwy, kiedyś krążył w niezmiernym prze-
[stworze

Sam jeden!...
O najwyższe, najcenniejsze słowo:
sam jeden! W ciemnej chwale płynąłeś, Jehowo,
podobny do kry z lodu na ciemni jeziora
pod mrokiem Alp... Sam jeden...
Bez jutra, bez wczora
w niezgłębionej wieczności...
Jako dąb na skale
nurzy się w chmur pomroce: nurzę się w tej toni...
Czemuś wyszedł z Nicości?! Jaki duch Cię goni,
że stwarzasz światło, światy? Czyś nie był
[szczęśliwy
sam jeden?... Jakie ognia pożarły Cię fale,
żeś stworzył?...
Oto leży głazu zimna bryła —
opieram dłoń — zadrgała — — już z niej
[wyskoczyła
kamienna, marmurowa zjawa, dziwo wieków —
dźwignąłem — nieludzkiego coś, dla ludzkich
[skrzeków
strawę, dla ludzkich skomleń strawę... Bohaterze!
Wstań!
Podźwiga się postać i kształt na się bierze
i patrzy na mnie wzrokiem królewskim olbrzyma —

oto ją moja ręka jak za uzdę trzyma
rumaka — nie uciekniesz! Ale mą zaklęta
wolą, staniesz w marmuru zakowana pęta,
dziwo wieków na wieków dziwo wiekuiste!
Staną w marmurze oczy twe gromem siarczyste,
staną w marmurze usta twe, pogardy pełne,
wkuję w marmur twej brody kędzierzawą wełnę,
poznasz prawo mej władzy. Przynoszący prawa —
niewolniku!...
Rozpiera mi się pierś oddechem —
każda myśl ma, jak orzeł, skrzydeł swych dostawa,
każda myśl ma, jak wystrzał, odebrzmiewa echem —
stwarzam!... Stwarzam z mej boskiej cudotwórczej
[mocy
jednem zaklęciem woli!... Jam ten, który z procy
walącego pod stopy młodzieńcze Goliata
kwiat ciała wyrwał z głazu, stworzył podziw świata!
Jam ten, którego ramion tytańskich potęga
chwyciwszy za bieguny sprzeczne widnokręga,
zegnie je i nachyli, nad głową pokłoni
niebiosy, kędy słońce i tysiąc gwiazd błyska!
Coraz nowe płomienie z piersi mej ogniska
biją, jako z wulkanu! A u mojej skroni,
jako się u jawora kołyszą konary,

gdy wicher w nie uderza: kołyszą się mary,
których widok mój własny szpik dreszczem
[przenika...
Nad mojem czołem rośnie taka bazylika,
której krzyż nizką ziemię połączy z błękitem
dumnem sklepieniem, Alpom podniebnym
[odbitem,
kędy się dzwon ich wichrów rozkołysać może— —
a w kopułę ja Boga, jak dzwon z miedzi, włożę...
Ludzkie mrówki...
Zasiadłem wyżynę nad niemi,
patrzę na nie i widzę — kłębią się na dole —
nie słyszę — ni nozdrzami, ni uszy mojemi
ni czuję ich, ni słyszę... Cóż mnie i cóż ziemi?
Bóg mnie stworzył, ja swój świat stworzyłem
[przez wolę!
Nie jestem w twoich ręku, o twórcza potęgo,
igraszką i zabawą, bańką malowaną
w kolory, jakie z słońca się na nią dostaną,
aleś ty właśnie dla mnie jest olbrzymią księgą,
której karty przewracam i z kart twych obrazy
przenoszę na mój pendzel i na moje dłuto;
czynię, co chcę, i znają kolory i głazy
mój gniew boski, gniew twórczy!...

Czemuż mnie przykuto
do ziemi? Czemuż dusza ma, pełna tęsknoty,
błąka się tak samotna, samotni spragniona?
Dlaczegóż we mnie serce zrywa się i kona?
Dlaczegóż, jak Laokon w wężowe oploty,
opleciony-m jest życiem?...
Ach! Jak nienawidzę!
Jak pogardzam bezdennie, przeklinam i szydzę!
Ludzie tam — — z ludzkiem życiem! Ich boje,
[ich sprawy — —
patrz tam! W górę!...
Cóż widzisz?
Cherubin jaskrawy!
Płomień, ogień, wir blasku... nie wytrzyma oko —
patrz tam, nad głowę swoją, na niebo, wysoko:
anioł złoty, olbrzymi — w ręce trzyma węże —
widzisz? Czy wzrok twój ludzki tych ogni dosięże?
Jako chmura olbrzymia z purpury i złota
rozpiął się na szafirze, ogniami migota — —
widzisz?
Nie zoczysz, nędzny!
Rzucałem się w lasy,
uciekałem przed tobą, gnałem Absalonem,
lecz tyś mi wszędzie drzewem zastąpił zielonem,

wieczną zielenią twojej obrzydłej trwałości;
chwytałeś mię za włosy, i ja, w dalekości
pędzący, zawisałem, jak chwycony w pasy
twój niewolnik!...
O siło bezsilna!...
Przed tobą
uciekam, jak przed wilkiem wściekłym. Gdzie ty
[stąpisz,
tam niema miejsca dla mnie, choć mi go nie
[skąpisz —
nienawidzim się! Gardzę twą całą osobą,
brzydzę się nią — ty wzajem na me dumne
[skronie
w górę plwasz, na lwa szakal, co się między płoty,
kędy lew rani boki, prześlizga nietknięty.
Patrzysz na mnie z ironią — płaz, nie nasiąknięty
wodą, gdzie postrzelony ptak z niebiosów tonie...
O! czemuż jestem wiecznej li pełny tęsknoty!...
Czemużem się nie zrodził z własnej myśli mojej?
Czemuż, kto chce mnie karmi i kto chce mnie poi,
i tak, jak niewolnika, może mnie przytroczyć,
i tak, jako Hektora Achilles, mnie włóczyć?
Dlaczegóż te dwa światy — ten mój, z mojej mocy,
podobny olbrzymiemu słońcu, i ten z nocy,

który zwie się mem życiem?...
Posągi stworzone
nie na rozmiar człowieka, lecz gigantów miarą,
ciała w spiżu kowane i dusze niesione
tchem wichrów; serca, w których ogień lasów gorze,
posągi — mą nadzieją, miłością i wiarą
wołane, abym wśród was, jako w głuchym borze,
obłąkał się, zapomniał, nie pamiętał...
Boże!
Dlaczegóż, jak z marmuru tego bryły oto
wyrwę kształt: z życia kształtu tak wyrwać nie
[mogę?!
Skrępowałeś mi rękę, związałeś mi nogę,
rzuciłeś między trupy, co mi piersi gniotą,
w cuchnące, zjadłe ścierwa, mnie, com się urodził,
abym głową po niebie, wzrokiem w słońcu chodził!

O Nocy! Niezwładana, czarna, śpiąca Nocy...

MICHAŁ ANIOŁ PRZED WYKUTĄ PRZEZ SIEBIE „NOCĄ“.

O cicha, śpiąca, niezgłębiona Nocy!
Czyś mnie zrodziła, czyś ty ze mnie wstała
w godzinę śmierci duszy, o północy?

Czy Bóg cię z mego wyprowadził ciała —
jak Ewę w raju wzwiódł z żebra Adama —
w gehennie życia, której słońce pała;

czyś ty, o Nocy, zrodziła mnie sama,
zmożona bólem krwawego porodu,
a mą kolebką jest Dantejska brama:

„Straćcie nadzieję wchodzący do grodu“?
O Nocy głucha! Twego snu tumany
są ciemną zorzą mojego pochodu...

O czem śnisz? Lodem zamarzły Szatany,
jeśli cię chciały snem ciężkim, o Nocy,
trwożyć: od mrozu twej myśli kowanej.

Ni snu takiego nie śnili prorocy
przed dniem pogromu wieszczby i płomienia,
ni spał tak w żalu gryzącym wszechmocy

Bóg, gdy zobaczył nicość wszechstworzenia;
jam snu takiego nie przeczuwał zgoła,
któryby snem był tak strasznym Milczenia.

Nad ziemią, światem i wszystkiem dokoła
zamilkła myśl twa — bo jakież jest słowo,
którem rdzeń nędzy istnienia zawoła?

Śpisz — ze schyloną skamieniałą głową....
Czyliś ty we mnie, czylim ja wcielony
w ciebie, o Nocy?!... Lecz gdybym osnową

takiej zamyśli mógł mózg mój szalony
opleść i cicho tak spać, jak ty, cicha,
z pozbawionemi serc podobna dzwony!

Czemuż mą duszę budzi ludzka pycha?
Czemuż tak nie jest, jak dyament lity,
który nic w siebie nie wsiąka, nie wdycha?

Dlaczegóż złota mego skarb odkryty,
na targu w cenie niżej miedzi pchnięty,
w brózdach mej twarzy płoni się wyryty?

Czemuż mej dumy kryształ zadraśnięty
na przestrzał oku rysą swą się zdradza,
miast, jako szafir, kryć się w barw swych męty?

Przecz na mej duszy osiada się sadza
upokorzenia, gdziem nie słyszeć winien,
kędy nie widzieć: wzgarda pierś rozsadza?

Dlaczegóż z żył mych, jak brud deszczu z rynien,
które świątyni gmach od gnicia strzegą,
który się zbrudzić nigdy nie powinien:

krwi mej wzburzonej fale w dół nie biegą,
lecz się, jak gajzer, wspinają do góry
i, prometejskim sępem serca mego

stawszy się, szarpią i w Kaukaz ponury
pędzą me serce, jak Prometeusza,
ażebym, w skalne bólu padłszy mury,

niebo przeklinał?! W tobie się nie wzrusza
serce, o Nocy... W tej strasznej powadze
o czem ty myślisz, Nocy, której dusza

zda się zawisać na gwiazd równowadze?

ACHILLES.

W tej strasznej samotności mojej,
gdy przy mej duszy nikt nie stoi,
kiedy ostatnie ręką żywą
młodości zerwał czas ogniwo:
czyż dziw, że dusza moja marzy,
młodości chwile marzy mocne,
nadzieje swoje bezowocne,
i śni, czego jej los nie zdarzy...

Lecz w samotności posąg stawa
przed moim wzrokiem, pełnym mgławic:
olbrzymia dumna męża zjawa
odeszła zkądś od greckich nawic —
to Myrmidonów król straszliwy,
z hełmu wiejący ponsem grzywy,
ale umarły jest — czy żywy.

Achilles — bóstwo lat szesnastu,
gość dawno, dawno niewidziany —
jakiemuż znowu grozi miastu
i jakież wrogów gna tumany?
Po co przychodzi w pustkę moją
i złotą grzmi nade mną zbroją?
Oh! jak daleka moja dola
od trojańskiego jego pola!...

Ah, wiem! Rozumiem! Nie spełniłem!
Nie dokonałem nic i żyłem!
Pełzałem w nizkim życia lesie,
brodziłem w bagnach dni powszednich,
łykałem kurz, co życie niesie,
słuchałem bicia godzin średnich,
dałem się topić nędzy życia
i wszystkim jego podłym wstrętom;
wdychałem zbójczy odór gnicia,
deptać się dałem podłym piętom,
za nędzne prawo do żywota
z pogardą dany kubek błota
piłem — — pełzałem w nędzy lesie,
ażeś ty przyszedł, Achillesie!

I upominasz się o swoje!
Zapóźno! Patrz — już stary stoję!
Żyję — nie lękam się Parysa,
choć niemaczany-m w Styksie cały, —
a ta przez duszę moją krysa,
to znak, żem miał ją...

Jak wspaniały,
jak wielki, dumny, jaki mężny
ogromny mąż nade mną stoi —
blask z jego złotej bije zbroi,
wsparł się o jawór swój potężny —
on upomina się o swoje —
bierz! wszakżem tu! przed tobą stoję!...

Weź! Patrz! Ten szmat dziurawy cały,
jakiegoś kształtu te kawały,
z których nie złożysz nic; te zwoje
skręcone, zmięte, sczezłe, szare,
z których się formy nie domyślisz;
te ognie, zamienione w parę —
to my. To życie nasze, moje!

I cóż, posągu, nad czem myślisz?
Czegóż tu jeszcze stoisz, czekasz?

Czemuż z odejściem swojem zwlekasz?
Lekarzem jesteś?... O, zaiste!
Strasznąbyś musiał leczyć ranę!
Odejdź — ja dalej sam zostanę,
i moje sny posępne, mgliste

dalej się będą snuć przede mną,
jak mgieł w wąwozie korowody —
ty, królu Greków, zmarłeś młody
i tylko śmierć widziałeś ciemną.

ELEGIA NA WIOLONCZELĘ.

Przychodzę na mogiłę — po latach, zdaleka —
nikt mnie już nie powitał, nikt na mnie nie czeka,
wkoło wszystko jest martwe.

Tam, cicho pod ziemią
martwe, napół spróchniałe ciche kości drzemią
tej jednej, co mnie może naprawdę kochała,
kiedyś, dawno — — zostało tylko puste imię.
Cóż się stało z jej duszy? Cóż się stało z ciała?...
Pamiętasz? Ten szczyt w lesie — te płomyki
[w dymie
juhaskiego ogniska błyskające sino — —
pamiętasz? Czy i wszystkie myśli ludzkie giną?

Jak dawno... Jakże wszystko, wszystko mam
[za sobą...
Jestże prawdą, żeś była, że mówiłem z tobą?

Jestże prawdą, że niegdyś, bez słowa wyznania,
mieliśmy młode serca przepełne kochania,
mieliśmy młode dusze przepełne miłości — —
pamiętasz?

Lecz kto?

Martwe w ziemi twoje kości...
Kości twoich się pytam? Twych zwłok pół-
[spróchliny?
Tak przeszło — ja pamiętam. Pamiętasz głębiny
tej wody, gdzie nas tratwa, bez steru, bez wiosła
dzikim wichrem pędzona w noc burzy precz niosła
pod skały, w toń skrzesane? Pamiętasz szczyt
[w górze,
gdziem cię wiódł, jeszcze wówczas, jako piorun
[w chmurze
zatajony, nim błysnął? Pamiętasz?

Cóż pytam?!
Czyli jestem szalony i cień w ręce chwytam?
Pamiętasz owe rano, gdy nas rozdzieliła
błękitno-ciemna głębia cichego jeziora?
Pamiętasz? Tyś mi rzekła cicho: Już nie pora...
Pamiętasz! I znów burza piorunami biła,

a na przeciwne szczyty dwa nasze zerwane
serca biegły — — raz tylko może tak kochane...

Jam powstał! Zdobywałem wirchy i zawieje,
zdobywałem myśl ludzką i własną nadzieję,
wznosiłem się, lecz nikt mi, jak bóstwo uroku,
nie złocił dnia młodości...

Dziś wszystko jest w mroku,
nikt nie wie, co jest prawdą, co kłamstwem mej
[duszy,
nikt nie wie, co mnie pali, nikt, co krew mą suszy,
jestem jak ostęp górski, po którym wiatr goni,
czasem złom się osunie, czasem śnieg się wzruszy
i zasypie lawiną, a w dnie uroczyska,
w głębi leży staw ciemny nieruchomej toni — —
pamiętasz?

Dłonią stawu nie sięgaj po wodę,
staw ten daje lodową, zamarzłą ochłodę,
niech ptaki z niego piją i gór pojawiska.

Nie sięgaj — — ale prawda! Cóż tobie po wodzie?
Ty leżysz cicho w ziemi, w wiekuistym chłodzie,

cóż, że dziś mi tak żywa? Jakiego anioła
ręka cię z twego grobu przed me oczy woła
i po co? Tyle lat już — — czyś ty tam, w twej
[trumnie,
przypomniała mnie sobie i przychodzisz ku mnie?
Widzę twą duszę — — o nie! nie tu ona idzie!
Widzę, jak ciebie anioł prowadzi za rękę — —
księżyc się tam połowi na skał piramidzie,
idziesz w górską dolinę i patrzysz na mękę
dwóch dusz prawie dziecinnych, stworzonych
lecz nie sobie znaczonych... [dla siebie,

Anioł, co cię wiedzie,
obojętnie oczyma czyta gwiazdy w niebie
i pyta czasem: czy tu?

A ty tych kamieni
szukasz, po których szliśmy i w serc naszych
[biedzie
szukali ulgi, milcząc — — w milczeniu zgubieni...
O śpij! Na tamtej ścieżce ja lękam się ciebie,
sam nią idę samotnie — znalazłem te ślady — —
zaiste! Nie ruszyły się głazów posady,

każdy ślad twojej stopy wzrok w mroku odgrzebie,
każdy krok w uroczysku nocą oniemiałem — —
tuś szła...
Nikniesz mi kędyś... Wiesz, co mówić
Bądź zdrowa!... [chciałem?

ŹRÓDŁO.

A był to też marcowy dzień,
śnieg palił się na górach,
z Węgier wiosennych podmuch tchnień
niósł wiatr na modrych piórach;
zajechał po mnie stary Krzyś,
a skrzypce miał pod kozłem,
i pojechałem tak jak dziś,
dziewczynę z sobą wiozłem.

Otwarła się nam cudna toń
przepastnych, pustych gór,
samotność — tylko z wiatrem goń
w niebieskich kłębach chmur!
Gdy wspomnę, gdziem ja wówczas był,
nadżycia widział cud — —

jaką jam wolność wówczas śnił,
bezzgrozę i beztrud!...

Nie zdało mi się, abym znał
kiedy gdzieindziej głowę,
lecz że ten wiatr mi zawsze wiał
od mórz przez skry lodowe!
Nie zdało mi się, abym czuł
gdzie kiedy w bagnach duszę,
lecz że z tym wichrem zawsze współ
latać pod błękit muszę.

Nie zdało mi się, abym szedł
kiedy zhańbioną nogą,
lecz zawsze ponad wirchów grzbiet
oczy szybować mogą;
nie zdało mi się, abym czuł
na czaszce głazów masy,
lecz że na wieki los mnie wkuł
w śniegiem świecące lasy...

Ach! Jak szeroko szumi skroń,
jak bystry piersi szum!
A to ja słońce chwycę w dłoń,
co złoci skalny tum!

A to gdy ramion zewrę krąg,
rozpuszczę moją moc:
zajmę pierś chochołowskich łąk,
pod śniegu skrytą koc!

A ta dziewczyna przy mnie tam,
rusałka pustek dzika — —
nie wie, co to jest życia cham,
ni czucie niewolnika —
nie zrodził jej podlony lud,
ona jest gór królewną — —
gdy płynie ze mną w słońca cud,
to harfą dumnośpiewną...

Nie trza mi skandynawskich zag,
ni szkockiej trza ballady,
gdy przy mnie ten półdziki ptak
w dziwożon idzie ślady;
nie potrzebuję z książek brać,
gdy mi natura stwarza — —
jam znał, co ona może dać,
lecz dziś — to próg cmentarza.

Naprózno wołam, próżno chcę
wskrzesić, co zmarło już;

w kielichu własną twarz na dnie
ujrzałem — — pusty kruż;
te góry w taki złoty dzień
znowu się będą lśnić,
lecz z nas tam nikt słonecznych drgnień
wiatru nie pójdzie pić...

Zwalił wesela mego zrąb
los szybki z nienazdania,
wykopał wkoło nóg mych głąb,
przepaść, jak ścios Krywania;
starca-pieśniarza prasnął w dół,
dziewczynę żagwią sparzył,
a mnie w pamięci pierścień wkuł
i wrótka żalem zwarzył.

Ale gdy słońce błyśnie dziś
na śniegu choć okruchu,
wstaje mi z grobu stary Krzyś
z nutami wieków w duchu,
świat mi napełnia pocztem mar,
nie jestem więcej ludzi — —
kuźnia wre, huczy, kipi żar
i spiż się w formach studzi.

Ale gdy słońca zalśni brzask
śniegiem marcowych pór:
niebieskich widzę oczu blask,
jak ostre niebo gór;
dźwięczący, dzwonny słyszę głos,
duszy stalowy pręt,
co w skały bił — to śpiew, to gniew,
to żaru żądzy męt...

Dziś: bywaj zdrowa! — więcej mi
nic po was nie zostało,
czasem ja myślę, że się śni,
ni było, ni się działo;
legenda jakaś, duszy sen,
igraszka widzeń chwili — —
wiem, że ta odtocz leży hen,
lecz my — czyśmy tam byli?

O GREKU, CO ZNALAZŁ ZŁOTY HEŁM.

Hełm złoty Grek napotkał na nadmorskim piasku,
hełm może powrotnego z pod Troi rycerza;
snadź długo w morzu leżał, lecz nie stracił blasku —
lśnił w słońcu. Wnet go włożył, czując, jak uderza
o jego złotą blachę promieniste słońce.
I wraz w głowie mu wstały, by wichry szumiące—
Perseusza, Jazona, Meleagra czyny
zaszumiały mu w duszy. Nad wał morza siny
biegnąc, pobiegł do miasta. Nikomu już włosa
nie zdobiły szyszaki — — spojrzano z ukosa,
a on biegł w skały z dumą przybrany w hełm złoty,
dziwiąc ludzi i budząc śmiech podłej hołoty.

Z MOTYWÓW STAROŻYTNYCH.

Dopókim kwiaty znosił z pól,
dopókim siano nosił z łąk,
dopóty śmiał się ze mnie król
i śmiał się ze mnie dworzan krąg.

I gryzłem w sobie gniew i ból.

Lecz kiedym podrósł, nabył sił,
byka w dziedzińcu zwalił z nóg:
sam król mi z ganku w ręce bił
i wraz z nim dworzan barwnych huk,

a we mnie srom, jak orkan, wył.

Lecz gdy w królewski wpadnę dom,
pobiję warty, dworzan, straż,

za ból mój, gniew mój i mój srom
kiedy ci, królu, spojrzę w twarz:

za okup z rąk mych co mi dasz?!

OBŁOKI NAD MIASTEM.

Przyleciały nad miasto obłoki,
przyleciały zdaleka, ze światu,
noc to była cicha, bez księżyca,
w gwiazdy siana z miedzi i szkarłatu;
gwiazd milionem świecił strop wysoki,
i noc była cicha, sinolica,
gdy nad miastem zawisły obłoki.

Przyleciały zdaleka, z okolic
pustych, śniegiem zasutych ponuro,
gdzie się jodły kołysały stare
i szumiały pieśń smutną, ponurą;
przyleciały z ponad górskich holic,
gdzie skał cienie pną się w ciemną marę
i mróz ścina twarz ciemną okolic.

Przyleciały na wietrze i w górze
ponad miastem zawisły na wzlotach;
zatrzymały się sine, olbrzymie,
poszarpane jeszcze na gór szczotach;
gwiazd zakryły rdzawe, mętne róże,
bo tej nocy, jakby zwiędłe w dymie,
gwiazdy lśniły zasępione w górze.

I patrzyły na miasto na dole — —
ha! jak wzdęły się, wzgięły, jak blachy
od płomieni wrejących szalone;
jak zranione węże, ponad dachy
tak się wzgięły z fosforem na czole,
żółtem światłem gniewu napojone,
gdy spojrzały na miasto na dole.

Jak się wzdęły okropnie obłoki!
W padół patrzą, w brud, w otchłanie bolu,
w poszarpane serca, trzewia, dusze;
jak się wzdęły, jak kurzawa w polu,
kiedy wicher podbije jej boki,
w wir pochwyci, skłębi w zawierusze — —
tak się wzdęły na niebie obłoki.

Cała chmura dusz potratowanych!
Całe krocie zmiażdżone obuchem!
Przerobionych w błaznów kroć rycerzy!
Źrebce raczym zmuszone iść ruchem!
Cała chmura dusz nędzą pijanych!
O! kędyż się górskich szczytów śnieży
biel, daleko od dusz stratowanych!...

Nizko, w bagno, w otchłań dusz, w mokradła
wzrok snuć muszą obłoki z wysoka,
w butwielinę strawioną i zgniłą;
galaretą kleju jest powłoka,
pod powłoką zbutwiałość przepadła,
wszystko w sobie się zgryzło, strawiło,
dusze spadły w niziny, w mokradła,

Ponad niemi z jękiem, krzykiem, zgrzytem,
z szumem krwawych piór ich własne skrzydła
jaki straszny, dziki, rozpaczliwy
tan zawodzą, skrwawione straszydła,
z kości od bark odciętych skowytem;
niespojone już więcej ogniwy
żył z ramieniem — toczą wir ze zgrzytem.

Nędzna rzesza! Do śmiechu gotowa,
do szyderstwa na widok okrętów,
przyrośnięta stopami do piasku;
nędzna rzesza, w mózgu bez tętentów,
które budzi bezmierność stepowa,
w oczach bez skał olodzonych blasku
nędzna rzesza — — do śmiechu gotowa.

Bruk znający i asfalt kramarze!
Wędrownicy przez kupieckie hale!
Pełni w sobie tej mądrości życia,
jaką kelner pojmie w karnawale;
mądre, sprytne, szlifowane twarze,
myte wodą „filtrową do picia",
czelne z wiedzy na handel kramarze!

Ich na „kawał" nie wezmą niebiosy!
Cóż widzicie nad głowami w górze?
Rozpostarte, pierzaste obłoki?
Nie wam świecą gwiazd złociste róże,
nie wam strop się kołysa wysoki
w gwiazd muzyce — — jak psy przez obrożę
poglądacie w górę na niebiosy!

Lecz spokojni bądźcie — macie swoje
za was duszą mówiące poety,
śpiewające wam to, co wam trzeba;
macie natchnień, porywów falsety,
krwi z karminu, łez z flakonu zdroje;
do waszego kramarskiego nieba
zwracające wam wzrok wieszcze swoje!

O wysokie! O lotne obłoki!
O zdaleka płynące na wietrze!
Jakże z cichej lecicie krainy!
Lecz w was światło, jak iskra w saletrze!
Lecz lecicie przez błękit wysoki,
jakby upiór w was pędził, z głębiny
wyzionięty pieczary, obłoki!...

WIEKUISTOŚĆ.

Przyszedł dziś do mnie dziwny sen
w słoneczny, jasny dzień,
przesunął w oczach szereg scen
i poszedł w cień...

Pozostał twardy, zimny trud,
dębu rąbany stalą pień,
a świata sen, a świata cud
zapadł się w cień.

ŚMIERĆ.

„Z żywymi trzeba naprzód iść,
po życie sięgać nowe",
a nie z martwymi ziemię gryźć,
umarłych tulić głowę.

Bliższy nam, kto za tysiąc lat
urodzi się — nieznany,
niż ten, kto wczoraj martwy padł,
wieczyście pamiętany.

Tak dzieli śmierć. I bliższym wróg
żyjący syna będzie ,
niż ojciec, co u jego nóg
w cmentarnej leży grzędzie.

NIEZBADANY RYCERZ.

ROZMOWA ZE SPOTKANĄ.

„Kędyż to jedziesz nad morską toń?
Przy boku brzęczy ci rdzawa broń,
a z hełmu twego kita rozwita
jak ptak czerwony wiatr w siebie chwyta — —
kędyż to jedziesz? Pozostań tu,
ja ci miękkiego uścielę mchu,
ja ci od boku odpaszę broń,
na mojej piersi przytulę skroń
i ręce moje miękkie i białe
otrą ci z kurzu lica zgorzałe.
Kędyż to jedziesz, rycerzu? stój,
zatrzymaj konia, przyjm spokój mój..."

„Dokąd ja jadę? Czyliż wiem sam?
Raz z wiatrem lecę, raz z morzem gnam,

raz włos mi stepu schwyca dziewica,
het w step ze sobą rwie obłędnica;

raz mię cudowne widziadło gór,
tęsknota woni w skał wiedzie mur,
to mię nad cichy uroczny rzek
szum: wiedzie zdala nasenny lek,
lub w kopiec mrówek patrzę się długo,
jak chodzą, wiją się wieczną strugą,
lub w gwiazdy patrzę i ścigam je
w wieczornym mroku, w porannej mgle..."

„Nie masz spoczynku, nie wiesz, co sen.
Pójdź, zaprzędź palce w mych włosów len;
patrz: jam rusałka, wodna Urodna,
leśna Szumiąca, twej chęci godna,
jam z traw Wykwitła, jak kwiatów blask,
ja to zapalam słoneczny brzask,
ja muchy złote puszczam przez dłoń,
ja z gór dalekich zwołuję woń,
oh! jam Świetlana, jam Zwierciadlana,
z źródeł kryształu w posąg ulana;
te włosy moje to rzeki szum,
wklęty w zaśnięty magnetyzm dum..."

„Patrz, kędy leci ten orli ptak,
patrz, gdzie na szczycie tam widać znak,
jaka go ręka, siła stawiła?
Jak cud tyś piękna, jak cisza miła,
ale ten znak mię porywa tam — —
to sztandar jakichś niebieskich bram,
tam, za tą bramą niebieską Bóg,
spichrz nieskończenia, świętości bróg,
ah, tam jest jakieś świątalne życie,
tam dotrzeć koniem, stanąć na szczycie,
stamtąd, na skrzydłach rozpiętych wszerz,
spiąć konia—skoczyć, z gwiazd dzwonić wież!...“

PIEŚŃ ODJEŻDŻAJĄCEGO RYCERZA.

O czem śnisz, moje serce —
o czem ty śnisz na jawie?
Po jakim twoje skrzydła
ogromnym płyną stawie?
Wokoło białe lody,
toń czarnej milczy wody,
o czem śnisz, moje serce,
w marzeń zagnane grody?

Ah! Jaka niezgłębiona
porywa cię tęsknica!
Ah! Życie twe jest zimne
jak zimna tarcz księżyca!
Ah kędyż się podziało,
co być twem życiem miało,
pod jakąż położone
w grobowiec wieczny skałą?

Ah powiedz moje serce,
ah powiedz mi nareście,
w jakiej cię wsi ułożyć,
w jakiem ukoić mieście?
Ty płyniesz wciąż przede mną,
płyniesz w pomrokę ciemną,
przelatujemy ziemię
i poza rubież ziemną.

Ah powiedz moje serce,
ah powiedz mi dokładnie,
na ile mil tysięcy
żądza ci leży na dnie?
Jakim ty dążysz szlakiem,
za jakim orlim znakiem,

i jaki ptak królewski
jest twym królewskim ptakiem?

Jestli to orzeł skalny,
co gromem nieba włada;
jestli to orzeł morski,
co nad falami siada;
sąli to wędrujące
sokoły mil tysiące,
czy gryfy nadpowietrzne,
bijące piersią w słońce?

Czy może jest to motyl
skrzydlaty w ponsu kwiaty,
motyl nieznany ziemi,
we wschodu dnia szkarłaty
zrodzony wśród błękitu
z piękności i zachwytu,
motyl nad oczy ludzkie,
z obłąkań sennych, mytu...

Czy może jest to wicher,
ów wicher tryumfalny,
ów dzwon dzwoniący w niebo,
ów mocy żeglarz walnej?

Ah, wicher to jest może,
to snu Boskiego łoże,
ruch najcudniejszy świata,
wolności pęd w bezdroże...

Ah powiedz moje serce,
ah powiedz mi nareście,
w jakiej cię wsi ułożyć,
w jakiem ukoić mieście?
I jak się ta nazywa
moc, co się w tobie zrywa,
czy przez tęsknotę duch mój
już całe cię wyżywa?...

O czem śnisz, moje serce,
o czem ty śnisz na jawie?
Po jakim twoje skrzydła
ogromnym płyną stawie?
Wokoło białe lody,
toń czarnej milczy wody,
o czem śnisz, moje serce,
w marzeń zagnane grody?

PUSTKA.

Słyszałam głosy — — i znowu przewieje
czasu spać będę — — —

APOLLO Z OLIMPU.

I jam słuchał w dali — —
na tle mórz fali w sercach ludzkich dnieje,
nieskończoności blask w ich krwi się pali...
Jam, słysząc, otwarł Olimpu wierzeje,
bogowie czyści, wiekuiści wstali
i wytężyli słuch na ludzkie dusze,
na chwilę śpiewne i milknące w głuszę.

Nikt tego nie wie, ni bogowie sami,
jakim się szlakiem serce ludzi snuje;
ich pieśń nad gwiazdy lśni pod błękitami,
w ich pieśniach wszechświat korony buduje;
jam lirę napiął, a na strunach drga mi
serc ludzkich słowo — i duch się wpatruje
w ich pierś, a stamtąd, jak z roli łan zboża,
pod nasze oczy tu — powstaje zorza...

CUDNA KSIĘŻNA.

Cudna księżna chodzi po ogrodzie,
widzi białe łabędzie na wodzie,
białą ręką do się je przyzywa,
ale stado po wodzie odpływa
precz.

Cudna księżna przed stopami swemi
widzi kwiaty z barwami cudnemi,
chce je zerwać dla krasy i woni,
ale wszystkie kwiaty zwiędły w dłoni
jej.

Cudna księżna na niebie wysokiem
grę obłoków pragnie śledzić wzrokiem,
ale wicher gdzieś z przepaści świata

grę obłoków na niebie rozmiata
precz.

Cudna księżna ujrzała na drzewie
ptaka, co ją ukołysze w śpiewie,
ale sokół, błądzący w przezroczu,
ptaka nagle pochwycił z przed oczu
jej.

Cudna księżna — czyli uwierzycie? —
chciała posiąść gwiazdę na błękicie,
ale wieczór nadpłynął ponury
i z nad głowy gwiazdę zniosły chmury
precz.

Lecz, gdy ciemność północna nastała,
tej już nie wziął nikt tej księżnie cudnej —
mogła błądzić, zamyślona cała,
w ciemnym mroku przez ogród bezludny.

Z FACKIEWICZÓW KUFKOWA.

Z Fackiewiczów Kufkowa — bywa, czyta, gada,
ma żurki, daje rauty, na loteryach siada,
flirtuje, sądzi książki, do teatru chodzi,
gdzie może nie pomoże, gdzie potrafi szkodzi
z Fackiewiczów Kufkowa. Ma swe przyjaciółki,
gryzie, a gdzie nie chwyci, obślinia do spółki.
Bezwiedny snob, z natury ordynus duchowy,
w salonie ma swój portret za szkłem pastelowy,
mówią, że „sympatyczna“, ma mieć „wdzięk
[wrodzony“,
najbardziej lubi mścić się i leźć na ogony
hrabin na wielkich balach. Ubiera się z gustem,
zajmuje swoich bliźnich przykazaniem szóstem,
że *już*, lub że *nie jeszcze* — bez żadnej obawy,
że to jest najciekawsza kwestya dla Warszawy;

bywa, czyta, ma żurki, na loteryach siada,
flirtuje, daje rauty, sądzi książki, gada
z Fackiewiczów Kufkowa.
Raz była w Egipcie
z mężem i bratem męża. Kiedy tam, na krypcie
króla stojąc, warszawską zaczęła rozmowę:
Sfinks skrzywił się i zwolna zwrócił na bok głowę,
on, co nieporuszony patrzał na Ramzesa,
na wojny, rzezie, orgie i wszelkie ekscesa,
na plagi Mojżeszowe i w opresyi Żydy,
Faraonów fantazye, obchody Izydy,
nawet kiedy sam pod nim stanął Bonaparte,
nie uznał, aby było to uwagi warte:
skrzywił się i odwrócił zwolna na bok głowę,
kiedy zaczęła pod nim zwyczajną rozmowę
z Fackiewiczów Kufkowa.

ZŁOTE RANO.

O złote, o bez ceny, o cudowne rano,
o łąko, malowana jasną dłonią słońca,
o wodo, pośród siwych głazów świetlejąca,
o chwilo, któraś nigdy nie była zrównaną!

Jako motyl prześliczny o rozwitej tęczy
olbrzymich lotnych skrzydeł w powietrznym
[błękicie:
ty, o ranku, wśród godzin tworzących me życie
lśnisz — — nakształt gwiazdy w ciemnej Gie-
[wontu przełęczy.

Blask traw i błysk wysmukłych ponad nią badyli,
fioletowych kistek przewiewne przędziwo
złocących o pierś wiatru pośmigłą i lśniwą;
świetlistość szklanych kropel rosy, co się pyli

tu owdzie w baldachimie zielonym łopuchu;
żółtych lelui kwiaty o błędnym uroku:
wszystko to mam w pamięci, wszystko to mam
[w oku,
zatęgło tam — trwa stale pośród życia ruchu...

Entuzyazm duszy... Dzieło słowa, które mówi
wyższa nad poziom ludzi moc i obca jemu,
moc obca równie złemu świata i dobremu,
podobnie jak cud rzadko jawna człowiekowi.

Moc tryumfalnie wolna, wielka, nieskalana,
podobna do orlicy nad dachem kościoła —
módlcie się tam we wnętrzu! — — ona toczy koła
dalej, wyżej, potężniej!... Czarna życia ściana

rozpęka się i kruszy, widok się otwiera
bez brzegu i bez końca, ty, o złote rano,
jesteś mu matką, źródłem, dane sercu wiano
tęsknoty do piękności, która nie umiera.

NA DAWNO ŚCIĘTY LAS W ZAKOPANEM.

Rano. Świta zaledwie. Na Giewontu głowie
opierają się senne, błękitne niebiosy,
na trawie wokoło mnie świecą krople rosy
i las się rosą mieni srebrnie i różowie.

Cudny górski las w słońca wschodzie promienistym!
Ah! Jakże go pamiętam! Każde drzewo w ciszy,
każdy pień, strom radosny, co ku słońcu dyszy
żywiczną ostrą wonią i w błękicie czystym

dumną dzidę wierzchołka z zielonego złota
wyrzyna dyamentem w niebieskim krysztale,
a po pniach ciemnych światło słoneczne migota...

Las stoi w pieśni blasku i w słonecznej chwale —
o święty, o w mą pamięć dyamentem wcięty
las o świcie przed wyjściem w góry — dawno ścięty.

DAWNE GODZINY W TATRACH.

IV.

Nie miłość ze mnie mówi, ani żal nad tobą —
znam litość, nie znam uczuć wspólnych — jestem
[wolny,
nie żyję życiem zboża, albo trawy polnej,
jestem sam, choć tęsknoty strawiony chorobą.

Ale ta moja tęskność, o, nie jest zaiste
pragnieniem czegoś z ziemi. Od samego rana,
od kiedy myśl mi dana i jej pamięć dana,
błądzę — wieczny wędrowiec przez pustki
[wieczyste.

Pusta jest moja dusza i szuka przedmiotu
miłości, zachwycenia, poświęcenia siebie —
nie znalazła, ni znajdzie, bo mojego lotu

widnokręgiem jest wielkie, niezmierne pod-
[niebie —
szukam próżno, a pamięć moja chwile goni,
gdym się łudził pięknością, aby tęsknić po niej.

W PODNIEBIU.

Czarna, święta, skrzesana do przepaści skało,
nie tknięta nigdy ręką czyją, ledwie okiem
sięgana z rumu złomisk w morzu gór głębokiem,
skąd lecąc do cię w locie ze znużenia mdlało;

wieczna, okryta dumą, wiekuistą chwałą,
fali orła jedynie wieńczona otokiem:
ciebie śnię, ponad zjawisk błądzący potokiem,
i ciebie moje serce nad świat ukochało.

Ani mi ranna jabłoń, co się kwiatem kryje,
ni wieczorna melodya dalekiej muzyki,
ani mi kiedy białe, młode piersi czyje

były takim zachwytem, jak twój granit dziki,
po którym chmura pędzi, wiatr szalony wyje
i wiew Boży przepływa niebios bazyliki.

WYŻNIE HAGI PO LATACH.

II.

Tu mi na wieki piękno w jedną noc młodzieńczą
zaklęło się w głąb duszy, nigdy nie zamiera;
gdziemkolwiek jest, co czynię, cobądź się otwiera
przed duchem, jakiekolwiek dni trudzą, lub dręczą:

cicha noc w Wyżnich Hagach trwa pod trwałą
[tęczą,
nic jej nigdy nie zmąci, żadna się nie wdziera
do tego *sanctuarium* plama — lśniąca, szczera
tafla złota się błyszczy — ciche pnie ją wieńczą.

Cóż to było? Tu zbiegłem ze szczytu Łomnicy
niegdyś młody i silny i słuchałem pieśni
z samotności zrodzonej, z miłosnej tęsknicy.

Jedna noc, co się na wiek cały ucieleśni,
jedna noc — światło ducha niewstępnej bożnicy,
jedna noc — i wiek cały próżnych marzeń:
[wskrześnij!...

TRZY CIUPAGI.

Stalowe moje trzy ciupagi,
w ich stali cudna baśń jest klęta:
ta jest jak harfa, ta jak gęśle,
ta jak myśliwska trąba kręta.

Każda swojego ma pieśniarza,
idą od dawnych gdzieś druidów
i przedwiekowych mają głosy
i piersi pełne klechd i zwidów.

W mroku z pomroku oni idą
i w jasnowidzie stają przy mnie
i starych Lechów dawne czasy,
w harficznie brzmiącym pieją hymnie.

Prastare chramy i bugaje,
święcone dęby i bożnice,
cud-bohatery z pod mogiły,
z runnych kurhanów cud-dziewice;

ich króle zdobne w rysie skóry
i w długie, złotem kute rogi,
jak idą po miód do pasieki
błogosławiący szeptem bogi —

i koła dziewic na lewadzie,
co dotykają ledwie ziemi,
czyste, jak źródła, w rytm biodrami
wiejące z obsłon śnieżystemi —

i dziwne księżycowe wieści
po gajach, lasach i moczarach
błądzące, jako mgły poranne,
lśniące, jak tęcze na oparach — —

i bohaterskich cnót legendy,
męstwa, odwagi i stałości,
wysokiej dumy, świętej woli,
jakie ci ludzie mieli prości:

to wszystko snuje się w tym hymnie
pełne piękności i powagi — —
taka jest stara pieśń lechicka,
zaklęta w moje trzy ciupagi.

Myślę, że stal, z której są kute,
stal zimna, jak lodowa kora
na górskiej wodzie: jest przekuta
z harfy druida, lub z topora.

BYŁ CZAS.

Był czas, żeśmy się rozumieli,
ten czas przeminął i nie wróci,
a dziś mnie z wami wszystko dzieli,
nic wy mnie dziś nie obchodzicie,
nic wasze nie obchodzi życie,
to jedno boli, żeście skuci.

Pieśń moja stała się dziś pieśnią
wyłącznie tylko moją własną;
nie dbam, czy gdzie się ucieleśnią
tak, czy inaczej w czyjem młodem
sercu te słowa, które w wodę-m
rzucał — — niech płyną, lub zagasną.

Jesteśmy obcy. Macie wróżów,
macie serc waszych wykładaczy,

macie dusz waszych czujnych stróżów,
kapłanów waszych świętych chramów,
dzierżących szale prawd i kłamów,
poetów dążeń i rozpaczy.

Jam od wszystkiego uciekł tego,
żyjcie, jak chcecie — — czem jesteście?
Macież liść drzewa zielonego,
macież woń kwiatu, szum potoku,
jesteście jak wschód słońca oku,
jak modrzewiowych gęstw powieście?

Jesteście jak legenda złota,
kuta we wnętrzu skał ogromnych?
Albo jak zbroja, co grzechota,
albo miecz, co przy boku chrzęści,
albo stalowej łoskot pięści,
pragnącej gwarów wiekopomnych?

Jam własnej tylko myśli mojej
poetą — — gdzie mnie wicher rzuci,
tam harfy mojej struny stroi,
szumi mnie tylko pieśń pojęta,
pieśń, której niczem świat nie pęta — —
to jedno boli, żeście skuci.

NA GRÓB NAPOLEONA WIELKIEGO.

Daleki, cichy grobie, ileż pod twem wiekiem
śpi wróżb, ile nadziei... Lecz tylko człowiekiem
był ten, który tu mieszka. Wiem, jaka godzina
śni ci się tam w grobowcu z granitu, o cieniu!
Najstraszniejsza w twem życiu, kiedy ręka sina
marznących twych żołnierzy przy trupiem
[warczeniu
bębnów: sztandary twoje, dumne orły twoje
pochylała nad płomień i orły płonęły!...
Orły, orły palono!...

Ach! Za wszystkie boje,
za wszystką krew, wyprutą światu twemu dzieły,
zapłaciłeś w tę hańby noc, kiedy palono
twą chwałę...

Kto miał orły, komu one w łono
wrosły, jako korzeniem drzewa w ziemię rosną;
kto miał orły i czcił je — ten twoją żałosną
godzinę będzie wiecznie pamiętał — — jeżeli
i z jego orłów zgliszcze się tylko popieli.

Poodkrywano głowy, albo do kaszkietu
wzniesiono dłoń, i sztandar chylą po sztandarze;
złote orły, jak miesiąc zdjęty z minaretu,
topią się w nakleconym z podłych chróstów żarze.
Znaki twoje zwycięskie w ciemnym ogniu płoną,
a w nich twe własne serce, cezarze, palono,
serce dumne, potężne i samotne w świecie,
jak śpiew wiatru wśród lodów w niedostępnych
[górach — —
serce zimne jak kryształ lub stal na bagnecie,
serce mocarza.

Broń twa, tępiona na murach,
broń, dana twym żołnierzom, błyszczy honorowie—
orły płoną!

Jeśli cię zemsty aniołowie,
dawnych Greków Erynnye i Furye wściekłe
ścigają za krwi morza, męki, zgony, rany:

to cię w te głuche śniegi muszą gnać zaciekłe,
to musisz tam powracać, wężami ścigany,
gdzie aż do końca świata i ludzkiej pamięci
bić będą twoje werble, błyszczeć twe bagnety,
i gdzie twoi żołnierze, gnąc pod hańbą grzbiety,
kładli w płomień twe orły, śmierci trwogą zdjęci.

Więc ty, coś najpotężniej żył z wszystkich na ziemi,
poznałeś tam nad wszystko większe śmierci ramię...

Dziś jesteś już daleko, dziś twe imię kłamie —
wymawiają je ludzie usty zwyczajnemi,
jest tylko pustą nazwą. Lecz twoja puścizna
to jest olbrzymia duchów półmartwych ojczyzna,
którym tak, jako tobie, orły popalono,
znaki woli królewskiej, i które twą słoną,
gryzącą aż do serca, w sam rdzeń mózgu wżartą,
trawiącą kość łzę czują pod ścierpłą powieką.

O duchu, pod trofeów dawnych śpiący wartą,
do twego grobu idzie tłum dusz, tam, daleko...

Samotny, wielki grobie — czy ci nie najlepiej
w tej samotnej ostoi w granitowej chwale — —

nic cię nigdy nie wzruszy, żadnać nie oślepi
błyskawica; na wiekach, jako głaz na skale
zaległeś, ku zazdrości tym, co się, bez chwały,
krwią zachłystują własną, krwi swojej kawały
mielą w ustach, by nigdy nic, nic nigdy zgoła
kupić za nią nie mogli! Ciebie już niezdoła
nic wstrząsnąć, twej powierzchni wygładzona płyta
nie pęknie, jak pierś ciosem nieszczęścia przebita,
nie wzdrygnie się, jak czoło, przed którem otchłanie
otworzą się bezdenne. Za tobą jest trwanie,
a ty, grobie tragiczny, trwasz już życiem boga,
większy, niźli moc nieszczęść...

Cezarze, twa droga,
wybita konia twego podkutem żelazem,
nigdy nie scześnie, ona wieczyście się znaczy;
to jest droga zwycięstwa, szlak chwały, a razem
to jest droga boleści i droga rozpaczy.

Któraż część twojej drogi dla tych przeznaczona,
co dziś pamięcią widzą twe orły płonące — —
pieśń twej doli skończona, lecz ich nieskończona,
twa gwiazda zgasła — — dla nich nie powstało
[słońce.

Lecz ty, który gardziłeś całą ziemską bryłą:
któż ze śmiertelnych śmiałby ozwać się do ciebie?!...
Grób twój w Paryżu — ducha fala wód kolebie
daleko tam, na wyspie, gdzie twe miejsce było!
Tam winieneś był umrzeć! Tam twa twarda męka
była koroną twoją, nimbem twojej skroni!
Tam spętane twe stopy, skuta twoja ręka
były twym dumnym tronem, akordem harmonji!
Tam w udręce straszliwej, wijąc się sam w sobie,
powinieneś był lata trawić nieszczęśliwy
i, głaszcząc twych wierzchowców spacerowych
[grzywy,
pomnieć, jakeś to latał jak wicher po globie!
Tam winieneś dzień każdy i każdą godzinę
pamiętać twych tryumfów, twych zwycięstw
[i chwały
i gryźć do krwi z rozpaczy usta z cierpień sine
i ręce, które wagi świata przeważały!
Tam, w głuche oceanu zasłuchan łoskoty,
winieneś był trąb apel i twych armat grzmoty
i własny głos twój słyszeć, co komendą błyska!
Tam było miejsce twoje, gdzie jako zwaliska
twej sławy: nagie zręby wznoszą się wśród fali —
tam dobrze, że cię cierpieć i umrzeć zagnali,

takiego ci skonania właśnie trzeba było,
ty, coś królom panował i trząsł ziemi bryłą,
abyś znał, czem jest wielkość! Byś poznał, cezarze,
że tego, co ją dźwiga z leży, wielkość karze
i dusi.

O, jak cichym jest ten grób twój w dali!
Ni go kto płacze dzisiaj, ani on się żali —
stoi sam tak olbrzymi, a jako w pustyni
kurhan stracony. Żadnych serc go nie ogrzewa
czułe ciepło, żadna mu dłoń czuła nie czyni
płaszcza z róż, albo z liści laurowego drzewa.
Nic już dziś z nim nie łączy nikogo. Sztandary
śpią zamarłe dokoła — lecz wiem! Ale mary
nie opuściły ciebie! One straż przy tobie
trzymają — — tam śpi cesarz w namiocie z granitu!
A ty, co lat dziesiątek budząc się w twym grobie,
pytasz, czyli nie widać z pod Austerlitz świtu?

Czybyś wstał?!!

Milczą mary, na broni oparte — —
„sam jest“ — — trzymają przy nim honorową
[wartę — — —
Cezarze! Śpij!!

SPIS RZECZY

